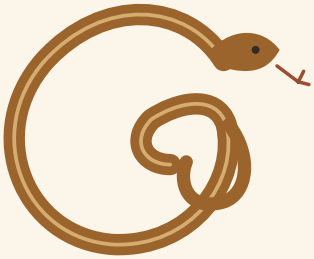


Opowieść o Gonzadze

POCZĄTKI

Kronika z archiwów Orchii

Wydanie ilustrowane • format B5



Opowieść o Gonzadze
POCZĄTKI

Część pierwsza historii Gonzagi

Od dzieciństwa w Shangri-La po wyprawę ku Wyspie Mew

Kronikarskie wydanie ilustrowane

Spis treści

Prolog — Boskie potyczki 4

Rozdział I — Dym nad doliną 12

Rozdział II — Fontanna w ogrodach 21

Rozdział III — Imię węża 39

Rozdział IV — Dzieci ulicy 51

Rozdział V — Ten, który wrócił 61

Rozdział VI — Dom z drewna 74

Rozdział VII — Przysięga 94

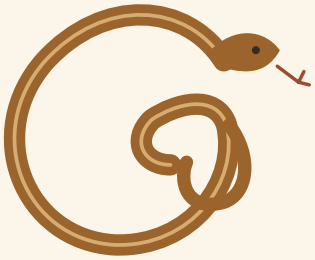
Rozdział VIII — Ostatni szaman 114

Rozdział IX — Biała szata 150

Rozdział X — Pustynia 163

Rozdział XI — Ci, którzy przyszli z pustyni 181

Rozdział XII — Bracia pustyni 202



Prolog

Boskie potyczki

Orchia była wielka.

Tak wielka, że człowiek mógł przeżyć całe życie, nie opuszczając jednej doliny, jednego miasta albo jednej wyspy, i umrzeć w przekonaniu, że poznał świat.

Nie poznał.

Morza rozdzielały dziesięć wielkich archipelagów. Pomiędzy nimi ciągnęły się szlaki kupieckie, wojenne i takie, których nie zaznaczano na mapach. Jedne wyspy porastały lasy tak stare, że drzewa pamiętały ludy, po których nie pozostały nawet imiona. Inne były niemal nagimi skałami wynurzającymi się z oceanu. Jeszcze inne kryły miasta większe od królestw.

Nad większością z nich powiewały sztandary katańskich orków.

Ich sercem był Archipelag Centralny.

Stamtąd przez pokolenia wyruszały armie, koloniści, kupcy, kapłani i namiestnicy. Katańska władza rozlała się po Orchii szeroko, choć nigdy równomiernie. Im dalej od centrum, tym słabsza stawała się ręka władców, a silniejsze były stare zwyczaje, lokalni panowie i rzeczy znacznie starsze od orkowych imperiów.

Na wschodzie świat wyglądał inaczej.

Archipelag Wschodni był krainą skrajności.

W głębi lądu rozciągały się wyniesione płaskowyże Xtanadaru, miejscami położone trzy lub cztery kilometry nad poziomem morza. Ich krawędzie urywały się w skalnych ścianach, przeciętych grotami i wodospadami; wąwozy łączyły wysoko położone osady z suchymi nizinami.

Od strony morza wyrastały klify.

Całe osady potrafiły trzymać się ich ścian niczym gniazda ptaków. Domy stawiano na półkach skalnych, drogi wykuwano w kamieniu, a ludzie od dzieciństwa uczyli się nie patrzeć w dół, kiedy wiatr szarpał ich ubraniem nad przepaścią.

Morze dawało życie.

I zabierało je z równą łatwością.

Dalej zaczynała się pustynia.

Nie taka, jak wyobrażali ją sobie mieszkańcy zielonych wysp.

Nie była pustą przestrzenią.

Żyła.

Oddychała.

Przesuwała wydmy z miejsca na miejsce, zasypywała ślady całych karawan i odkrywała ruiny miast, których nikt nie widział od setek lat. Za dnia kamienie parzyły. Nocą temperatura spadała tak szybko, że człowiek mógł umrzeć z zimna w miejscu, gdzie kilka godzin wcześniej błagał o cień.

A jednak również tam istniało życie.

Pod piaskiem.

Pomiędzy skałami.

W szczelinach.

Na wędrujących wyspach zieleni, o których kupcy opowiadali po kilku kielichach, a uczeni zwykle kazali im wtedy wypić mniej.

Nie każdy świat znajdował się jednak na ziemi.

Nad Archipelagiem Wschodnim płynęły chmury.

A niektóre z nich kryły więcej niż deszcz.

Wędrowcy opowiadali o miastach pojawiających się wysoko na niebie, widocznych tylko przez kilka chwil o świcie. O pałacach unoszących się ponad burzami. O wieżach, których fundamentem było powietrze.

Tam żyły dżiny.

Istoty kapryśne i dumne.

Jedne przyjmowały postać ludzi. Inne dymu, płomienia albo wichru. Jeszcze inne nosiły formy, których śmiertelny umysł nie chciał zapamiętywać.

Dżiny handlowały.

Zawierały umowy.

Kochały.

Nienawidziły.

I niemal nigdy nie zapominały zniewagi.

Pod stopami mieszkańców Wschodu znajdował się natomiast kolejny świat.

Głębiej niż kopalnie.

Głębiej niż grobowce.

W ogromnych podziemnych przestrzeniach, w których nigdy nie widziano prawdziwego nieba, powstawały miasta minotaurów.

Potężne.

Ciężkie.

Wykute w skale.

Minotaury od pokoleń prowadziły własne wojny, zawierały własne przymierza i pamiętały krzywdy tak dawne, że nikt poza nimi nie potrafił już powiedzieć, od czego się zaczęły.

Dżiny patrzyły na nie z góry.
Minotaury spoglądały ku górze z niechęcią.
I jedni, i drudzy uważali się za starszych, mądrzejszych i bardziej godnych świata.
Ziemia pomiędzy nimi często musiała znosić konsekwencje tych przekonań.
Tak wyglądał Archipelag Wschodni.
Morze.
Klify.
Pustynia.
Niebo pełne istot, które nie powinny chodzić po ziemi.
Podziemia zamieszkane przez tych, którzy prawie nigdy nie oglądali słońca.

A pośród tego wszystkiego żyli zwykli ludzie, orkowie, elfy, mieszańcy i przedstawiciele dziesiątków innych ras.

Wśród opowieści z wybrzeży i pustynnych szlaków powracali serpenci — wężoludzie o ludzkich torsach i wężowych głowach. Ich społeczność dzieliła się na kasty wiązane z rodzajem głowy;

mówiono o wojownikach i czarnoksiężnikach, lecz podróżnicy rzadko potrafili odróżnić relację od plotki.

Na Archipelagu Wschodnim pamiętano też dawną wyprawę serpentów, którzy ruszyli wesprzeć reptillionów w wojnie z Katanem. Wyprawa skończyła się klęską. Nad archipelagiem rządził ród Uruk-hai, choć nawet kupcy znający jego imię niewiele wiedzieli o obyczajach wężoludzi.

Nie należy mylić ich z Sharanami. Sharany miały ludzką dolną połowę ciała, a ponad nią pajęczy tułów w szarym pancerzu i czarnej szczecinie, cztery pary odnóży oraz szczękoczułki. Były ludem o własnej hierarchii, handlu i polityce; ich mowę tworzyły tarcie kończyn oraz dźwięki i wibracje.

Dawna kolonia sharanów znajdowała się na Wyspie Mew, dlatego właśnie tam powstała Pajęcza Kompania. Tymczasem Shangri-La chroniły góry. A gładkie, śliskie szkło Szklanych Gór stanowiło dla nich przeszkodę nie do pokonania.

Podobieństwo nazw nie oznaczało wspólnej wiary: Sharami była boginią natury, ognia i wiatru, a Sharany — odrębnym ludem. Żeglarze, rolnicy i mieszkańcy klifów opowiadali o niej własnymi słowami; każdy znał inny gniew żywiołów i inną cenę, jaką bogini potrafiła za niego zażądać.
Rodzili się.
Kochali.
Pracowali.
Kłócili się o ziemię.
Zazdrościli sąsiadom.
Bali się chorób.
Marzyli o bogactwie.
Modlili się.
I niemal wszyscy popełniali ten sam błąd.

Sądzili, że wojny bogów są opowieściami.

Bogowie patrzyli.
Nie zawsze.
Nie wszędzie.
Świat był zbyt wielki nawet dla ich uwagi.
Ale patrzyli.
Czasami na całe królestwa.
Czasami na pole bitwy.
Czasami na jednego człowieka.
Jedni kochali śmiertelników.
Inni nimi pogardzali.
Jeszcze inni uważali ich za narzędzia.
Od najdawniejszych czasów bogowie spierali się między sobą.
O władzę.
O wpływy.
O dusze.
O to, czym świat powinien się stać.
Śmiertelnicy upraszczali te konflikty.
Dobro przeciw złu.
Światło przeciw ciemności.
Ład przeciw chaosowi.
Bogowie wiedzieli, że rzeczywistość rzadko była aż tak wygodna.
Sojusze zawierano i łamano.
Wróg jednego dnia stawał się sprzymierzeńcem następnego.
Istoty, które przez tysiąclecia nie zwracały na siebie uwagi, nagle zaczynały dostrzegać w sobie przeciwników.
A kiedy bogowie naprawdę się spierali, zazwyczaj ktoś płacił za to na ziemi.
Jedno ze starych powiedzeń mówiło:
Gdy bogowie się kłócą, ziemia staje się ich stołem.
Inne było mniej łagodne.
Gdy bogowie zaczynają swoje potyczki, śmiertelnicy są pionkami.
Być może dlatego ludzie z czasem zaczęli używać określenia:
boskie potyczki.
Brzmiało niewinnie.
Niemal zabawnie.
Jak przepychanka dzieci.
Było w tym coś przewrotnego.
Bo kiedy do podobnej potyczki stawali bogowie, płonęły miasta.

Sharami czuła wiatr.



Sharami nad doliną Shangri-La

Była naturą.

A raczej jednym z jej oblicz.

Sharami należała do starszego pokolenia bogów. Była matką Asteriusza Wielkiego, lecz pozostawała z nim w konflikcie. Podczas wojny z Balamorem stanęła po stronie istot rozumnych;

kiedy Asteriusz powołał Lahagana do panteonu, opuściła dawne stronnictwo. Nie uznawała Lahagana, Morghlitha ani Gorlama za bogów i zwalczała ich kulty. Set odpowiedział, wprowadzając do grona bogów Morghlitha, pokonanego dowódcę armii Balamora. W pamięci śmiertelników te dawne spory przetrwały w rozbieżnych opowieściach, przysięgach i modlitwach.

Natury nie można było zamknąć w jednym imieniu.

Była rodzeniem i gniciem.

Deszczem i suszą.

Korzeniem rozrywającym kamień.

Zwierzęciem pożerającym inne zwierzę.

Sharami należały jednak przede wszystkim dwa żywioły.

Wiatr.

I ogień.

Wiatr niosący nasiona na nowe ziemie.

Wiatr przynoszący burzę.

Wiatr łamiący maszty i zrywający dachy.

Ogień dający ciepło.
Ogień oczyszczający ziemię.
Ogień pozostawiający po lesie jedynie czarne kikuty drzew.
Śmiertelnicy prosili ją o łagodny wiatr dla żagli.
Rolnicy błagali, żeby ogień nie dotknął ich pól.
Wojownicy widzieli w niej gwałtowność.
Kapłanki mówiły o odrodzeniu.

Wieśniacy prosili ją o ogień pod chlebem i łagodną pogodę, rolnicy o deszcz, żeglarze o wiatr w żaglach, a kowale o żar kuźni. W każdym miejscu czczono tę samą boginię, lecz każdy widział w niej inny żywioł.

Każdy dostrzegał tę część bogini, którą potrafił zrozumieć.
Sharami widziała znacznie więcej.
Od pewnego czasu wiatr przynosił jej niepokój.
Nie słowa.
Bogowie nie potrzebowali słów, żeby rozpoznać zmianę.
To było raczej napięcie.
Jak powietrze przed burzą.
Jeszcze nie padało.
Jeszcze nie błyskało.
A jednak każde zwierzę wiedziało już, że coś nadchodzi.
Sharami spoglądała na innych.
Bogowie dobra poruszali swoje pionki.
Bogowie zła odpowiadali.
Jedni gromadzili wyznawców.
Inni poszukiwali artefaktów.

Jeszcze inni przypominali sobie dawne przysięgi i sojusze, które przez całe epoki pozostawały martwe.

Na ziemi nikt jeszcze tego nie widział.
Pojedyncza wojna.
Upadek jednego władcy.
Nowy prorok.
Odnalezione sanktuarium.
Narodziny dziecka.

Śmierć człowieka, który według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien żyć jeszcze wiele lat.

Każde wydarzenie samo w sobie nic nie znaczyło.
Razem zaczynały tworzyć wzór.
Sharami nie znała jego końca.
To niepokoiło ją najbardziej.
Bogowie również nie znali wszystkich odpowiedzi.

Potrafili widzieć dalej od śmiertelników.
Nie znaczyło to, że widzieli wszystko.
Sharami czuła jednak, że coś się zbliża.
Starcie.
Większe niż poprzednie.
Nie kolejna wojna.
Nie następna boska potyczka, po której śmiertelnicy pochowają zmarłych, odbudują miasta i zaczną opowiadać nowe legendy.
Tym razem mogło nie być czego odbudowywać.
Jeszcze nie nazwała tego Armagedonem.
Słowo byłoby zbyt konkretne.
To było jedynie przeczucie.
Ale bogowie dobrze wiedzieli, jak niebezpieczne potrafią być przeczucia istot nieśmiertelnych.
Sharami obserwowała.
I zauważyła, że inni robią to samo.
Szukali czempionów.
Nie wszyscy.
Jeszcze nie.
Ale wystarczająco wielu.
Śmiertelników zdolnych unieść fragment boskiej woli.
Wojowników.
Kapłanów.
Królów.
Proroków.
Potworów.
Czasem ludzi, których nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby bohaterami.
Bóg nie potrzebował zawsze najsilniejszego.
Czasem potrzebował tego, który znajdzie się we właściwym miejscu.
Albo tego, którego nikt inny nie zauważy.
Sharami zaczęła więc szukać.
Nie spieszyła się.
Bogini mogła pozwolić sobie na cierpliwość.
Patrzyła na wojowników.
Na kapłanki.
Na wodzów.
Na dzieci rodzące się pod dobrymi znakami.
Na ludzi obdarzonych talentem, którego sami jeszcze nie rozumieli.
Wielu wyglądało obiecująco.
Żaden nie przekonał jej całkowicie.

Wiatr płynął dalej.
Ponad pustynią.
Ponad klifami.
Pomiędzy chmurami zamieszkanymi przez dżiny.
Przez szczeliny prowadzące ku podziemnym królestwom minotaurów.
Aż dotarł do doliny zamkniętej górami.
Małej.
Nieistotnej.
Nazywała się Shangri-La.
Sharami nie zatrzymała na niej uwagi.
Jeszcze nie.
Nie było powodu.
W dolinie właśnie rozpoczynał się kolejny zwyczajny dzień.
Kupcy otwierali stragany.
Kapłanki przygotowywały się do modlitw.
Strażnicy zmieniali wartę.
Przy jednym z mielerzy mężczyzna dokładał drewno.
Obok niego pracował chłopiec.
Chudy.
Brudny.
Z rękami czarnymi od pyłu.
Nosił drewno i od czasu do czasu spoglądał ku górom.
Nie wiedział nic o dżinach.
Minotaury znał jedynie z opowieści.
O dziesięciu archipelagach nie potrafiłby powiedzieć niemal nic.
Nie słyszał o zbliżającym się konflikcie bogów.
Nie wiedział, czym jest czempion.
Sharami również jeszcze nie wiedziała, kim jest chłopiec.
Wiatr przeszedł nad doliną.
Poruszył korony drzew.
Rozdmuchał dym mielerza.
Na krótką chwilę czarna chmura przesłoniła chłopcu widok na góry.
Chłopiec zakaszlał, przetarł oczy brudną dłonią i wrócił do pracy.
Bogini spojrzała gdzie indziej.
Mieli spotkać się później.

A kiedy do tego dojdzie, żadne z nich nie zrozumie jeszcze, jak wiele kłopotów przyniesie drugiemu.

Rozdział I

Dym nad doliną

Chłopiec długo nie wiedział, że jest biedny.



Gonzaga i ojciec przy mielerzu

Dziecko nie mierzy świata ilością monet, jakością tkaniny ani tym, czy jego ojciec kłania się przechodzącym ulicą możnym. Dla dziecka świat jest po prostu taki, jaki jest. Od początku próbował jednak zrozumieć, dlaczego jedni ludzie mogą pytać, a inni muszą odpowiadać, dlaczego jedni noszą czyste ręce, a inni mają je czarne od pracy. Nie znał jeszcze słów na niesprawiedliwość, lecz zauważał jej kształt.

A jego świat pachniał dymem.

Dymem ciężkim, gryzącym, snującym się nisko nad ziemią i wnikającym w ubranie, włosy oraz skórę tak głęboko, że nawet po kąpieli człowiek wciąż czuł go na sobie. Jego ojciec wypalał węgiel drzewny. Nie było to zajęcie ani szlachetne, ani dochodowe, ale pozwalało przeżyć. W

dolinie Shangri-La zawsze potrzebowano opału — do pieców, kuźni, kuchni, świątyń i warsztatów — więc ktoś musiał brudzić sobie ręce.

Robił to od lat.

A kiedy chłopiec podrósł na tyle, by unieść naręcze chrustu, zaczął pomagać. Szybko nauczył się, że drewno nie było po prostu drewnem. Jedno paliło się długo, inne dawało więcej żaru, jeszcze inne dymiło tak, jakby chciało zdradzić ich obecność całej dolinie.

— Nie te — powiedział kiedyś ojciec, kiedy syn przywlókł pod mielerz kilka świeżych, jeszcze zielonych gałęzi. — Będą syczeć.

— Spalą się.

— Wszystko się kiedyś spali. Nie o to chodzi.

Ojciec przykucnął przy stosie i wyciągnął jedną z gałęzi.

— Dotknij.

Posłusznie położył dłoń na korze.

— Mokra.

— Właśnie. Ogień nie lubi, kiedy się go zmusza. Trzeba wiedzieć, co mu dać.

Chłopiec spojrzał na ojca z powagą.

— Ogień myśli?

— Nie.

Ojciec zawahał się, jakby pytanie było mniej głupie, niż powinno.

— Ale zachowuje się tak, jakby myślał. I dlatego lepiej mieć dla niego trochę szacunku.

Chłopiec zapamiętał te słowa.

Zapamiętywał wiele rzeczy, choć ludzie wokół rzadko podejrzewali go o posiadanie jakichkolwiek szczególnych talentów. Pamiętał układ szczelin w mielerzu, kolejność dźwięków dochodzących z kuźni i twarze ludzi, którzy raz okazali mu pogardę. Potrafił po kilku dniach odtworzyć drogę, którą przeszedł, choć nie umiałby wyjaśnić, skąd znał właściwy zakręt.

Był drobny. Zbyt ciemny dla jednych, zbyt jasny dla drugich. Miał rysy, które nie pasowały do żadnego z rodów mogących pochwalić się długą i czystą linią przodków. Dzieci potrafiły być w takich sprawach bardziej bezlitosne od dorosłych, bo powtarzały zasłyszane słowa, jeszcze nie rozumiejąc ich ciężaru.

Mieszaniec.

Znajda.

Pomiot.

Przez długi czas sądził, że są to po prostu jego kolejne imiona.

Potem zrozumiał, że każde z nich miało go umniejszyć.

Nauczył się więc nie reagować.

To również była umiejętność.

Nie reagować nie znaczyło nie słyszeć. Słyszał wszystko. Ton głosu, przerwę przed obelgą, śmiech tych, którzy chcieli, by inni dołączyli. Z czasem zaczął rozpoznawać, kiedy człowiek obrażał go z odwagi, a kiedy tylko dlatego, że za plecami miał silniejszych.

Kiedy chłopcy z lepszych dzielnic mijali go z workiem węgla przewieszonym przez ramię i zatykali nosy, śmiejąc się głośno, on patrzył przed siebie.

Kiedy jedna z kobiet na targu kazała mu postawić worek przy drzwiach, żeby „nie naniósł brudu do środka", zrobił to bez słowa.

Kiedy ktoś splunął mu pod nogi, nie podniósł wzroku.

Nie dlatego, że się nie gniewał.

Gniewał się.

Czasami tak bardzo, że nocą leżał z otwartymi oczami i wyobrażał sobie wszystkie rzeczy, które mógłby powiedzieć albo zrobić. W tych wyobrażeniach zawsze zwyciężał, lecz rano pamiętał, że zwycięstwo wymagało siły, pieniędzy albo nazwiska. On nie miał żadnej z tych rzeczy. Miał za to pamięć i cierpliwość, choć jeszcze nie wiedział, czy wystarczą.

Ale ojciec nauczył go jeszcze jednej rzeczy.

— Biedny człowiek może sobie pozwolić na gniew — powiedział kiedyś — ale tylko wtedy, kiedy jest gotowy zapłacić jego cenę.

Długo zastanawiał się, co to właściwie znaczy.

Zrozumiał dopiero wiele lat później.

Wtedy pojął również, że cierpliwość nie zawsze była cnotą. Czasami była tylko inną nazwą strachu, który nauczył się siedzieć cicho.

Dolina Shangri-La była piękna w sposób, którego chłopiec przez długi czas nie dostrzegał.

Człowiek nie zachwyca się miejscem, w którym codziennie nosi ciężary.

Dopiero z czasem zaczął dostrzegać tarasy pól wspinające się po zboczach niczym wielkie stopnie prowadzące ku górom. Widział poranne mgły zalegające nad dachami, czerwone dachówki świątyń jarzące się w pierwszych promieniach słońca i strumienie przecinające dolinę srebrnymi liniami.

Zauważał też rzeczy, których inni nie dostrzegali: że mgła najdłużej utrzymywała się nad północnym zboczem, że woda w jednym ze strumieni przybierała po deszczu szybciej niż w pozostałych i że dzwony świątynne nie zawsze biły w tej samej kolejności. Nie wiedział, do czego przyda mu się ta wiedza. Po prostu nie potrafił przejść obok zagadki bez próby jej rozwiązania.

Wysoko ponad wszystkim wznosiły się góry.

Otaczały Shangri-La ze wszystkich stron.

Dla większości mieszkańców były murem chroniącym ich świat przed tym, co znajdowało się poza nim.

Dla syna węglarza były tajemnicą.

Czasami, zbierając drewno, zatrzymywał się i patrzył na pełgająca żarzącą czerwienią szczyty.

Wyobrażał sobie drogi po drugiej stronie, miasta, w których nikt nie znał jego twarzy, i ludzi, którzy może również patrzyli na góry, zastanawiając się, co znajduje się za nimi. Ta myśl budziła w nim jednocześnie głód i wstyd. Pragnął odejść, lecz samo pragnienie wydawało mu się zdradą wobec ojca.

— Co tam jest? — zapytał kiedyś.

Ojciec nie podniósł głowy znad drewna.

— Skały.

— A za nimi?

— Więcej skał.

— A dalej?

Ojciec westchnął.

— Pustynia. Świat.

To jedno słowo wystarczyło.

Świat.

Powtarzał je później w myślach.

Świat.

Coś większego niż targ, świątynia, dom, mielerz i ulice Shangri-La.

Coś znajdującego się za górami.

Pierwszy raz spotkał starych żołnierzy przypadkiem.

Miał wtedy może dziewięć lat. Nikt nie prowadził dokładnych zapisków dotyczących dzieci takich jak on.

Niósł węgiel do jednej z gospód leżących niedaleko dawnego budynku straży świątynnej.

Usłyszał śmiech.

Nie dziecięcy.

Gruby, ochrypły, przerywany kaszlem i przekleństwami.

Drzwi niewielkiego pomieszczenia przy dziedzińcu były otwarte. W środku siedziało pięciu mężczyzn. Wszyscy byli starzy. Jeden nie miał dwóch palców. Drugi nosił skórzaną przepaskę na oku. Trzeci miał policzek przecięty szeroką blizną.

Na stole leżały monety.

Zatrzymał się w progu i policzył je odruchowo. Nie dlatego, że znał wartość każdej z nich, lecz dlatego, że liczby uspokajały go bardziej niż twarze.

— Jeszcze raz — powiedział jeden z nich.

— Nie mam pieniędzy — odparł chłopiec.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

— Każdy ma jakieś pieniądze.

— Ja nie.

Jednooki spojrzał na worek.

— Masz węgiel.

— To nie mój.

— Jeszcze lepiej. Siadaj.

Powinien był odejść.

Rozumiał to. Rozumiał również, że mężczyźni byli pijani, silniejsi i przyzwyczajeni do tego, że inni ustępują. Mimo to usiadł. Ciekawość okazała się silniejsza od rozsądku, a może rozsądek podpowiadał mu, że odmowa kosztowałaby więcej.

Gra była prosta.

Tak przynajmniej mu powiedzieli.

Po kilku minutach stracił dwie drobne monety, które ojciec dał mu na chleb.

Po kolejnych kilku przegrał pasek.

— Dobra lekcja — powiedział jednooki. — Nigdy nie siadaj do gry z człowiekiem, który mówi, że gra jest prosta.

— Oszukaliście.

Zapadła cisza.

Potem wszyscy znowu się roześmiali.

— Słyszeliście? — ryknął mężczyzna bez palców. — Młody odkrył tajemnicę hazardu!

Wstał czerwony ze złości.

— Oddajcie pasek.

— Wygraj go.

— Nie mam czym grać.

Jednooki zastanowił się.

— Masz buty.

Wyszedł boso.

Następnego dnia wrócił.

Żołnierze spojrzeli na niego zdumieni.

— Ty jesteś głupi czy odważny? — zapytał jednooki.

— Chcę odzyskać buty.

— Masz czym grać?

Położył na stole trzy kamyki.

— Nie.

Zapadła cisza.

A potem najstarszy z mężczyzn parsknął śmiechem.

— Siadaj.

Tego dnia nauczyli go rozpoznawać znaczone kości.

Następnego — patrzeć ludziom na dłonie zamiast na twarze.

Później pokazali mu, jak ktoś może ukryć monetę między palcami, jak odwrócić uwagę przeciwnika pytaniem i jak rozpoznać człowieka, który kłamie źle, oraz takiego, który kłamie dobrze.

Chłopiec nie odzyskał butów przez prawie tydzień.

Kiedy wreszcie wygrał, jednooki podał mu je z wyraźnym żalem.

— Szkoda.

— Czego?

— Myślałem, że zostaniesz.

Założył buty.

— Jutro też przyjdę.

Tak zaczęła się jedna z najważniejszych znajomości w jego życiu.

Nie wiedział jeszcze, że nauczył się tam czegoś więcej niż gry. Po raz pierwszy odkrył, że przewaga nie zawsze należała do najsilniejszego. Czasami wystarczało zauważyć to, co inni uznawali za nieważne.

Weterani byli ludźmi z innego świata.
Dla innych mieszkańców Shangri-La stanowili relikt.
Stare psy, które przeżyły zbyt długo.
Dla młodego węglarza byli księgą.
Każdy miał historię.
Wojny.
Dalekie miasta.
Obce rasy.
Pierwszy raz od nich usłyszał o goblinach.

— Zielone? — zapytał.

— Czasami.

— Małe?

— Zwykle.

— Głupie?

Starzec bez palców spojrzał na niego poważnie.

— Tego nigdy nie zakładaj o nikim, kto trzyma nóż.

Zapamiętał tę odpowiedź lepiej niż wszystkie opowieści o potworach. Zrozumiał, że świat nie dzielił się tak łatwo, jak twierdzili ludzie z doliny. Każda reguła miała wyjątek, a każdy wyjątek mógł mieć zęby.

Innym razem opowiadali mu o trollach.
Jeszcze innym o smokach.
Początkowo sądził, że wszystko zmyślają.

— Smok nie może być większy od domu.

— Może.

— Nie może latać, jeśli jest większy od domu.

— Powiedz mu to, kiedy jakiegoś spotkasz.

— A wy spotkaliście?

Zapadła cisza.
Jednooki uniósł kubek.

— Dlatego mamy teraz tylko jedno oko.

— Przecież mówiłeś, że straciłeś je podczas bójki.

— Smok też może się bić.

Pokręcił głową.
Nigdy nie wiedział, kiedy żartowali.
Ale słuchał.
Słuchał wszystkiego.

Z czasem zaczął rozdzielać ich opowieści na te, które brzmiały jak przechwałki, te, które mogły być prawdą, i te, których prawdziwość nie miała znaczenia, bo i tak uczyły go patrzeć szerzej. Nie pytał o wszystko. Wiedział, że człowiek, który zadaje zbyt wiele pytań, czasem dostaje odpowiedź, której nie potrafi unieść.

Wkrótce przestali tylko opowiadać.
Zaczęli go uczyć.
Najpierw dla zabawy.
Potem dlatego, że chłopak wracał każdego dnia.
— Stań.
Stanął.
— Prosto.
Wyprostował się.
— Nie jak kij. Jak człowiek.
— Przecież stoję.
— To nie jest stanie. To czekanie, aż ktoś cię przewróci.
Jednooki kopnął go lekko pod kolano.
Runął na ziemię.
Weterani ryknęli śmiechem.
Podniósł się.
Jednooki zrobił to ponownie.
Tym razem chłopak zdążył napiąć nogę.
Upadł tylko na jedno kolano.
— Lepiej.
Ćwiczyli.
Drewniany kij zamiast szabli.
Pokrywa starej beczki zamiast tarczy.
Kurz dziedzińca zamiast pola bitwy.
Chłopiec wracał do domu posiniaczony.
Ojciec zauważył to po kilku dniach.
— Biją cię?
— Uczą.
Ojciec długo mu się przyglądał.
— To czasem wygląda podobnie.
Nie zabronił mu wracać.

Może widział, że chłopak potrzebował czegoś więcej niż pracy i milczenia. A może rozumiał, że jeśli jego syn miał kiedyś opuścić dolinę, powinien najpierw nauczyć się, jak nie dać się zabić na pierwszej drodze.

Pewnego popołudnia jednooki podał chłopcu drewnianą szablę.
— Uderz mnie.
Chłopiec zaatakował.
Starzec odbił cios.
— Jeszcze.
Spróbował ponownie.
I znowu.

I jeszcze raz.

Po dziesiątym ciosie dyszał.

— Za każdym razem robisz to samo — powiedział weteran.

— Bo każesz mi uderzać.

— A ja za każdym razem wiem, gdzie uderzysz.

Zmarszczył brwi.

Przez chwilę nie patrzył na szablę, lecz na stopy starca. Jednooki zawsze przesuwał prawą piętę, zanim odbijał cios z lewej strony.

— Mam uderzać inaczej?

— Masz sprawić, żebym myślał, że uderzysz inaczej.

Chłopiec spojrzał na niego.

Jednooki stuknął palcem w jego czoło.

— Tu zaczyna się walka.

Potem dotknął drewnianego ostrza.

— To jest dopiero koniec.

Zapamiętał również te słowa.

Wiele lat później, kiedy stanie naprzeciw przeciwnika silniejszego, szybszego i większego od siebie, przypomni sobie stary dziedziniec pachnący kurzem.

Ale wtedy był tylko chłopcem.

Chłopcem, który jeszcze nie wiedział, ile razy przyjdzie mu walczyć o życie.

Nie wiedział też, że jego największą przewagą nie będzie siła, lecz zdolność dostrzegania chwili, w której cudza pewność zaczyna pękać. Ta wiedza miała mu pomóc przetrwać, ale miała również nauczyć go podejrzliwości wobec każdego uśmiechu, każdej obietnicy i własnych pragnień.

Wieczorami wracał do mielerzy.

Ogień tlił się pod warstwami ziemi.

Ojciec siedział obok i pilnował, by stos nie zapłonął zbyt gwałtownie.

Syn usiadł przy nim.

Przez jakiś czas milczeli.

— Czego dzisiaj się nauczyłeś? — zapytał w końcu ojciec.

— Że walka zaczyna się w głowie.

Ojciec skinął powoli.

— Mądre.

— A ty?

Ojciec popatrzył na mielerz.

Z jednej ze szczelin wydobywała się cienka smuga dymu.

— Że jeśli zostawisz ogień bez nadzoru, zawsze znajdzie sposób, żeby wszystko spalić.

Obserwował dym. Wydobywał się zbyt równomiernie, niemal spokojnie. Wiedział już, że to oznaczało nierówny żar pod ziemią.

— Trzeba otworzyć szczelinę po lewej — powiedział.

Ojciec spojrzał na niego, a potem przesunął się bez słowa. Po chwili dym zmienił kierunek.

Uśmiechnął się.

Nie wiedział jeszcze, że jedno i drugie zdanie okaże się prawdziwe.

Nie wiedział, że dolina, którą uważał za cały świat, stanie się kiedyś dla niego więzieniem.

Nie wiedział, że góry, na które patrzył wieczorami, będą kiedyś granicą między życiem a śmiercią.

Nie wiedział też, że umiejętność wzniecania ognia, której nauczył się przy ojcowskich mielerzach, pewnego dnia pomoże mu podczas rytuału starszego niż wszystkie świątynie Shangri-La.

Na razie jednak siedział obok ojca.

Miał brudne dłonie.

Obolałe żebra.

W głowie pełnej cudzych słów próbował zbudować własny plan na przyszłość, choć nie znał jeszcze miejsca, do którego miałby prowadzić.

I cały świat przed sobą.

Nad doliną powoli zapadała noc.

A z mielerza unosił się dym.

Rozdział II

Fontanna w ogrodach

Fontanna nie była wielka.



Fontanna w ogrodach świątynnych

Dopiero wiele lat później zaczął się zastanawiać, dlaczego zapamiętał ją jako coś ogromnego. Może dlatego, że w tamtej chwili dzieliła dwa światy.

Furta w murze była uchylona. Chłopiec pchnął ją przypadkiem, szukając przejścia na skróty, i znalazł się w ogrodzie należącym do kapłanek Sharami.

Za żywopłotami biegła wąska ścieżka. Prowadziła do fontanny ukrytej wśród drzew, z dala od placów i ulic miasta.

Stał po jednej stronie — czarny od węglowego pyłu, spocony, śmierdzący dymem i pracą. Po drugiej rozciągał się ogród świątynny, do którego nie powinni wchodzić chłopcy z jego dzielnicy.

Woda spadała z kamiennej misy cienkimi strugami.
Plusk.
Przerwa.
Plusk.
Patrzył.
Powinien był wrócić tą samą furtą.
Nie rozumiał jeszcze, że znalazł się w miejscu przeznaczonym wyłącznie dla kapłanek.
Taka fontanna nie powstała dla chłopców przynoszących węgiel.
Fontanna stała w ogrodzie kapłanek, pośród krzewów i drzew. Nie służyła do kąpieli; była ozdobą świątynnego miejsca, do którego zaglądały tylko kobiety Sharami.
Ale nikt się w nich nie kąpał.
A już z całą pewnością nie ktoś taki jak on.
Otarł czoło.
Na przedramieniu pozostała ciemna smuga.
Spojrzał na nią.
Potem na wodę.
Zrobił krok.
Nic się nie wydarzyło.
Drugi.
Za żywopłotem przemknęła kapłanka w brązowej szacie. Zerknęła na niego, lecz zaraz zniknęła między drzewami.
Jeszcze jeden.
Stanął przy samym brzegu.
Woda była tak przejrzysta, że widział drobne spękania kamiennego dna.
W przejrzystej wodzie pływały kolorowe rybki. Jedna podpłynęła pod sam brzeg, błysnęła czerwienią i złotem, po czym zawróciła.
Przykucnął.
Wyciągnął dłoń w stronę rybki.
Zimno przeszyło palce aż do nadgarstka.
Cofnął ją odruchowo.
A potem się uśmiechnął.
Nie pamiętał, kiedy ostatni raz dotykał czegoś równie chłodnego.
Wyciągnął rękę ponownie, próbując dosięgnąć rybki.
Czarna warstwa sadzy zaczęła odchodzić.
Najpierw cienkimi nitkami.
Potem całymi smugami.
Woda wokół jego dłoni poszarzała.
Patrzył jak zahipnotyzowany.
Przetarł skórę kciukiem.
Pod brudem pojawił się jej właściwy kolor.

Nie czarny.
Nie szary.
Nie taki, jakim widywał siebie przez większość dnia.
Po prostu skóra.
Jego skóra.
Podniósł wzrok.
W powierzchni fontanny zobaczył własne odbicie.
Rozmazane przez fale.
Brudna twarz.
Włosy posklejane potem.
Ciemne smugi na szyi.
Nagle poczuł coś, czego wcześniej nie potrafiłby nazwać.
Wstyd.
Nie dlatego, że był brudny.
Dlatego, że przez chwilę uwierzył, iż taki właśnie jest.
Jakby sadza była częścią jego ciała.
Jakby zapach mielerza był jego naturalnym zapachem.
Jakby ludzie mieli rację.
Pomiot.
Węglarz.
Mieszaniec.
Brudas.
Podczłowiek.
Wyprostował się.
Rozejrzał.
Nikt jeszcze go nie zatrzymywał.
Nie zdjął koszuli.

Pierwszy krzyk usłyszał, kiedy poślizgnął się na mokrym kamieniu i wpadł do fontanny.

— Hej!

Spojrzał w tamtą stronę.
Jakiś mężczyzna zatrzymał się z otwartymi ustami.
Próbował oprzeć stopę o dno, ale kamień był śliski.
Woda sięgała mu niemal do ramion.
Była lodowata.
Ciało natychmiast pokryła gęsia skórka.

— Zwariowałeś?!

Przez ułamek sekundy sam nie wiedział.
Próbował wstać.
Złapał się krawędzi misy, ale dłoń ześlizgnęła mu się po mokrym kamieniu.
Wpadł ponownie do wody, tym razem aż po ramiona.

Z jego skóry spływały czarne strugi.
W jednej chwili czysta woda wokół niego zmieniła kolor.
Ktoś krzyknął.
Ktoś inny zaczął się śmiać.
Przestał ich słyszeć.
Zanurzył głowę.
Świat zniknął.
Nie było placu.
Nie było kapłanów.
Nie było ojca.
Nie było dzieci wołających za nim „mieszaniec".
Była tylko zimna woda.
Przez chwilę trwał pod powierzchnią z zamkniętymi oczami.
Potem wynurzył się i nabrał powietrza.
Spływało po nim wszystko.
Pot.
Kurz.
Sadza.
Dym.
Cały dzień pracy.
Może całe dotychczasowe życie.
Tarł dłonią ramię.
Potem drugie.
Klatkę piersiową.
Twarz.
Z każdym ruchem pod czernią pojawiała się skóra.
Patrzył na swoje ręce.
Były chude.
Podrapane.
Na palcach miał odciski.
Ale nie różniły się tak bardzo od rąk innych ludzi.
Spojrzał na przechodniów.
Na urzędnika w jasnej tunice.
Na kupca.
Na dwóch strażników.
Wreszcie na grupę kapłanek przechodzących szerokimi schodami świątyni.
Ich skóra też była skórą.
Ich ręce miały pięć palców.
Oddychały tym samym powietrzem.
Kiedy było gorąco, również się pociły.

Kiedy je skaleczyć, płynęła z nich krew.
I coś nagle pękło.
Nie w świecie.
W nim.
Przez całe życie przyjmował za pewnik, że stoi niżej.
Może nie świadomie.
Nigdy przecież nie powiedział sobie: jestem mniej wart.
Nie musiał.
Powtarzano mu to tak długo, że zdanie stało się częścią jego myślenia.
Nie wchodził tam, gdzie nie powinien.
Nie patrzył zbyt długo w oczy ludzi stojących wyżej.
Nie dotykał rzeczy, które nie były dla niego.
Przyjmował, że świat ma piętra.
I że on urodził się na samym dole.
Teraz patrzył na czarną wodę odpływającą od jego ciała.
I zrozumiał coś niezwykle prostego.
Brud można zmyć.
A jeśli można było zmyć to, co ludzie brali za część niego…
…to może pozostałe rzeczy również nie były prawdą.
Wstał.
Woda spływała z niego strugami.
Na placu zapadła cisza.
Chłopiec nie wyglądał jak człowiek przemieniony przez magię.
Był nadal chudy.
Nadal miał stare spodnie.
Nadal jego żebra można było policzyć z kilku kroków.
Ale on sam czuł się tak, jakby właśnie narodził się drugi raz.
Spojrzał na kapłanki.
Jedna z nich patrzyła na niego ze szczerym obrzydzeniem.
Jeszcze godzinę wcześniej spuściłby wzrok.
Teraz nie spuścił.
Patrzył.
Długo.
I wtedy pomyślał:
Jesteś taka jak ja.
Ta myśl była bluźnierstwem.
I najpiękniejszą rzeczą, jaka kiedykolwiek przyszła mu do głowy.

— Wyłaź.
Odwrócił głowę.
Przy fontannie stało dwóch strażników.

Jeden trzymał włócznię.
Drugi pałkę.
— Już wychodzę.
— Natychmiast.
Zrobił krok.
Strażnik uderzył go pałką w ramię.
Nie mocno.
Bardziej dla podkreślenia swojej władzy.
Zachwiał się.
Pierwszym odruchem było przeprosić.
Słowo niemal pojawiło się na języku.
I wtedy spojrzał na swoje czyste ramię.
Na miejsce, w które dostał.
Poczuł gniew.
Inny niż wcześniej.
Dotąd jego złość była czymś ukrywanym.
Gorącym kamieniem noszonym w brzuchu.
Teraz po raz pierwszy pomyślał:
Dlaczego właściwie mam cię przepraszać?
— Powiedziałem, że wychodzę.
Strażnik złapał go za włosy.
Chłopiec uderzył.
Nie zaplanował tego.
Pięść trafiła mężczyznę w usta.
Na placu ktoś krzyknął.
Strażnik puścił go.
Przez krótką chwilę obaj patrzyli na siebie z identycznym zdumieniem.
Potem drugi rzucił się na chłopca.

Był szybszy, niż się spodziewali.
To uratowało go przed pierwszym ciosem.
Uchylił głowę.
Pałka przeleciała obok ucha.
Przypomniał sobie dziedziniec.
Nie cofaj się tam, gdzie chcą cię zapędzić.
Skoczył w bok.
Pierwszy strażnik próbował go chwycić.
Wyrwał się.
Przez kilka sekund naprawdę wierzył, że zdoła uciec.
Potem trzeci strażnik zastąpił mu drogę.
Czwarty pojawił się od strony świątyni.

Walczył.
Źle.
Chaotycznie.
Jak dziecko, które zna kilka ruchów i usiłuje zastosować wszystkie naraz.
Dostał pięścią w brzuch.
Zabrakło mu powietrza.
Potem pałką pod kolano.
Upadł.
Ktoś wykręcił mu rękę.
Przycisnął twarz do mokrego kamienia.
Poczuł smak własnej krwi.
Nad nim stały bose stopy jednej z kapłanek.
Spojrzał na nie.
Czyste.
Zadbane.
Takie same palce jak jego.
Prawie się roześmiał.

— Co cię bawi? — syknął strażnik.

Odwrócił twarz na tyle, na ile pozwalała mu ręka przyciskająca kark.

— Nic.

I po raz pierwszy w życiu naprawdę miał to na myśli.
Nic w nich nie było szczególnego.

Wieść rozeszła się szybko.
Nie o chłopcu, który chciał się umyć.
O bluźniercy.
O mieszańcu, który wszedł do świętej fontanny.
O brudasie, który skalał wodę używaną przez kapłanki.
O chłopaku, który podniósł rękę na strażnika.
Każdy kolejny człowiek dodawał coś od siebie.
Jeszcze zanim zaprowadzono chłopca przed sąd świątynny, podobno oddał mocz do fontanny, próbował utopić kapłankę i przeklinał imię Sharami.
Słuchał tego wszystkiego z rosnącym zdumieniem.

— Nic takiego nie zrobiłem.

Strażnik pchnął go naprzód.

— Zamknij się.

— Ale...

— Zamknij się.

Tym razem nie odpowiedział.
Nie dlatego, że się bał.
Patrzył na ludzi mijanych po drodze.

Widział ich twarze.
Jedni byli oburzeni.
Inni rozbawieni.
Jeszcze inni po prostu ciekawi.
I nagle zrozumiał coś jeszcze.
Prawda nie miała znaczenia, jeśli odpowiednio wielu ludzi potrzebowało innej wersji.

Wyrok zapadł szybko.
Biczowanie.
Publiczne.
Przy palu na szczycie piramidy.
Ojca nie dopuszczono do niego.
Zobaczył go dopiero później, w tłumie.
To był chyba najgorszy moment.
Nie wtedy, kiedy związano mu nadgarstki.
Nie wtedy, kiedy zerwano z niego ubranie.
Nie kiedy pierwszy raz zobaczył bicz.
Tylko kiedy odnalazł wzrokiem ojca.
Stał daleko.
Próbował przedostać się bliżej.
Dwóch strażników go powstrzymywało.
Krzyczał coś.
Nie słyszał słów.
Widział tylko jego twarz.
Ojciec wyglądał starzej niż dzień wcześniej.
Chciał mu powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.
Nie potrafił.
Przywiązano go do pala.



Wyrok kapłanki Sharami

Słońce prażyło kamień.
Wokół zgromadziło się pół miasta.
Kapłanki Sharami stały wyżej.
Kolorowe szaty poruszały się na wietrze.
Patrzył na nie.
Jeszcze rano uważał je za istoty należące do innego świata.
Teraz wiedział, że jeśli zerwać z nich szaty i zmyć farby oraz pachnidła…
…pozostanie ciało.
Takie jak jego.
Ta myśl dawała mu dziwną siłę.
Pierwsze uderzenie bicza ją odebrało.

To, co nastąpiło później, chłopiec zepchnął w głąb pamięci. Ból i wściekłość zmieszały się z uczuciem obcej ingerencji w jego jaźń. Było to zatrważające doświadczenie, z którym nie zamierzał się godzić.

Później nazwano to klątwą.
Długo nie znał tej nazwy.
Wiedział tylko, że od tamtej chwili gniew czasem otwierał w nim drzwi.
Za nimi nie było odwagi.
Była furia.
Ślepa.

Bezrozumna.
Potężna.
Dawała mu możliwość walki wtedy, kiedy ciało powinno już upaść.
Pozwalała ignorować ból.
Popychała do przodu.
Ale za każdym razem odbierała mu kawałek kontroli.
Sharami nie podarowała mu broni.
Włożyła mu do serca dzikie zwierzę.
Tamtego dnia pamiętał tylko urywki.
Kamień pod policzkiem.
Krew.
Czyjeś ręce.
Głos ojca.
Ciemność.
Kiedy odzyskał przytomność, leżał w domu.
Na brzuchu.
Plecy płonęły.
Przy każdym ruchu świat robił się biały.
Ojciec siedział obok.
Nie spał.
— Tato.
Mężczyzna poderwał głowę.
Przez chwilę nic nie powiedział.
Potem nachylił się i położył dłoń na włosach syna.
— Jestem.
Zamknął oczy.
— Oni...
Nie dokończył.
Ojciec czekał.
— Oni nie są lepsi.
Dłoń znieruchomiała.
Chłopiec mówił cicho.
— Myślałem, że są.
— Synu...
— Naprawdę myślałem.
Odwrócenie głowy kosztowało go ogromny wysiłek.
— A oni są tacy sami.
Ojciec długo nic nie mówił.
— Śpij.
— Nie chcę.

— Musisz odpocząć.

— Nie.

Spojrzał na niego.

W oczach chłopca było coś, czego ojciec wcześniej tam nie widział.

— Już nie będę przed nimi spuszczał głowy.

Nie była to dziecięca deklaracja.

Biczowanie miało nauczyć chłopca jego miejsca.

I nauczyło.

Tyle że nie tego, które wyznaczyli mu kapłani.

Po raz pierwszy zrozumiał, gdzie naprawdę stoi.

Nie poniżej nich.

Naprzeciwko.

Przez następne tygodnie rany się goiły.

Blizny pozostały.

A on zmieniał się wraz z nimi.

Na ulicy patrzył ludziom w oczy.

Kiedy ktoś nazywał go mieszańcem, pytał:

— I co z tego?

Nie zawsze kończyło się to dobrze.

Kilka razy dostał.

Raz sam pobił człowieka tak dotkliwie, że później nie pamiętał połowy walki.

Przeraziło go to.

Był w nim teraz gniew, którego nie potrafił kontrolować.

Czasem wystarczało pchnięcie.

Obelga.

Widok kogoś bitego.

Nagle świat zwężał się do czerwonego punktu.

Kiedy odzyskiwał świadomość, miał poranione dłonie.

Któregoś wieczoru siedział przy mielerzu i długo patrzył w ogień.

Ojciec usiadł obok.

— Boisz się?

Skinął głową.

— Tak.

— Czego?

Chłopiec długo nie odpowiadał.

— Siebie.

Ojciec niczego nie bagatelizował.

Nie powiedział, że przejdzie.

Nie powiedział, że jest dobrze.

Po prostu siedział obok.

Po chwili wskazał mielerz.

— Pamiętasz, co mówiłem o ogniu?

Patrzył na żar.

— Że trzeba mieć do niego szacunek.

— I że kiedy zostawisz go bez nadzoru...

— ...spali wszystko.

Ojciec skinął głową.

Zacisnął dłonie.

Po raz pierwszy pomyślał o furii nie jak o sile.

Jak o ogniu.

I zrozumiał, że jeśli kiedyś ma się nią posłużyć, najpierw musi nauczyć się jej pilnować.

Nie stał się posłuszniejszy.

Stał się ostrożniejszy.

To była zasadnicza różnica.

Zaczął spotykać się z innymi chłopakami.

Tymi z targu.

Dziećmi pracowników.

Sierotami.

Takimi jak on.

Nie mówił im o rewolucji.

Nie znał tego słowa.

Po prostu mówił:

— Nie musisz pozwalać się kopać.

Albo:

— Jeśli jest nas pięciu, ten jeden nie jest już taki odważny.

I:

— Nie okradajcie biedniejszych od siebie. Jaki to ma sens?

Powoli wokół niego zaczął tworzyć się krąg.

Jeszcze nie gang.

Jeszcze nie społeczność.

Ale coś się rodziło.

Kapłani widzieli to.

Strażnicy również.

I zaczęli uważniej obserwować chłopca, którego publiczne biczowanie miało uczynić przykładem.

Stało się dokładnie odwrotnie.

Zrozumiał, że musi zniknąć, kiedy pewnego wieczoru zobaczył dwóch strażników rozmawiających z sąsiadem.

Nie potrzebował słyszeć słów.

Weterani dawno temu nauczyli go patrzeć na dłonie.
Jeden ze strażników trzymał je na pasie.
Drugi zerkał w stronę domu węglarza.
Sąsiad wskazywał.
Chłopiec wycofał się.
Nie wrócił do domu.
Nie mógł.
Zamiast tego ruszył ku dolnej części doliny.
Później dalej.
Tam, gdzie kończyły się pola.
Gdzie drzewa stawały się gęstsze.
Gdzie ludzie Shangri-La niechętnie zapuszczali się nocą.
Do dżungli.W góry.

Pierwszą noc spędził pod korzeniami przewróconego drzewa.
Było mokro.
Owady chodziły po jego nogach.
Coś wrzeszczało wysoko w koronach.
Chłopiec nie spał.
Następnego dnia poszedł głębiej.
Musiał wracać do miasta po jedzenie.
Nie mógł jednak robić tego głównymi drogami.
Nauczył się bocznych ścieżek.
Przechodził przez krzaki.
Pełzał rowami.
Obserwował straże.
Nocą czasem podchodził do targowiska i kradł to, czego potrzebował.
Innym razem ktoś z jego dawnych towarzyszy zostawiał dla niego chleb.
Wkrótce znał rytm targu lepiej niż kupcy.
Wiedział, kiedy zmieniano straż.
Który handlarz spał za swoim straganem.
Która brama pozostawała otwarta najdłużej.
A dżungla powoli przestawała być dla niego obca.

Pewnego dnia, leżąc na konarze ogromnego drzewa i patrząc w światło prześwitujące między liśćmi, przypomniał sobie biczowanie.
"Kapłanka stojąca najwyżej uniosła obie ręce.
Tłum ucichł.
Nie znał wszystkich słów wypowiedzianej przez nią modlitwy. Niektóre były stare, używane wyłącznie podczas ceremonii. Rozpoznał jednak imię.
Sharami.

Powtórzyło się trzy razy.
Za pierwszym odpowiedziały kapłanki.
Za drugim ludzie zgromadzeni wokół piramidy.
Za trzecim nie odpowiedział nikt.

— Niech Sharami spojrzy na winnego — powiedziała kapłanka. — Niech będzie świadkiem jego kary i niech pozna jego serce.

Uniósł głowę.
Nie rozumiał, po co bogini miałaby poznawać jego serce.
Chciał tylko, żeby rozwiązano mu ręce.

— Jeżeli jest w nim pokora, niech ból ją odsłoni. Jeżeli jest w nim skrucha, niech ból ją oczyści. Jeżeli zaś tkwi w nim bunt...

Kapłanka zrobiła krótką przerwę.

— ...niech zostanie złamany.

Pierwszy cios spadł na plecy chłopca.
Krzyknął.
I gdzieś bardzo daleko od świata ludzi coś zwróciło uwagę.

Sharami nie widziała go wcześniej tak, jak człowiek widzi człowieka.

Bogowie nie spoglądali na każdą ulicę, każde dziecko i każdą kroplę krwi. Śmiertelnicy rodzili się, modlili, cierpieli i umierali całymi tysiącami.

Ale jej imię zostało wypowiedziane.
Jej kapłanki wezwały ją.
Kara odbywała się w jej świątyni, przed jej ołtarzem i w jej imieniu.
Poprosiły, żeby poznała jego serce.
Sharami odpowiedziała.
Nie pojawiła się.
Nie zeszła z niebios.
Po prostu skierowała ku niemu niewielką cząstkę swojej uwagi.
I zajrzała.
Drugie uderzenie.
Trzecie.
Próbował wytrzymać.
Najpierw myślał o ojcu.
Potem o wodzie.
O fontannie.
O sadzy rozpływającej się wokół jego dłoni.
Brud można zmyć.
Czwarty cios.
Piąty.
Kolana się pod nim ugięły.
Kapłanki czekały na błaganie.

To właśnie miało nadejść.
Skrucha.
Pokora.
Przyznanie, że porządek świata został naruszony i właśnie go przywracano.
Przez moment sam również chciał błagać.
Ból był zbyt wielki.
Wystarczyłoby kilka słów.
Przepraszam.
Znam swoje miejsce.
Już nigdy.
Ale wtedy przypomniał sobie kobietę przy fontannie.
Jej niesmak.
Strażnika uderzającego go za to, że wszedł do wody.
Kapłanki spoglądające na niego z góry.
I jedną myśl, która narodziła się tamtego dnia.
Oni są tacy sami jak ja.
Krew miała ten sam kolor.
Ból działał tak samo.
Ciało było ciałem.
Więc dlaczego miał błagać ich o wybaczenie za to, że się umył?
Kolejny cios.
Zacisnął zęby.
Nie powiedział nic.
I właśnie wtedy Sharami zainteresowała się nim naprawdę.
Bogini szukała pokory.
Znalazła gniew.
Sięgnęła głębiej.
Było tam więcej.
Lata upokorzeń.
Spuszczony wzrok.
Splunięcia pod nogi.
Węgiel wcierany w skórę.
Śmiech dzieci.
Twarz ojca.
Strach.
Pragnienie świata za górami.
I coś, czego wcześniej niemal nie było.
Duma.
Mała.
Niedojrzała.

Ale już nie do usunięcia.
Sharami nacisnęła.
Zachłysnął się powietrzem.
Nie wiedział, że to ona.
Poczuł tylko, jak coś obcego przesuwa się przez niego, jak palec biegnący po ostrzu i sprawdzający jego krawędź.
Ból.
Strach.
Gniew.
Bogini naciskała coraz mocniej.
Chciała zobaczyć, gdzie chłopiec pęknie.

Nie pękł.
To ją zainteresowało.
Nie dlatego, że chłopiec był najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziała.
Nie był.
Bał się.
Płakał.
Krzyczał przy uderzeniach.
Jego ciało błagało o koniec.
Ale w samym środku tego strachu znajdowało się jedno uparte:
Nie.
Nie będę gorszy.
Nie będę klękał dlatego, że kazaliście mi uwierzyć, że powinienem.
Nie powiem, że zasłużyłem.
Nie oddam wam tego, co właśnie znalazłem.
Sharami dotknęła tego „nie".
A ono odpowiedziało.

Poczuł gorąco.
Nie na plecach.
Głębiej.
Jak gdyby gdzieś pomiędzy sercem a żołądkiem zapłonęła iskra.
Kat uderzył ponownie.
Iskra stała się płomieniem.
Ból nie zniknął.
Stał się częścią gniewu.
Podniósł głowę.
Kat zatrzymał rękę.
Jeszcze przed chwilą chłopiec wisiał bezwładnie na więzach.
Teraz stał.

Nogi mu drżały.
Krew płynęła po plecach.
A jednak stał.
Spojrzał na ludzi.
Na strażników.
Na kapłanki.
I nagle zapragnął ich wszystkich rozerwać.
Przeraziło go to.
Przez moment nie wiedział nawet, czy ta myśl należała do niego.
Szarpnął rękami.
Lina przecięła skórę nadgarstków.
Jeszcze raz.
Ktoś w tłumie krzyknął.
Strażnicy ruszyli naprzód.
Nie słyszał.
W jego głowie został tylko jeden rytm.
Walcz.
Szarpnięcie.
Walcz.
Cios.
Walcz.
Krew.
Walcz.
I gdzieś poza światem Sharami patrzyła na niego z rosnącym zainteresowaniem.
Kapłanki poprosiły boginię, żeby złamała buntownika.
Bogini zrobiła coś dokładnie przeciwnego.
Chciała sprawdzić, ile gniewu może pomieścić.
I kiedy znalazła granicę...
przesunęła ją.

To nie było błogosławieństwo.
Zrozumie to dużo później.
Sharami niczego mu nie podarowała.
Otworzyła drzwi, które powinny pozostać zamknięte.
Od tamtego dnia, kiedy strach, ból albo gniew przekraczały pewną granicę, coś budziło się po drugiej stronie.
Furia.
Pozwalała walczyć, kiedy mięśnie odmawiały posłuszeństwa.
Ignorować cierpienie.
Podnieść się, kiedy rozsądny człowiek powinien zostać na ziemi.
Ale nie odróżniała wroga od przyjaciela.

Nie znała litości.
Nie znała umiaru.
Chciała tylko jednego.
Jeszcze.
Jeszcze jednego ciosu.
Jeszcze jednego przeciwnika.
Jeszcze jednej kropli krwi.
Tak wyglądał pierwszy dar Sharami dla syna węglarza.

Jeżeli w ogóle można było nazwać go darem." Odegnał wspomnienia. Nie mógł spędzić całego życia na uciekaniu przed tym, co się wydarzyło.

Potem uśmiechnął się.
I ruszył w przeciwną stronę.
Ku targowi.
Był głodny.
A od czasu kąpieli w fontannie wiedział już jedno.

Jeśli świat nie zamierza dać mu miejsca przy stole, będzie musiał znaleźć własny sposób, żeby do niego usiąść.

Rozdział III

Imię węża

W Shangri-La imienia nie otrzymywało się przy narodzinach.
Przynajmniej nie tego, które miało pozostać z człowiekiem aż do śmierci.

Rodzice nazywali dzieci, jak chcieli. Czasem były to imiona przodków, czasem pieszczotliwe określenia, a czasem słowa wypowiedziane przypadkiem, które przylgnęły do dziecka na całe lata.

Ale takie imię należało do domu.
Prawdziwe imię należało do doliny.

Gdy dziecko kończyło dziesięć lat, stawało przed sługami Sharami. Kapłanki i kapłani wysłuchiwali świadectwa rodziny, przywoływali błogosławieństwo bogini, a następnie nadawali imię, pod którym człowiek miał być odtąd znany mieszkańcom Shangri-La.

Imię zapisywano w świątynnych księgach.

Od tej chwili dziecko nie było już tylko dzieckiem swoich rodziców. Stawało się członkiem wspólnoty, wobec której miało obowiązki i od której mogło oczekiwać ochrony.

Tak przynajmniej głosiły świątynne nauki.
Dla większości chłopców i dziewcząt był to dzień wielkiej radości.
Dostawali nowe ubrania.
Rodziny przygotowywały uczty.
Sąsiedzi przynosili drobne podarki.
Przyjaciele próbowali odgadnąć, jakie imię wybiorą dla nich kapłani.
Dla syna węglarza sprawa wyglądała nieco inaczej.
Nie miał nowych ubrań.
Nie było pieniędzy na ucztę.

A na kilka tygodni przed wyznaczonym dniem zdarzyło mu się coś, co uczyniło jego obecność w świątyni szczególnie niewygodną.

Wpadł do fontanny.
Potem uderzył strażnika.
A jeszcze później został wychłostany na szczycie piramidy.
Nie była to najlepsza droga do uzyskania przychylności kapłanek.

Rany na plecach goiły się powoli.

Ojciec codziennie zmieniał opatrunki, a chłopiec zaciskał zęby, udając, że prawie nic nie czuje.

Nie udawało mu się to szczególnie dobrze.

— Możesz krzyczeć — powiedział kiedyś ojciec.

— Nie chcę.

— Dlaczego?

— Bo wtedy będą mieli rację.

Ojciec przerwał pracę.

— Kto?

Chłopiec nie odpowiedział.

Sam nie wiedział, czy miał na myśli strażników, kapłanki, ludzi śmiejących się z niego na ulicach, czy wszystkich naraz.

Od czasu biczowania coś się w nim zmieniło.

Nie tylko blizny.

Czasem ogarniał go gniew tak gwałtowny, że nie rozpoznawał własnych myśli. Czuł wtedy gorąco w piersi, słyszał dziwny szum, a rzeczy, które zwykle wydawały się skomplikowane, stawały się przerażająco proste.

Ktoś go skrzywdził.

Należało oddać.

Mocniej.

Jeszcze mocniej.

Ojciec uczył go wtedy oddychać, liczyć, odchodzić, zanim zrobi coś głupiego.

Nie zawsze pomagało.

Ale chłopiec próbował.

Któregoś ranka, kiedy mógł już chodzić bez większego bólu, ojciec zabrał go na skraj dżungli po drewno.

Pracowali niedaleko starego szlaku prowadzącego ku górom.

Powietrze było wilgotne, ciężkie od zapachu ziemi i gnijących liści. Nad głowami wrzeszczały ptaki. Pomiędzy korzeniami przemykały jaszczurki, a z głębi lasu dobiegały odgłosy zwierząt, których chłopiec nie umiał nazwać.

Ojciec zajmował się powalonym drzewem.

Chłopiec zbierał suche gałęzie.

Wtedy usłyszał trzepot skrzydeł.

Spojrzał w górę.

Na gałęzi siedział ptak, większy od gołębia, z długim dziobem i piórami mieniącymi się zielenią.

Naprzeciw niego, na pniu, wspinał się niewielki czarny wąż.

Był tak mały, że chłopiec początkowo uznał go za młode zwierzę.

Ptak rozpostarł skrzydła.

Wąż zaatakował.

Nie miał żadnych szans.

Tak przynajmniej wyglądało to z dołu.

Ptak był kilkakrotnie większy. Miał mocny dziób, ostre pazury i przewagę wysokości. Za każdym razem, gdy wąż próbował dosięgnąć jego nóg, otrzymywał cios.

Spadał.

Wspinał się ponownie.

Atakował.

Dostawał następny cios.

Chłopiec obserwował z rosnącym zdumieniem.

— Głupi — mruknął.

Wąż rzucił się jeszcze raz.

Ptak uderzył go dziobem tak mocno, że małe ciało niemal oderwało się od pnia.

A jednak gad utrzymał się na gałęzi.

Nie uciekł.

Nie zwinął się w obronny kłębek.

Znów ruszył naprzód.

W końcu ptak najwyraźniej uznał, że ta walka nie ma sensu.

Rozpostarł skrzydła.

Wzbił się w powietrze.

I wtedy wąż skoczył.

Nie powinien był dosięgnąć ptaka.

A jednak dosięgnął.

Małe czarne ciało wystrzeliło z gałęzi niczym sprężyna. Szczęki zacisnęły się na nodze odlatującego stworzenia.

Ptak szarpnął skrzydłami.

Wzniósł się wyżej.

A wraz z nim poleciał wąż.

Chłopiec patrzył, jak obaj znikają pomiędzy koronami drzew.

Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo.

— Co tam znalazłeś? — zapytał ojciec.

— Węża.

— Dużego?

— Małego.

— To dobrze.

— Dlaczego?

— Dużego trudniej przeoczyć, kiedy chce cię ugryźć.

Chłopiec wskazał gałąź.

— Ten zaatakował ptaka.

Ojciec uniósł wzrok.

— Jakiego?

Chłopiec pokazał rozmiar rękami.

Ojciec zmarszczył brwi.

— Czarny? Cienki? Z jasnym znakiem przy głowie?

— Tak.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Gonzaga.

— Co?

— Tak się nazywa ten wąż.

Chłopiec powtórzył powoli:

— Gon-za-ga.

Słowo miało dziwny smak.

— Jest jadowity?

— Jak większość rzeczy tutaj, które nie uciekają przed czymś większym od siebie.

— Ale dlaczego zaatakował tego ptaka?

Ojciec wzruszył ramionami.

— Bo taki już jest. Mały, wściekły i gotów rzucić się nawet na coś, co mogłoby go połknąć.

— To głupie.

— Bardzo.

Ojciec wrócił do pracy.

Chłopiec jeszcze przez jakiś czas patrzył w korony drzew.

Przypomniał sobie, ile razy sam dostawał od większych chłopców.

Ile razy musiał uciekać.

Ile razy słyszał, że powinien znać swoje miejsce.

Tamten mały wąż najwyraźniej nie znał swojego.

A może znał.

Tylko wcale mu się nie podobało.

Dzień nadania imion rozpoczął się od dźwięku świątynnych trąb.

Długie, niskie tony przetoczyły się nad dachami Shangri-La i odbiły od gór otaczających dolinę.

Na placu przed piramidą gromadziły się rodziny.

Dzieci ustawiano według dzielnic i rodów. Ubrano je odświętnie. Niektórym zapleciono włosy, innym nałożono na szyje amulety. Matki poprawiały kołnierze, ojcowie udzielali ostatnich rad.

Syn węglarza stał z boku.

Miał wypraną koszulę.

Była stara, lecz ojciec naprawił wszystkie rozdarcia i wypłukał ją tak dokładnie, że niemal nie pachniała dymem.

Niemal.

— Nie garb się — powiedział ojciec.

Chłopiec wyprostował ramiona.

Skrzywił się.

Blizny jeszcze ciągnęły.

Ojciec zauważył to natychmiast.

— Boli?

— Nie.

— Kłamiesz.

— Trochę.

Mężczyzna poprawił mu kołnierz.

— Posłuchaj. Dzisiaj dostaniesz imię. Cokolwiek się wydarzy, pamiętaj, że to ważny dzień.

Chłopiec spojrzał ku piramidzie.

Poznawał jej schody.

Pamiętał kamień rozgrzany słońcem.

Pamiętał pal.

Pamiętał bicz.

— Dlaczego oni mają mi mówić, jak się nazywam?

Ojciec westchnął.

— Bo tak robi się w dolinie od pokoleń.

— To nie jest odpowiedź.

— Wiem.

Chłopiec zmarszczył brwi.

Ojciec przykucnął, żeby spojrzeć mu w oczy.

— Imię to nie tylko słowo. To coś, po czym ludzie będą cię pamiętać.

— A jeśli mi się nie spodoba?

— Przyzwyczaisz się.

Chłopiec milczał.

Była to jedna z tych odpowiedzi, których zaczynał serdecznie nie znosić.

Ceremonię rozpoczęła kapłanka w pomarańczowej szacie.

Towarzyszył jej Wietrzny, odziany w błękit, który odczytywał imiona dzieci i rodzin z wielkiej księgi.

Wyżej stała kapłanka w czerwieni.

Chłopiec rozpoznał ją natychmiast.

Ona również go zauważyła.

Jej spojrzenie zatrzymało się na nim tylko na chwilę, lecz wystarczyło, żeby poczuł znajome gorąco.

Zacisnął dłonie.

Nie teraz.

Ojciec położył mu rękę na ramieniu.

Ceremonia trwała.

Kolejne dzieci podchodziły do kamiennego paleniska.

Kapłanka zadawała pytania.

O pochodzenie.

O rodzinę.
O obowiązki.
Potem wypowiadała imię.
Dziecko powtarzało je trzy razy.
Raz wobec rodziny.
Raz wobec mieszkańców doliny.
Raz wobec Sharami.
Następnie dotykało dłonią kamiennej misy z wodą i ogrzewało ręce nad ogniem.
Woda przypominała o życiu.
Ogień o jego przemianach.
Wiatr miał roznosić imię po świecie.
Tak objaśniał ceremonię Wietrzny.
Chłopiec słuchał uważniej, niż można było sądzić po jego twarzy.
Woda.
Ogień.
Wiatr.
Wszystkie trzy znał.
Woda zmyła z niego sadzę.
Ogień od dzieciństwa dawał mu chleb.
Wiatr przynosił dym z mielerzy i śpiewał wysoko pomiędzy szklanymi szczytami.
Nie potrzebował kapłanów, żeby wiedzieć, czym są.
W końcu wywołano syna węglarza.
Na placu rozległy się szepty.
Niektórzy ludzie rozpoznali chłopca z fontanny.
Inni dostrzegli blizny wystające ponad kołnierz.
Kapłanka w pomarańczu spojrzała do księgi.
Potem na stojącą wyżej kobietę w czerwieni.
Ta skinęła głową.

— Podejdź.

Chłopiec podszedł.

— Jesteś synem człowieka wypalającego węgiel przy wschodnim zboczu?

— Tak.

— Urodziłeś się w dolinie Shangri-La?

— Tak.

— Uznajesz władzę świątyni i opiekę Sharami nad mieszkańcami doliny?

Chłopiec zawahał się.
Ojciec poruszył się niespokojnie.

— Mieszkam tutaj — odpowiedział wreszcie.

Kapłanka zmrużyła oczy.

— Nie o to pytałam.

— Wiem.

Cisza trwała nieco za długo.

Kobieta w czerwieni zeszła o jeden stopień.

— Nie zamieniaj tej uroczystości w kolejne przedstawienie.

Chłopiec spojrzał na nią.

Pamiętał jej twarz.

Pamiętał głos.

— Nie zamierzam.

Kapłanka w pomarańczu odchrząknęła i wróciła do ceremonii.

— Zgodnie z obyczajem przodków zostaniesz dzisiaj przyjęty do wspólnoty doliny. Otrzymasz imię, które będzie świadectwem twojego miejsca pośród jej mieszkańców.

Chłopiec przyjrzał się płonącemu palenisku.

Nie podobało mu się ostatnie zdanie.

Twojego miejsca.

Słyszał te słowa zbyt wiele razy.

Kapłanka kontynuowała:

— Niech imię, które otrzymasz, będzie znakiem...

— Mam już imię.

Powiedział to cicho.

Tak cicho, że początkowo usłyszeli go tylko najbliżsi.

Kapłanka przerwała.

— Co powiedziałeś?

Chłopiec uniósł głowę.

— Mam już imię.

Za plecami usłyszał gwałtowny oddech ojca.

Kapłanka w czerwieni zeszła niżej.

— Dziecko nie nadaje sobie imienia.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie zna jeszcze własnej natury.

Chłopiec zastanowił się.

Było w tym coś, co naprawdę chciał zrozumieć.

— A wy ją znacie?

Kapłanka znieruchomiała.

— Słucham?

— Moją naturę. Znacie ją?

— Sharami zna serca wszystkich swoich dzieci.

Chłopiec poczuł nagłe gorąco pod żebrami.

Przypomniał sobie biczowanie.

Obcą obecność, która sięgnęła do jego wnętrza.

Coś, co odpowiedziało na gniew.

— Ja pytam o was.

Kapłanka w czerwieni pobladła.

Na placu zrobiło się cicho.

Ojciec zamknął oczy.

— Synu... — wyszeptał.

Ale chłopiec patrzył już tylko na kapłankę.

— Nie wiecie, kim jestem.

— Wiemy, czym jesteś — odparła chłodno.

I właśnie to zdanie zdecydowało.

Nie gniew.

Nie strach.

Nawet nie wspomnienie bicza.

Po prostu chłopiec zrozumiał, że jeśli teraz pozwoli jej dokończyć, przez całe życie będzie nosił jeszcze jedno słowo wybrane przez kogoś, kto nawet nie próbował go poznać.

Przypomniał sobie dżunglę.

Małego czarnego węża.

Ptaka trzykrotnie większego od niego.

Wściekłe, beznadziejne ataki.

I ten ostatni skok.

— Gonzaga — powiedział.

Kapłanka zmarszczyła brwi.

— Co?

— Tak będę się nazywał.



Chłopiec sam wybiera swoje imię

Ktoś w tłumie parsknął.

Ktoś inny powtórzył słowo z niedowierzaniem.

Gonzaga.

Kapłanka w czerwieni spojrzała na niego tak, jakby właśnie splunął do świętego ognia.

— To nazwa węża.

— Wiem.

— Małego, złośliwego stworzenia, które atakuje nawet wtedy, kiedy powinno uciekać.

— Wiem.

— Czy ty w ogóle rozumiesz, dlaczego takie zwierzę nie nadaje się na wzór dla rozumnej istoty?

Chłopiec zastanowił się.

— Bo nie wie, kiedy przegrał?

Z tłumu dobiegł stłumiony śmiech.

Kapłanka zacisnęła szczękę.

— To nie jest zabawne.

— Dla niego chyba też nie było.

Przez chwilę patrzyli na siebie.

Kobieta w czerwieni miała władzę.

Świątynię.

Strażników.

Prawo.

Dziecko w starej koszuli miało tylko własny upór.

I ojca, który najwyraźniej właśnie żegnał się w myślach z nadzieją na spokojne życie.

— Nie uznamy tego imienia — oświadczyła kapłanka.

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Ja uznaję.

— W takim razie nie zostaniesz wpisany do księgi.

— Dobrze.

— Nie otrzymasz błogosławieństwa.

— Dobrze.

— Nie będziesz miał prawa powoływać się na ochronę świątyni.

Chłopiec spojrzał na własne dłonie.

Potem na blizny, które wiedział, że kryją się pod koszulą.

— Już wiem, jak mnie chronicie.

Kapłanka zrobiła krok naprzód.

Ojciec natychmiast znalazł się obok syna.

— Wybacz, pani — powiedział szybko. — Jest młody. Nie rozumie jeszcze...

— Rozumiem — przerwał chłopiec.

Ojciec spojrzał na niego błagalnie.

Gonzaga zobaczył ten wzrok.

I po raz pierwszy tamtego dnia poczuł wstyd.

Nie za swoje słowa.

Za strach ojca.

Nie chciał sprowadzać na niego kolejnej kary.

Odwrócił się więc ku kapłance i skłonił głowę.

Nie nisko.
Tylko tyle, ile uważał za konieczne.
— Nie chcę obrażać Sharami — powiedział. — Chcę tylko sam wybrać, jak będą mnie nazywać.
Kapłanka w pomarańczu spojrzała na przełożoną.
Wietrzny stał przy księdze z piórem zawieszonym nad pergaminem.
Wreszcie kobieta w czerwieni przemówiła:
— Niech więc nosi imię zwierzęcia, skoro bardziej niż do ludzi pragnie upodobnić się do gadów.
Ale świątynia nie nada mu go swoim głosem.
Odwróciła się.
Ceremonia była skończona.
Przynajmniej dla niej.
Gonzaga stał przez chwilę nieruchomo.
Potem podszedł do kamiennej misy.
Zanurzył w wodzie palce.
Obmył dłonie.
Następnie ogrzał je nad ogniem.
Nikt go nie zatrzymał.
Wiatr poruszył płomieniem.
Chłopiec odwrócił się ku zebranym.
— Gonzaga — powiedział.
Raz.
Spojrzał na ojca.
— Gonzaga.
Drugi raz.
A potem podniósł głowę ku niebu.
— Gonzaga.
Trzeci.
Nie wiedział, czy Sharami słuchała.
Nie potrzebował tego wiedzieć.

Ojciec nie odezwał się przez całą drogę do domu.
Gonzaga szedł obok niego, próbując odgadnąć, czy mężczyzna jest bardziej zły, czy przestraszony.
W końcu nie wytrzymał.
— Gniewasz się?
— Tak.
— Bardzo?
— Bardzo.
Przeszli kilkanaście kroków.

— Za imię?

— Za sposób.

Gonzaga przemyślał odpowiedź.

— Mogłem poczekać, aż sama mi je nada.

— Mogłeś.

— Ale wtedy nie byłoby moje.

Ojciec zatrzymał się.

Długo patrzył na syna.

— Wiesz, co mnie najbardziej martwi?

— Że znowu mnie wychłoszczą?

— Też.

— To co jeszcze?

Mężczyzna westchnął.

— Że przez całe życie będziesz wolał dostać po głowie, niż przyznać komuś rację.

Gonzaga wzruszył ramionami.

— Jeśli będzie miał rację, to przyznam.

Ojciec roześmiał się krótko.

— Bogowie miejcie nas w opiece.

Ruszyli dalej.

Za nimi świątynne trąby ponownie odezwały się nad doliną.

Gonzaga zerknął na ojca.

— A tobie się podoba?

— Co?

— Imię.

Ojciec milczał przez chwilę.

— Gonzaga — powtórzył wreszcie.

Wypowiedział je powoli, jakby sprawdzał, czy pasuje do człowieka idącego obok.

— Nazwa wyjątkowo paskudnego węża.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

— Wiem.

— Małego.

— Wiem.

— Wściekłego.

— Wiem.

— I głupiego na tyle, żeby rzucać się na wszystko, co większe od niego.

— Nie na wszystko.

Ojciec spojrzał podejrzliwie.

— A na co nie?

Gonzaga zastanowił się.

— Na to, czego nie chce ugryźć.

Mężczyzna pokręcił głową.

— W takim razie chyba rzeczywiście pasuje.

Położył dłoń na ramieniu syna.

— Chodź, Gonzaga. Mamy drewno do wypalenia.

Chłopiec zatrzymał się na ułamek chwili.

Nie dlatego, że usłyszał nowe imię.

Dlatego, że ojciec wypowiedział je tak zwyczajnie.

Jakby należało do niego od zawsze.

Dogonił mężczyznę.

I ruszyli razem ku mielerzom.

Tego dnia świątynia Shangri-La nie nadała imienia synowi węglarza.

Zrobił to sam.

A mieszkańcy doliny, którzy przez następne lata mieli wykrzykiwać je ze złością, pogardą, strachem, a czasem podziwem, nie przypuszczali jeszcze, jak daleko poniesie je wiatr.

Rozdział IV

Dzieci ulicy

Przez jakiś czas życie Gonzagi miało swój porządek.

Rankiem pomagał ojcu. Nosił drewno, zasypywał szczeliny mielerzy ziemią, ładował węgiel do worków i ciągnął je do miasta. Później, jeśli obowiązki na to pozwalały, znikał.

Ojciec wiedział, dokąd chodzi.

Nigdy o to nie pytał.

Gonzaga wracał czasem z rozciętą wargą, czasem z nowym siniakiem, a czasem z miną człowieka, który właśnie odkrył coś niezwykle ważnego i absolutnie nie zamierzał się tym dzielić.

Starzy żołnierze nauczyli go wielu rzeczy.

Z ich rozmów zapamiętał także pojedyncze słowa orkowej mowy: Sar — wąż, Dar — krew, Anghor — śmierć lub zagłada, Mirag — piramida grobowa, Kthan — wiara i wytrwałość, Myshan — pieśń, Imgur — mewa, Can — wyspa, Kshan — pokój lub bezpieczeństwo, Pulus — woda. Weterani nie układali dla niego lekcji; słowa wracały w krótkich uwagach, rozkazach i żartach.

Nie tylko walki.

Pokazali mu, jak patrzeć.

Jak rozpoznać człowieka, który zaraz sięgnie po nóż. Jak odróżnić pijaka, który chce się tylko awanturować, od takiego, który naprawdę może zabić. Jak wejść do pomieszczenia i jednym spojrzeniem znaleźć drugie wyjście.

Jak upadać.

Jak uciekać.

Jak oszukiwać.

I — co najważniejsze — jak nie dać po sobie poznać, że się boi.

Była to wiedza nader użyteczna dla chłopca dorastającego w dolnych dzielnicach Shangri-La.

Bo tam obowiązywały inne prawa niż w świątyniach.

Na górze trąby świątynne wyznaczały pory modlitw.

Na dole pusty żołądek wyznaczał porę posiłku.

Na górze kapłanki Sharami przemierzały dziedzińce w barwnych szatach, służba zamiatała przed nimi kamienne schody, a ze świątyni dochodził zapach kadzideł.

W świątyniach władały kobiety. Brąz nosiły nowicjuszki, pomarańcz kapłanki wyższego stopnia, czerwień te, które sprawowały władzę, a biel należała do Patronki stojącej na czele świątyni.

Mężczyźni służyli bogini jako Wietrzni: nosili błękit i wędrowali między świątyniami, głosząc jej kult, lecz nie rządzili miejscowym paleniskiem.

Na dole pachniało ściekami, dymem, gotowaną kapustą i potem.

Gonzaga znał oba te światy.

I do żadnego nie należał.

Pierwszych kilku chłopców zaczęło chodzić za nim właściwie bez powodu.

Jeden był młodszy od Gonzagi i wiecznie głodny. Drugi miał jedno ucho większe od drugiego i potrafił wspiąć się na niemal każdą ścianę. Trzeci kłamał tak źle, że właśnie dlatego wszyscy mu wierzyli.

Nie byli gangiem.

Przynajmniej na początku.

Byli po prostu dziećmi, których dorośli najczęściej nie zauważali.

A dzieci szybko odkrywają, że niewidzialność może być przewagą.

Najpierw kradli owoce.

Nie dlatego, że byli złodziejami.

Dlatego, że owoce smakowały lepiej, kiedy nie trzeba było za nie płacić.

Potem zaczęli urządzać zawody.

Kto przejdzie po murze otaczającym świątynne ogrody.

Kto ukradnie dzwonek z wozu handlarza.

Kto podejdzie najbliżej śpiącego strażnika.

Kto wyciągnie monetę z misy żebraka i odłoży dwie.

Gonzaga zazwyczaj wymyślał zadania.

Nie dlatego, że był największy.

Nie był.

Nie był też najsilniejszy.

Po prostu, kiedy coś mówił, inni zwykle go słuchali.

Potrafił patrzeć na problem chwilę dłużej niż reszta.

— Tam się nie da wejść — powiedział kiedyś chłopiec z dużym uchem, wskazując wysoki mur.

Gonzaga spojrzał na mur.

Potem na dach pobliskiej szopy.

Potem na beczki.

— Po murze nie.

— To jak?

— Po dachu.

— Na dach też się nie da wejść.

Gonzaga wskazał beczki.

— Da się.

Po kilku minutach cała czwórka siedziała po drugiej stronie muru i zajadała świątynne śliwki.

Tak właśnie powstawała jego mała banda.

Bez przysięgi.

Bez nazwy.

Bez ceremonii.

Po prostu pewnego dnia Gonzaga zdał sobie sprawę, że jeśli gdzieś idzie, kilka osób idzie za nim.

I podobało mu się to bardziej, niż chciał przyznać.

Nahajkę zobaczył pierwszy raz na targowisku.

Nadzorca szedł za grupą niewolników niosących kamienie.

Był gruby, spocony i najwyraźniej zły na cały świat.

Jeden z ludzi potknął się.

Kamień spadł.

Nadzorca uderzył go.

Nie mocno.

Nie tak, by go zabić.

Właśnie to rozsierdziło Gonzagę najbardziej.

Uderzył go odruchowo, bez emocji, jak człowiek odganiający muchę.

Niewolnik podniósł kamień.

Ruszył dalej.

Nadzorca nawet na niego nie spojrzał.

Gonzaga patrzył za nimi.

— Nie — powiedział chłopiec z dużym uchem.

Gonzaga milczał.

— Nawet o tym nie myśl.

— O czym?

— Znam tę minę.

Gonzaga spojrzał na niego.

— Jaką?

— Tę, po której mamy problemy.

Nahajka zniknęła następnego dnia.

Nadzorca odkrył to dopiero, kiedy chciał jej użyć.

Sięgnął do pasa.

Nie znalazł niczego.

Odwrócił się.

Kilka kroków dalej stał Gonzaga.

W rękach nie miał oczywiście nahajki.

Miał jabłko.

Ugryzł je.
Nadzorca zmrużył oczy.
Gonzaga przeżuwał spokojnie.
— Ty.
Chłopiec wskazał siebie.
— Ja?
— Podejdź.
Gonzaga zrobił krok.
Nadzorca zrobił dwa.
Gonzaga rzucił jabłko.
Mężczyzna odruchowo spojrzał za nim.
I wtedy Gonzaga pobiegł.

Starzy weterani nauczyliby go zapewne, że plan oparty na założeniu, iż przeciwnik będzie wystarczająco głupi, jest kiepskim planem.

Ale czasami kiepskie plany działają.
Zwłaszcza jeśli przeciwnik rzeczywiście jest głupi.

Nahajka przez kilka następnych dni wisiała w ich kryjówce niczym wojenne trofeum.
Nikt nią nikogo nie uderzył.
Gonzaga tego zabronił.
— To po co ją ukradliśmy? — zapytał ktoś.
Gonzaga wzruszył ramionami.
Nie potrafił odpowiedzieć.
Dopiero później zrozumiał, że nie chodziło o nahajkę.

Chodziło o to, że przez jeden krótki moment człowiek, który codziennie decydował o cudzym bólu, sięgnął po swoją władzę i odkrył, że jej nie ma.

To uczucie Gonzaga zapamiętał.
Podobało mu się.
Może nawet za bardzo.

Ich psoty stawały się coraz śmielsze.
Przekładali drogowskazy.
Wiązali sznurki pomiędzy straganami.
Wypuszczali kury na świątynne schody.

Raz przestawili nocą wóz jednego z kupców tak, że rano znalazł go na środku fontanny.

Nie byli niebezpieczni.
Byli uciążliwi.

A dla ludzi przyzwyczajonych do posłuszeństwa uciążliwość potrafi być gorsza od przestępstwa.

Kapłanki coraz częściej słyszały o chłopcu od węglarza.
O tym mieszańcu.

O tym małym łajdaku.
O Gonzadze.
Ojciec także słyszał.
Pewnego wieczoru siedzieli obaj przy dogasającym mielerzu.
— Będziesz miał kłopoty — powiedział.
Gonzaga grzebał patykiem w ziemi.
— Nic nie zrobiłem.
— To zdanie mówią zwykle ludzie, którzy zrobili już wystarczająco dużo.
— Nikogo nie skrzywdziliśmy.
Ojciec spojrzał na niego.
— Myślisz, że to ma znaczenie?
Gonzaga uniósł wzrok.
— Powinno.
— Powinno.
Ojciec westchnął.
— Ale nie zawsze ma.
Gonzaga zamilkł.
Po chwili powiedział:
— To niesprawiedliwe.
Ojciec uśmiechnął się smutno.
— Zaczynasz rozumieć świat.

Wietrzny sam w sobie nie był nawet najgorszym człowiekiem, jakiego Gonzaga spotkał.
To miało nadejść później.
Był natomiast człowiekiem głęboko przekonanym o własnej ważności.
Poruszał się tak, jakby ziemia była wdzięczna, że po niej stąpa.
Miał piękne szaty.
Wypielęgnowane dłonie.
I szczególny sposób patrzenia na biednych — nie z nienawiścią, ale z czymś, co Gonzagę drażniło jeszcze bardziej.
Jak na przedmioty.
Pewnego dnia jeden z Wietrznych przechodził przez dolną część miasta ze swoim orszakiem.
Gonzaga i jego banda siedzieli wysoko na drewnianej konstrukcji przylegającej do jednego z domów.
Przed nimi stało wiadro.
Zawartość wiadra zdecydowanie nie nadawała się do picia.
— Nie — powiedział chłopiec z dużym uchem.
Gonzaga popatrzył na niego.
— Co znowu?
— Ta mina.

Wietrzny był już niemal pod nimi.

— Gonzaga.

— Cicho.

— Gonzaga.

— Za późno.

Wiadro przechyliło się.



Dzieci ulicy i Wietrzny

Trudno powiedzieć, co dokładnie znajdowało się w pomyjach.
Na pewno woda.
Resztek kapusty nikt się nie wypierał.
Być może były tam rybie wnętrzności.
Z pewnością coś kwaśnego.
Całość spadła idealnie.
Wietrzny zatrzymał się.
Przez kilka sekund nikt nie wydał żadnego dźwięku.
Liść kapusty powoli zsunął się z jego ramienia.
Jedna z kobiet towarzyszących Wietrznemu otworzyła usta.
Strażnik opuścił szczękę.
Gonzaga spojrzał na swoich ludzi.
Ktoś zachichotał.
To wystarczyło.

Wybuchnęli śmiechem.
Wietrzny podniósł głowę.
Jego twarz była zupełnie spokojna.
To właśnie powinno było Gonzagę przestraszyć.
— Łapać ich.

Uciekali dachami.
Przez stragany.
Przez podwórza.
Gonzaga znał dolne miasto lepiej niż większość strażników.
Jednego zgubił, przeskakując przez mur.
Drugiego, przeciskając się między dwoma domami.
Trzeci poślizgnął się na rybach.
Przez chwilę wydawało się, że się udało.
Pod wieczór Gonzaga siedział już przy ojcu.
Nie powiedział mu, co się wydarzyło.
Nie musiał.
Kiedy na drodze pojawiły się pochodnie, ojciec tylko zamknął oczy.
— Co zrobiłeś?
Gonzaga spuścił głowę.
— Pomyje.
Ojciec spojrzał na niego.
— Pomyje?
— Tak.
— Na kogo?
Gonzaga milczał.
Ojciec pobladł.
— Nie.
Z ciemności dobiegł stuk butów.
— Gonzaga...
— Tato...
Ojciec chwycił go za ramiona.
Przez chwilę chłopiec zobaczył w jego oczach coś, czego nigdy wcześniej tam nie widział.
Strach.
Nie o siebie.
O niego.
— Cokolwiek powiedzą — szepnął — nie pyskuj.
— Ale...
— Nie pyskuj.
Strażnicy weszli między drzewa.

Było ich sześciu.
Za nimi szła kapłanka w czerwieni. Wietrzny szedł kilka kroków za nią.
Miał już inne szaty.

Proces trwał krócej, niż Gonzaga oczekiwał.
Właściwie nie był procesem.
Kapłanka mówiła.
Pozostali słuchali.
Gonzaga próbował się bronić.
— To były tylko pomyje.
Jeden z urzędników spojrzał na niego, jakby chłopiec właśnie udowodnił swoją głupotę.
— Obraziłeś sługę bogini.
— Nie boginię.
W sali zrobiło się bardzo cicho.
Gonzaga przypomniał sobie słowa ojca.
Nie pyskuj.
Było już za późno.
Kapłanka patrzyła na niego długo.
— Właśnie na tym polega twój problem — powiedział w końcu. — Nie rozumiesz różnicy między odwagą a bezczelnością.
Gonzaga zacisnął szczęki.
— Rozumiem.
— Nie.
Kapłanka pochyliła się lekko.
— Ale zrozumiesz.

Wyrok był prosty.
Wygnanie.
Kiedy Gonzaga usłyszał to słowo, przez moment poczuł ulgę.
Wyobraził sobie drogę.
Inne miasta.
Świat za górami.
Dopiero gdy zobaczył twarz ojca, pojął, że czegoś nie rozumie.
— Dokąd? — zapytał.
Nikt nie odpowiedział.
Kapłanka zrobiła to dopiero po chwili.
— W góry.
Gonzaga popatrzył na niego.
Potem na ojca.
— To wszystko?
Jeden ze strażników parsknął.

Ojciec nie.

— Gonzaga...

Chłopiec spojrzał na niego.

— Co?

Ojciec miał łzy w oczach.

I wtedy Gonzaga zrozumiał.

Nie wyganiano go ze Shangri-La.

Wysłano go na śmierć.

Wieczorem odebrano mu ubranie.

Wszystko.

Nie pozwolono zabrać jedzenia.

Wody.

Noża.

Nawet butów.

Strażnicy wyprowadzili go w góry tak daleko, że światła Shangri-La stały się niewielkimi punktami daleko w dole.

Gonzaga drżał.

Nie wiedział już, czy z zimna, czy ze strachu.

Jeden ze strażników wskazał ciemność przed nimi.

— Idź.

Gonzaga nie ruszył się.

— Dokąd?

— Gdzie chcesz.

— A jeśli wrócę?

Strażnik zdjął z ramienia łuk.

Nie napiął cięciwy.

Nie musiał.

— Nie wrócisz.

Za plecami Gonzagi stała dolina.

Dom.

Ojciec.

Mielerze.

Stary dziedziniec.

Weterani.

Jego banda.

Całe życie.

Przed nim były góry.

Nagie skały.

Wiatr.

I noc.

Gonzaga zrobił pierwszy krok.
Potem drugi.
Usłyszał za sobą głos:
— Nie próbuj wracać. Następnym razem nie będziemy rozmawiać.
Chłopiec zatrzymał się.
Przez jedną straszliwą chwilę miał ochotę zawrócić.
Rzucić się na nich.
Krzyczeć.
Błagać.
Zrobić cokolwiek.
Wtedy przypomniał sobie ojca.
Biedny człowiek może sobie pozwolić na gniew tylko wtedy, kiedy jest gotowy zapłacić jego cenę.
A potem jednookiego starca.
Tu zaczyna się walka.
Gonzaga spojrzał w ciemność.
Nie widział prawie niczego.
Ale pamiętał.
Pamiętał góry.
Pamiętał ścieżki.
Pamiętał miejsca, w których podczas wypraw po drewno znajdował ślady zwierząt.
I przypomniał sobie coś jeszcze.
Dawno temu zapuścił się wyżej, niż powinien.
Znalazł wtedy wąską ścieżkę.
A przy niej szczelinę w skałach.
Jaskinię.
Niewielką.
Ukrytą.
Nikt poza nim o niej nie wiedział.
Gonzaga uniósł głowę.
Strażnicy zobaczyli zapewne tylko nagiego, drobnego chłopca stojącego samotnie na tle gór.
Nie widzieli jego twarzy.
A szkoda.
Bo Gonzaga się uśmiechał.
Po raz pierwszy tego wieczoru.
Odwrócił się od Shangri-La.
I ruszył w noc.

Rozdział V

Ten, który wrócił

Pierwszej nocy Gonzaga zrozumiał, że góry nie zamierzają go zabić.

Góry po prostu nie zamierzały mu pomóc.

Była w tym różnica.

Człowiek zabija z gniewu, ze strachu, dla pieniędzy albo dlatego, że ktoś mu kazał. Góry nie potrzebowały żadnego powodu. Kamień pozostawał kamieniem. Wiatr wiał. Mróz przychodził nocą. Jeśli Gonzaga zamarznie gdzieś pomiędzy jednym a drugim zboczem, nic się przez to nie zmieni.

Ta obojętność przerażała go bardziej niż strażnicy.

Szedł boso.



Szklane Góry nocą

W dolinie mówiło się na nie po prostu szklane. W dzień słońce rozgrzewało ich powierzchnię do takiej temperatury, że skała pokryta szklistym minerałem miękła.

Najpierw stawała się lepka. Później zaczynała płynąć. Całe połacie zbocza lśniły wtedy jak roztopiony metal. Strumienie płynnego szkła spływały szczelinami i zastygały dopiero tam, gdzie docierał cień. Po zachodzie słońca przychodził wiatr. Lodowaty.

Silny. Spadał z wysokich przełęczy i w ciągu kilku godzin zmieniał miękkie szkło w las ostrzy. Iglice wyrastały z ziemi. Cienkie płaty zastygały na krawędziach skał. Kolce skręcały się w fantastyczne formy. Były piękne. I kruche. Pod naporem wichru pękały z trzaskiem. Odłamki leciały dziesiątki kroków. Niektóre miały rozmiar dłoni. Inne były cienkie jak igły. Wszystkie ostre. Pierwszej nocy Gonzaga zrozumiał, dlaczego niemal nikt stąd nie wraca. Ukrył się za występem ciemnej skały. Kiedy wiatr uderzył, góra zaczęła śpiewać. Nie była to legenda. Setki szklanych iglic drżały pod podmuchami.

Jedne wydawały niski jęk. Inne wysoki, niemal ludzki pisk. Potem jedna pękła.

Odłamek przeleciał tak blisko głowy Gonzagi, że rozciął mu ucho. Chłopiec położył się płasko. Przez całą noc słuchał, jak góra się rozpada. Rano teren wyglądał inaczej.

Ścieżka, którą przyszedł, zniknęła pod warstwą odłamków. Zrozumiał. Nie będzie drogi powrotnej. Każdy dzień zmieniał góry. Każda noc tworzyła je na nowo. Musiał nauczyć się ich rytmu. Dopiero teraz naprawdę do niego dotarło, że może umrzeć.

Nie kiedyś.

Nie za wiele lat.

Tej nocy.

Przykucnął za głazem, objął ramionami kolana i przez chwilę pozwolił sobie być dzieckiem.

Chciał ojca.

Chciał ciepła mielerza.

Chciał nawet usłyszeć śmiech starych żołnierzy.

Zamiast tego słyszał wiatr.

— Myśl — powiedział sam do siebie.

Głos zabrzmiał dziwnie cienko.

Spróbował jeszcze raz.

— Myśl.

Jednooki mówił, że walka zaczyna się w głowie.

To była walka.

Tylko przeciwnika nie można było kopnąć, oszukać ani ugodzić drewnianą szablą.

Gonzaga zamknął oczy.

Jaskinia.

Widział ją kiedyś.

Dawno temu.

Nie zapamiętał drogi świadomie. Pamiętał za to drzewo rosnące niemal poziomo ze szczeliny skalnej. Dwa kamienie przypominające położone obok siebie głowy. Wąski przesmyk, przez który musiał przecisnąć się bokiem.

Była też woda.

Nie strumień.
Wilgoć sącząca się po ścianie i zbierająca w skalnym zagłębieniu.
To wystarczyło.
Otworzył oczy.
— Najpierw drzewo.
Wstał.

Znalazł je nad ranem.
A raczej znalazł jego martwy pień.
Drzewo, które zapamiętał jako poskręcane i uparte, teraz było suche. Jedna z gałęzi odłamała się i leżała niżej na zboczu.
Gonzaga przytulił się do pnia.
Nie dlatego, że kochał drzewa.
Dlatego, że pierwszy raz od wielu godzin zobaczył coś znajomego.
Od drzewa potrafił już odtworzyć dalszą drogę.
Kamienie.
Przesmyk.
Podejście.
Znalazł jaskinię, kiedy pierwsze światło zaczęło rozjaśniać niebo nad górami.
Wejście było tak wąskie, że ktoś mijający je kilka kroków dalej mógłby go nie zauważyć.
Gonzaga wcisnął się do środka.
I zatrzymał.
Nie był sam.
Na ziemi leżało posłanie.
Stare.
Zbutwiałe.
Przy jednej ze ścian stał niewielki stół.
Ktoś kiedyś tu mieszkał.
Może myśliwy.
Może pustelnik.
Może człowiek, który podobnie jak Gonzaga nie chciał, by ktokolwiek wiedział, gdzie się znajduje.
Nie miało to znaczenia.
Tego ranka nie była to jaskinia.
Był to pałac.
Gonzaga opadł na stare posłanie.
Śmierdziało kurzem, stęchlizną i czymś zwierzęcym.
Uśmiechnął się.
Po chwili zasnął.

Spał niemal cały dzień.

Kiedy się obudził, głód skręcał mu żołądek.
Pragnienie było gorsze.
Podczołgał się do tylnej ściany.
Woda nadal tam była.
Pojedyncze krople spływały po skale.
Kap.
Kap.
Kap.
Gonzaga przyłożył usta do kamienia.
Pił tak zachłannie, że zachłysnął się i zaczął kaszleć.
Później siedział nieruchomo, czekając, aż zagłębienie znowu się napełni.
Pierwszy dzień przeżył dzięki wodzie.
Drugiego musiał znaleźć jedzenie.
Nie miał noża.
Nie miał sznurka.
Nie miał ubrania.
Nie miał niczego.
Ale góry miały mnóstwo rzeczy.
Trzeba było tylko przestać patrzeć na nie jak na krajobraz.
Gałąź mogła być kijem.
Kamień ostrzem.
Włókno rośliny sznurem.
Martwe zwierzę ubraniem.
Zwierzę żywe — jedzeniem.
Gonzaga przypomniał sobie wszystkie chwile, kiedy przyglądał się pracy ojca.
Wszystkie opowieści weteranów.
Wszystkie wyprawy, podczas których bez potrzeby zaglądał pod kamienie, w szczeliny i nory.
Po raz pierwszy jego ciekawość zaczęła zwracać dług.

Ogień był najważniejszy.
Bez niego nocą drżał tak mocno, że nie mógł zasnąć.
Znalazł suche drewno.
Znalazł hubkę.
Nie miał krzesiwa.
Usiadł więc przy wejściu do jaskini i przez długi czas obracał patyk pomiędzy dłońmi.
Nic.
Spróbował jeszcze raz.
Dłonie zaczęły piec.
Nic.
Jeszcze raz.
Przypomniał sobie ojca.

Ogień nie lubi, kiedy się go zmusza. Trzeba wiedzieć, co mu dać.
Gonzaga zmienił drewno.
Potem nacisk.
Potem tempo.
Najpierw pojawił się dym.
Zamarł.
Serce zaczęło mu walić.
— No dalej...
Dmuchnął.
Maleńka iskra zajęła hubkę.
Gonzaga przykrył ją dłońmi niczym najcenniejszy skarb świata.
Po chwili płonął niewielki ogień.
Chłopiec roześmiał się.
Sam.
Nagi.
Głodny.
Pośrodku gór.
Śmiał się tak długo, aż rozbolał go brzuch.

Przestał chodzić w południe. Wtedy szkło było najbardziej miękkie. Poruszał się rano, kiedy nocne ostrza już przestawały pękać, ale słońce nie zdążyło jeszcze stopić ich podstaw. Po południu szukał cienia. Nigdy nie ufał gładkiej powierzchni. Kilka razy widział ptaki siadające na czymś, co wyglądało jak zwykły kamień. Po chwili zapadały się w cienką skorupę i ginęły w półpłynnym szkle. Wodę zbierał przed świtem z zagłębień pomiędzy skałami. Jedzenie było trudniejsze. Łapał jaszczurki. Raz znalazł martwego ptaka zabitego szklanym odłamkiem. Zjadł go na surowo. Trzeciego dnia nie znalazł jedzenia. Przez kolejne dni łapał wszystko, co nadawało się do zjedzenia.

Korzenie.
Owady.
Jaja znalezione w gnieździe.
Później udało mu się zastawić pierwszą prymitywną pułapkę.
Nie zadziałała.
Druga również.
Trzecia złapała tylko jego własny palec.

Klął wtedy tak długo i tak pomysłowo, że stary weteran bez palców byłby z niego dumny.

Czwarta przyniosła królika.
Gonzaga długo patrzył na schwytane zwierzę.
Królik szarpał się.
Próbował uciec.
Był przerażony.
Gonzaga zawahał się.
Potem skręcił mu kark.

Tamtego dnia nauczył się kolejnej rzeczy.
Głód bardzo szybko upraszcza moralność.

Z króliczej skóry nie zrobił ubrania.
Była zbyt mała.
Ale później zdobył kolejne.
Zszywał je włóknami i cienkimi paskami skóry.
Praca była nieporadna.
Pierwsze buty rozpadły mu się po kilku godzinach.
Drugie przetrwały dzień.

Trzecie były już na tyle dobre, że mógł przejść po ostrych kamieniach bez zostawiania za sobą krwawych śladów.

Wykonał też coś w rodzaju przepaski i krótkiego okrycia.
Wyglądał w tym zapewne jak dzikus.
Nie miał lustra.
Było mu wszystko jedno.
Czasami stawał przed wejściem do jaskini i patrzył w dół.
W pogodny dzień widział daleko pod sobą Shangri-La.
Dolinę.
Domy.
Świątynię.
Swoje dawne życie.
Kilka razy myślał o zejściu.
Za każdym razem słyszał w głowie strażnika:
Nie wrócisz.
I odpowiadał mu po cichu:

— Zobaczymy.

Piątego rozciął dłoń tak głęboko, że przez kilka godzin nie mógł nią poruszać. Siódmej nocy musiał przebiec przez odkryte zbocze podczas wichru. Szklane odłamki świstały wokół niego. Później naliczył na ciele kilkanaście cięć. Po dwóch tygodniach nauczył się odgadywać po dźwięku, które iglice pękną pierwsze. Po trzech wiedział, gdzie rano znajdzie wodę. Po miesiącu przestał myśleć o górach jako o wrogu. Były po prostu czymś, co należało rozumieć. Jak ogień w mielerzu. Nie można było ich zmusić. Trzeba było wiedzieć, co zrobią. Pewnego ranka zobaczył w dole dolinę. Był wysoko. Zbyt wysoko. Przez chwilę stał i patrzył. Mógł iść dalej. Za przełęczą znajdował się świat, o którym marzył całe dzieciństwo. Pustynia. Miasta. Morze. Wszystko. Odwrócił się.

Wrócił. Nie dlatego, że tęsknił. Nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Może chciał zobaczyć twarze ludzi, którzy wysłali go na śmierć. Może nie chciał pozwolić, żeby mieli rację.

Nie wrócił od razu.
Najpierw musiał odzyskać siły.
Rany na stopach goiły się długo.

Miał rozcięcia na nogach.
Siniaki.
Jedno żebro bolało przy każdym głębszym oddechu.
Przez niemal tydzień kurował się w jaskini.
Nauczył się wtedy jej każdego zakamarka.
Znalazł stare drewniane naczynie.
Znalazł wyszczerbiony grot.
W szczelinie pod stołem natrafił nawet na kilka zasuszonych ziół pozostawionych przez dawnego mieszkańca.
Nie wiedział, do czego służyły.
Nie zjadł ich.
Jednooki nauczył go jednej bardzo ważnej zasady:
Jeśli nie wiesz, co coś robi, nie wkładaj tego do ust.
Była to jedna z mądrzejszych rzeczy, jakie Gonzaga kiedykolwiek usłyszał.

Siódmego tygodnia obudził się z decyzją.
Nie wiedział, skąd się wzięła.
Może dojrzewała w nim przez całą noc.
Może przez całe tygodnie.
A może od chwili, kiedy strażnik powiedział mu, że nie wróci.
Gonzaga rozpalił ogień.
Zjadł resztkę mięsa.
Założył własnoręcznie zrobione buty.
Owinął ciało skórami.
Wziął kij zakończony kamiennym ostrzem.
I wyszedł.
Nie opuszczał gór.
Wracał do Shangri-La.

Strażnicy przy przełęczy zobaczyli go około południa.
Najpierw uznali zapewne, że to jakieś zwierzę.
Potem jeden z nich sięgnął po włócznię.
Postać schodząca z gór była niska, chuda, opatulona skórami i tak brudna, że trudno było rozpoznać kolor jej skóry.
Dopiero kiedy podeszła bliżej, jeden ze strażników powiedział:
— Nie...
Gonzaga uśmiechnął się.
— Dzień dobry.
Strażnik pobladł.
Drugi zrobił znak chroniący przed złymi mocami.
— Ty nie żyjesz.

Gonzaga spojrzał na własne ręce.

— Wygląda na to, że jednak żyję.

— Zostałeś wygnany.

— Pamiętam.

— Nie wolno ci wrócić.

Gonzaga zastanowił się.

— To mnie znowu wyrzućcie.

Nikt się nie ruszył.

Wieść rozeszła się szybciej niż on sam.

Zanim dotarł do pierwszych domów, ludzie wychodzili na ulice.

Patrzyli.

Szeptali.

Niektórzy wskazywali go palcami.

Gonzaga znał te spojrzenia.

Wcześniej patrzono na niego z pogardą.

Teraz było w nich coś innego.

Strach.

I podziw.

Najpierw usłyszał to od starej kobiety stojącej przy studni.

— To on.

Ktoś zapytał:

— Kto?

— Ten, którego Sharami oddała górom.

Kobieta spojrzała na Gonzagę.

— A góry go zwróciły.

Gonzaga zatrzymał się.

— Góry niczego nie zwróciły.

Nie słuchali.

Ktoś uklęknął.

Gonzaga aż się cofnął.

— Co robisz?

Mężczyzna pochylił głowę.

— Wybraniec.

— Wstań.

Mężczyzna nie wstał.

— Powiedziałem, wstań.

Teraz uklękła kobieta.

Potem ktoś jeszcze.

Gonzaga patrzył na nich, coraz bardziej przerażony.

Przeżył.

To wszystko.
Znalazł jaskinię.
Rozpalił ogień.
Upolował królika.
Zrobił buty.
Nie było w tym nic boskiego.
A jednak zanim dotarł do miasta, Gonzaga przestał być dla ludzi chłopcem od węglarza.
Stał się tym, którego Sharami osądziła i nie zabiła.

Kapłanki miały z tym problem.
Bardzo poważny problem.
Gonzaga zobaczył to natychmiast.
Ten sam człowiek, którego wcześniej oblano pomyjami, stał teraz przed świątynią w czystych szatach.
Ich spojrzenia się spotkały.
Przez chwilę Gonzaga miał wielką ochotę się uśmiechnąć.
Powstrzymał się.
Kapłanka była blada.
— To niemożliwe.
— Często to ostatnio słyszę.
— Góry są świętym sądem.
— Nie zauważyłem.
Wokół stało już kilkudziesięciu ludzi.
Kapłanka zacisnęła szczękę.
— Każdy wygnany w góry ginie.
Gonzaga wzruszył ramionami.
— To źle szukali jaskiń.
Kilka osób zaśmiało się.
Kapłanka spojrzała na tłum.
To był moment, w którym zrozumiał swoje położenie.
Nie mógł kazać Gonzagi zabić.
Nie teraz.
Nie po tym, jak publicznie ogłoszono, że góry są sądem Sharami.
Jeśli bogini miała odebrać mu życie, a tego nie zrobiła...
Cóż innego mogło to oznaczać dla wierzących?
Kapłanka sama stworzyła pułapkę, w której teraz stała.
Gonzaga także to zrozumiał.
I wtedy pierwszy raz spojrzał na kapłankę bez lęku.
Nie był silniejszy.
Nie był bogatszy.
Nie miał ludzi ani tytułu.

Miał jednak coś, czego tamten nie mógł mu odebrać bez podważenia własnej wiary.
Symbol.
To było dziwne uczucie.
Nieprzyjemne.
I niezwykle użyteczne.

Ojciec dopadł do niego później.
Nie powiedział nic.
Objął go.
Gonzaga również nic nie powiedział.
Stał tylko nieruchomo, z twarzą wtuloną w jego ramię.
Dopiero wtedy naprawdę poczuł, jak bardzo się bał.
Ojciec drżał.
— Idioto — wyszeptał.
Gonzaga zacisnął powieki.
— Wiem.
— Idioto.
— Wiem.
— Myślałem, że nie żyjesz.
— Ja też.
Ojciec odsunął go na długość ramion.
Patrzył na skórzane łachmany, brudną twarz, zadrapania i własnoręcznie zrobione buty.
— Sam?
Gonzaga kiwnął głową.
Ojciec zaśmiał się przez łzy.
— Oczywiście.

Powrót Gonzagi nie przyniósł spokoju.
Przyniósł chaos.
Dzieci z jego dawnej bandy chodziły za nim jak za bohaterem.
Ludzie zatrzymywali go na ulicy.
Jedni chcieli dotknąć.
Inni prosili o błogosławieństwo.
Gonzaga reagował na to coraz większą irytacją.
— Nie jestem kapłanem.
— Jesteś wybrańcem.
— Nie jestem.
— Sharami cię oszczędziła.
— Sam się oszczędziłem.
Takie odpowiedzi docierały oczywiście do świątyni.
Kapłanki zgrzytały zębami.

Im bardziej próbowali tłumaczyć, że Gonzaga nie jest wybrańcem, tym więcej ludzi pytało:
Skoro nie jest, dlaczego wrócił?
Skoro góry miały być wyrokiem bogini, dlaczego wyrok nie został wykonany?
Skoro Sharami nie chciała jego śmierci, czy człowiek może chcieć jej bardziej niż sama bogini?
Gonzaga nie zadawał tych pytań.
Nie musiał.
Ludzie robili to za niego.

Przez kilka dni wydawało mu się, że wygrał.
To był błąd.
Kapłanki nie mogły go zabić.
Mogli natomiast zdecydować, co z nim zrobić.
Pewnego ranka przyszli po niego.
Nie strażnicy.
Dwóch duchownych i urzędnik.
Ojciec wyszedł przed dom.
— Czego chcecie?
— Chłopca.
— Nie.
Gonzaga stanął za nim.
Urzędnik rozwinął dokument.
— Zgodnie z decyzją świątyni Gonzaga zostaje odebrany spod opieki ojca i skierowany do pracy oraz wychowania pod nadzorem wyznaczonego rzemieślnika.
Ojciec pobladł.
— Jest moim synem.
— Jest problemem świątyni.
Gonzaga wyszedł przed ojca.
— Nigdzie nie idę.
Jeden z kapłanów spojrzał na niego.
— Pójdziesz.
— A jak nie?
— Wtedy po raz kolejny udowodnisz wszystkim, że ci, którzy nazwali cię wybrańcem, popełnili błąd.
Gonzaga zacisnął pięści.
Tym razem przeciwnik nie był głupi.
Znalazł właściwe miejsce.
Nie ciało.
Nie ojca.
Opowieść.
Gonzaga obejrzał się.
Na ulicy stali ludzie.

Patrzyli.
Czekali.
Jak zawsze.
Przez chwilę miał ochotę splunąć kapłanowi pod nogi.
Potem przypomniał sobie mielerz.
Ogień pozostawiony bez kontroli.
Gniew mający swoją cenę.
— Dokąd? — zapytał.
Urzędnik zwinął dokument.
— Na podgrodzie.
— Do kogo?
— Do bednarza.
Gonzaga spojrzał jeszcze raz na ojca.
Tamten chciał coś powiedzieć.
Nie powiedział.
Może obaj wiedzieli, że tym razem nie było dobrej odpowiedzi.

Stary bednarz czekał przed warsztatem.
Był niski, przygarbiony i miał dłonie tak szerokie, że wyglądały jak dwa drewniane młotki.
Kiedy zobaczył Gonzagę prowadzonego przez kapłanów, zmierzył go wzrokiem.
Potem spojrzał na urzędnika.
— To ten?
— Ten.
— Spodziewałem się większego.
Gonzaga zmrużył oczy.
Starzec podrapał się po brodzie.
— Podobno przeżyłeś góry.
— Podobno.
— Umiesz robić beczki?
— Nie.
— To świetnie.
Gonzaga zmarszczył brwi.
— Dlaczego?
Bednarz otworzył drzwi warsztatu.
— Bo gdybyś umiał, nie byłbyś mi potrzebny.
Gonzaga pozostał na miejscu.
— Nie będę dla ciebie pracował.
Starzec odwrócił się.
Nie rozgniewał się.
Nie zagroził.

Nie zawołał strażników.

— Dobrze.

Gonzaga zamrugał.

— Dobrze?

— Możesz nie pracować.

Bednarz wszedł do środka.

— Możesz też nie jeść.

Gonzaga patrzył za nim przez chwilę.

Potem na kapłanów.

Potem znowu na warsztat.

Z wnętrza dobiegło:

— Tylko zamknij drzwi. Ciągnie.

Gonzaga wszedł.

Trzasnął nimi mocniej, niż było konieczne.

Stary człowiek nawet się nie odwrócił.

— Świetnie — powiedział. — Siły ci nie brakuje. Przyda się przy obręczach.

Gonzaga już go nie lubił.

Miał się później przekonać, jak bardzo się w tej ocenie pomylił.

Za jego plecami Shangri-La żyła opowieścią o chłopcu, którego góry nie chciały przyjąć.

Przed nim pachniało świeżym drewnem.

I zaczynało się zupełnie inne życie.

Rozdział VI

Dom z drewna

Bednarz nazywał się Ostel. Gonzaga dowiedział się tego dopiero po kilku dniach, bo nikt wcześniej nie uznał za konieczne, by ich sobie przedstawić.

Przez pierwszych kilka tygodni Gonzaga każdej nocy kładł ubranie obok posłania.

Buty ustawiał podeszwami w stronę drzwi. Pas zwijał tak, żeby można go było chwycić jedną ręką.

Jeśli miał przy sobie choć kilka monet, nie zostawiał ich na stole, tylko wciskał pod siennik. Spał płytko. Budził go stuk koła wozu, pijacki krzyk na ulicy, skrzypnięcie belki.

Ostel niczego nie komentował.

Pierwszego ranka Gonzaga uznał to za obojętność.

Po tygodniu zrozumiał, że stary bednarz zauważa znacznie więcej, niż pokazuje.

A po miesiącu zaczął podejrzewać, że dostrzegł wszystko już pierwszej nocy.

Ostel nie wyglądał jednak na człowieka zainteresowanego cudzymi tajemnicami. Był niski, szeroki w ramionach, miał krótką siwą brodę i dłonie tak duże, jakby całe życie przygotowywano je specjalnie do ugniatania drewna. Na kciuku lewej ręki ciągnęła się stara blizna. Przez nią trzymał strug trochę inaczej niż inni rzemieślnicy.



Gonzaga i Ostel w warsztacie

Gonzaga zauważył to drugiego dnia.

Trzeciego odkrył, że Ostel lekko utyka po kilku godzinach pracy.

Czwartego wiedział już, że starzec kaszle po pierwszej porannej fajce, ale nigdy po drugiej.

Piątego doszedł do wniosku, że człowiek może dowiedzieć się o świecie zaskakująco dużo, jeśli choć przez chwilę nie musi zastanawiać się, kto chce go pobić, wypędzić albo zamknąć.

Nie znaczyło to, że polubił bednarstwo.

Po tygodniu miał serdecznie dość.

— Ile jeszcze tego mam nosić?

Ostel nie oderwał wzroku od obrabianej klepki.

— A ile zostało?

Gonzaga spojrzał na stos przy ścianie.

— Dużo.

— To mniej więcej tyle.

— Myślałem, że będziesz mnie uczył fachu.

— Uczę.

— Noszenia drewna?

— Na razie próbuję ustalić, czy potrafisz zrobić cokolwiek bez narzekania.

Gonzaga rzucił klepki na stół.

Ostel uniósł oczy.

Nie powiedział nic.

To było gorsze niż reprymenda.

— Drewno to drewno — burknął Gonzaga.

Strug zatrzymał się.

Ostel odłożył go bardzo powoli.

— Powtórz.

Gonzaga od razu poczuł, że popełnił jakiś błąd, choć nie wiedział jaki.

— Powiedziałem, że drewno to drewno.

Ostel wstał.

Wyciągnął pierwszą deskę ze stosu.

— Dąb.

Drugą.

— Jesion.

Trzecią.

— Sosna.

Potem podsunął Gonzadze kolejną.

— A to?

Gonzaga wzruszył ramionami.

— Drewno.

— Wynoś się.

— Co?

— Z warsztatu. Jesteś zagrożeniem dla rzemiosła.

Gonzaga parsknął.

Ostel nawet nie drgnął.

— Wyrzucasz mnie, bo nie znam deski?

— Wyrzucam cię, bo uznałeś, że skoro nie widzisz różnicy, to znaczy, że jej nie ma.

To go uciszyło.

Stał jeszcze chwilę, po czym wyszedł i usiadł przed drzwiami.

Był wściekły.

Najbardziej dlatego, że pod wściekłością czuł coś znacznie bardziej irytującego.

Ostel miał rację.

Pół godziny później drzwi się uchyliły.

— Już?

Gonzaga obejrzał się.

— Co już?

— Zrozumiałeś?

— Nie.

Ostel skinął głową.

— Dobrze. Wracaj.

— Przecież powiedziałem, że nie rozumiem.

— Dlatego wracasz.

I chyba właśnie wtedy zaczęła się jego prawdziwa nauka.
Nie bednarstwa.
Cierpliwości.

Warsztat pachniał zupełnie inaczej niż mielerze jego ojca.
Tam drewno kończyło życie.
Tutaj dostawało następne.

Dąb stawał się beczką na wino. Jesion pojemnikiem na ziarno. Z gorszych kawałków robiono cebry, wiadra albo reperowano stare obręcze.

Ostel długo nie pozwalał Gonzadze robić niczego ważnego.
Najpierw miał patrzeć.
Potem dotykać.
Dopiero później ciąć.

— Za mocno — mówił Ostel.

— Jeszcze nie zacząłem.

— Właśnie dlatego mówię wcześniej.

Albo:

— Krzywo.

— Nic jeszcze nie zrobiłem.

— Widziałem, jak się zabierasz.

Gonzaga zaczynał podejrzewać, że bednarz uważa go za szczególnie tępego.
Później odkrył, że Ostel w identyczny sposób rozmawia z drewnem.

— Nie wyginaj się, cholero.

— Mówisz do beczki? — zapytał kiedyś Gonzaga.

— Ona przynajmniej czasem słucha.

Najbardziej lubił gięcie klepek.

Drewno ogrzewano, parowano, ściskano obręczami. Twarda deska zaczynała ustępować, lecz nie można było użyć zbyt dużej siły.

— Nie walcz z nią — powiedział któregoś dnia Ostel.

— Z kim?

— Z klepką.

— To drewno.

Ostel popatrzył na niego ostrzegawczo.
Gonzaga poprawił się szybko:

— Wyjątkowo szlachetny i posiadający własną duszę kawałek drewna.

— Lepiej.

Starzec położył dłoń na desce.

— Jeśli będziesz ciągnął za mocno, pęknie. Jeśli odpuścisz, wróci tam, gdzie była.

— Czyli?

— Przekonaj ją.

Gonzaga uśmiechnął się.
— Ojciec mówił coś podobnego o ogniu.
Ostel spojrzał na niego.
— Mądry był?
Pytanie zaskoczyło Gonzagę.
— Tak.
— Żyje?
Gonzaga zawahał się.
— Nie wiem.
Ostel nie spytał dlaczego.
Nie powiedział również, że mu przykro.
Tylko położył dłonie Gonzagi we właściwym miejscu.
— Tutaj. Czujesz naprężenie?
— Tak.
— Teraz.
Klepka ustąpiła.

Pierwszej nocy Gonzaga spał przy drzwiach.
Po kilku tygodniach jego posłanie stało już pod ścianą.
Po kilku miesiącach przestał wkładać pieniądze pod siennik.
Jeszcze później któregoś wieczoru wrócił z targu, rzucił sakiewkę na stół i przypomniał sobie o niej dopiero następnego dnia.
Zorientował się wtedy, że coś się zmieniło.
Nie samo miejsce.
On.
Pewnej nocy obudziła go burza. Deszcz bił o dach, wiatr tłukł okiennicami.
Przez chwilę leżał nieruchomo.
Dawniej natychmiast sprawdziłby drzwi.
Zamiast tego przewrócił się na drugi bok.
I zasnął.
Dopiero wiele lat później zrozumiał, jak wielką rzeczą było móc zasnąć ponownie.

Ostel miał własny język.
„Zjedz” oznaczało czasami: wyglądasz jak trup.
„Ubierz się” znaczyło: nie chcę potem słuchać twojego kaszlu.
„Późno wracasz” znaczyło coś zupełnie innego.
Gonzaga odkrył to któregoś wieczoru.
Zasiedział się na targu. Gdy wrócił, większość miasta już spała.
W kuchni paliła się lampa.
Ostel siedział przy stole.
Przed nim stała miska zimnej zupy.

— Myślałem, że śpisz — powiedział Gonzaga.
— Spałem.
— Z otwartymi oczami?
— Mam talent.
Gonzaga usiadł.
— To dla mnie?
— Nie. Dla szczurów.
— To czemu nie wystawiłeś na podłogę?
Ostel spojrzał na niego.
— Szczury są punktualne.
Gonzaga zaczął jeść.
Zupa była zimna.
Smakowała znakomicie.
Następnego dnia wrócił wcześniej.
Nigdy nie powiedział dlaczego.

Pierwsza beczka wykonana samodzielnie przez Gonzagę była dziełem niezwykłym.
Ostel oglądał ją długo.
Obszedł dookoła.
Popukał.
Przyjrzał się obręczom.
— No? — nie wytrzymał Gonzaga.
Bednarz westchnął.
— W życiu czegoś takiego nie widziałem.
Gonzaga wyprostował się.
— Wiedziałem.
— Beczka przeciekająca jednocześnie w pięciu miejscach. To rzeczywiście rzadkie.
Napełnili ją wodą.
Pierwsza strużka pojawiła się niemal od razu.
Druga po chwili.
Trzecia.
Gonzaga przykucnął.
— Sześciu.
Ostel również się pochylił.
— Faktycznie.
Wyprostował się.
— Jest gorzej, niż sądziłem.
Gonzaga kopnął beczkę.
Rozpadła się.
Przez sekundę patrzyli na siebie.

Ostel pierwszy parsknął śmiechem.
Po chwili Gonzaga śmiał się razem z nim.
Siedzieli na podłodze pośród klepek i wody, a sąsiad zajrzał przez drzwi sprawdzić, czy obaj nie postradali rozumu.
Gonzaga długo później pamiętał tamten dzień.
Nie dlatego, że zrobił pierwszą beczkę.
Dlatego, że pierwszy raz od bardzo dawna śmiał się tak, że niczego przy tym nie pilnował.

Druga beczka przeciekała w dwóch miejscach.
Trzecia w jednym.
Czwarta była szczelna.
Gonzaga postawił ją przed Ostelem.
— Proszę.
Starzec obejrzał.
— Krzywa.
— Nie przecieka.
— Krzywa.
— Ale nie przecieka.
— Kozia dupa też nie przecieka, jeśli ją dobrze zawiążesz.
Gonzaga zmrużył oczy.
— Sprzedam ją.
— Komu?
— Człowiekowi, który potrzebuje beczki, nie rzeźby.
Sprzedał.
Taniej niż Ostel.
Ale sprzedał.
Wieczorem położył pieniądze na stole.
Bednarz policzył.
— Dałeś się oszukać.
— Klient był zadowolony.
— Klient był głupi.
— Zapłacił.
— Jedno drugiego nie wyklucza.
Następnego dnia Gonzaga odkrył, że Ostel robi niemal identyczną beczkę.
Nie skomentował.
Dwa dni później zmienił sposób osadzania jednej z obręczy.
Ostel prychnął.
Tydzień później robił tak samo.
— Ukradłeś mi pomysł.
— Poprawiłem twój błąd.

— To był dobry pomysł.
— Teraz jest lepszy.
Od tej chwili zaczęła się wojna.

Kto zrobi więcej.
Kto szybciej.
Która beczka będzie lżejsza.
Która wytrzyma upadek.
Która nie puści wody po tygodniu.
— Moja jest lżejsza.
— Bo oszczędzasz drewno.
— Trzyma.
— Na razie.
— Wszystko u ciebie jest „na razie".
Ostel wzruszył ramionami.
— Bo wszystko działa, dopóki nie przestaje.
Innym razem postawił swoją beczkę obok Gonzagowej.
— Moja przeżyje właściciela.
— W takim razie kiepski z ciebie kupiec.
— Dlaczego?
— Jak przeżyje właściciela, to kto kupi następną?
Ostel patrzył na niego kilka sekund.
— Jesteś zepsuty.
— Ale dobry w interesach.
— To właśnie powiedziałem.
Warsztat prosperował.
Ludzie zaczęli przychodzić nie tylko do Ostela.
— Jest młody? — pytał klient.
— Niestety.
— Dobry?
— Zależy, czy chce pan beczkę prostą.
Gonzaga wychylał głowę zza zaplecza.
— A jeśli pan chce szczelną, proszę do mnie.
Ostel rzucał w niego szmatą.

Pierwszą prawdziwą pochwałę Gonzaga usłyszał przez przypadek.
Bogaty kupiec zamawiał większą partię beczek na wino.
— Wszystko pańskie? — zapytał.
— Warsztatu.
— Młody też robi?
Ostel chrząknął.

— Robi.
— Dobry?
Gonzaga pracował za ścianą.
Zwolnił ruch struga.
Przez chwilę panowała cisza.
— Lepszy niż ja w jego wieku.
Gonzaga znieruchomiał.
Nie słyszał już dalszej rozmowy.
Gdy klient wyszedł, pojawił się w warsztacie.
— Lepszy niż ty?
Ostel spojrzał na niego.
— Co?
— Słyszałem.
— Podsłuchiwanie jest brzydkim zwyczajem.
— Powiedziałeś.
— Byłem w twoim wieku wyjątkowo kiepskim bednarzem.
— Ale powiedziałeś.
— Jeśli wspomnisz o tym jeszcze raz, wszystkiego się wyprę.
Gonzaga uśmiechał się do wieczora.

O bliznach Ostel zapytał dopiero po kilku latach.
Było lato. Gonzaga pracował bez koszuli.
Starzec widział je oczywiście wcześniej.
Długie, blade pręgi na plecach.
Nigdy niczego nie powiedział.
Tamtego dnia rzucił tylko:
— Świątynia?
Gonzaga wiedział od razu.
— Tak.
— Za co?
— Kąpałem się.
Ostel przestał strugać.
— Gdzie?
— W fontannie.
Starzec patrzył na niego.
— Idiota.
Gonzaga parsknął.
— Wiedziałem, że mnie zrozumiesz.
— Mamy rzekę.
— Była dalej.

— Więc jednak zasłużyłeś.
Śmiali się chwilę.
Potem Ostel spoważniał.
— Bolało?
Gonzaga spojrzał na niego.
Pytanie było proste.
Odpowiedź nie.
— Tak.
— Nadal?
Mógł pytać o plecy.
Mógł pytać o coś zupełnie innego.
Gonzaga opuścił wzrok.
— Czasami.
Ostel skinął głową.
I wrócił do pracy.
To wystarczyło.

Furię zobaczył tylko raz.
Pijany klient odmówił zapłaty.
Najpierw zaczął krzyczeć.
Potem nazwał Gonzagę pomiotem.
To jeszcze wytrzymał.
W końcu popchnął Ostela.
Starzec uderzył plecami o stół.
Gonzaga poczuł, jak coś się otwiera.
Gorąco w brzuchu.
Szum w uszach.
Świat nagle stawał się prosty.
Jest wróg.
Trzeba go zniszczyć.
Ruszył.
Mężczyzna nie zdążył nawet unieść rąk.
Pięść Gonzagi zatrzymała się kilka palców od jego twarzy.
— Gonzaga.
Tylko tyle.
Głos Ostela.
Nie rozkaz.
Nie krzyk.
Imię.
Furia szarpała nim od środka.
Mięśnie drżały.

Mógł uderzyć.
Chciał uderzyć.
Ostel powiedział spokojnie:
— Już.
Gonzaga opuścił rękę.
Pijak pobladł.
Ostel poprawił koszulę.
— Zapłacisz za beczkę.
Mężczyzna sięgnął po sakiewkę.
— I za stół.
Zapłacił.
Wyszedł.
Gonzaga usiadł.
Dłonie wciąż mu drżały.
— Prawie go zabiłem.
— Nie zabiłeś.
— Chciałem.
— Ludzie chcą wielu głupich rzeczy.
— Kiedyś nie przestanę.
Ostel usiadł naprzeciw.
Gonzaga podniósł na niego wzrok.
— Boję się, że kiedyś nikogo nie usłyszę.
Starzec chwilę milczał.
— W takim razie naucz się mówić własnym głosem.
— To nie takie łatwe.
— Nic, czego warto się nauczyć, nie jest.
Gonzaga zapamiętał.

Lata zaczęły mijać niezauważalnie.
Nie wydarzyło się nic wielkiego.
I właśnie to było w nich najpiękniejsze.
Były zamówienia.
Rachunki.
Kupowanie drewna.
Narzekania Ostela.
Nieudane obiady Gonzagi.
Jesienne deszcze.
Lato.
Zima.
Kolejna wiosna.

Gonzaga przestał zastanawiać się każdego ranka, gdzie będzie spał wieczorem.

Kiedy chorował, Ostel stawiał obok posłania wywar i mówił, że jeśli młody zabrudzi mu podłogę wymiocinami, doliczy to do czynszu.

Gdy zachorował Ostel, Gonzaga przez cztery dni nie wypuszczał go z łóżka.

— To mój warsztat.

— Wiem.

— Muszę pracować.

— Nie.

— Ty mi nie będziesz mówił...

— Zamknij się.

Ostel umilkł.

— Powiedziałeś mi, żebym się zamknął?

— Tak.

Starzec położył się wygodniej.

— Wreszcie robisz postępy.

Kiedy wyzdrowiał, opowiadał wszystkim klientom, że Gonzaga próbował go zabić zupą.

Gonzaga twierdził, że gdyby naprawdę próbował, użyłby trucizny.

Ostel starzał się powoli.

Tak powoli, że Gonzaga długo tego nie dostrzegał.

Najpierw starzec zaczął siadać podczas strugania.

— Co robisz?

— Siedzę.

— Widzę.

— To po co pytasz?

Potem coraz częściej rozmasowywał dłonie.

Czasem przystawał na schodach.

Coraz dłużej spał rano.

Gonzaga sobie z tego żartował.

Bo nie potrafił wyobrazić sobie świata, w którym któregoś dnia Ostel nie wstanie.

Ostatniego wieczoru pokłócili się o obręcz.

— Za luźna.

— Nie.

— Jest.

— Sprawdzałem.

— Źle.

— Może ty źle patrzysz.

Ostel zmrużył oczy.

— Ja patrzę dobrze od pięćdziesięciu lat.

— Właśnie dlatego czas zmienić oczy.

— Wynoś się z mojego warsztatu.
Gonzaga rozłożył ręce.
— Mieszkam tutaj.
— Tym gorzej.
Gonzaga ruszył do swojego pokoju.
— Gonzaga.
Odwrócił się.
Ostel stał przy beczce.
Dotknął obręczy.
— Jest prawie dobra.
Gonzaga uśmiechnął się.
— Wiedziałem.
— Powiedziałem „prawie".
— Dobranoc.
— Dobranoc.

Obudziła go cisza.
Nie od razu zrozumiał.
Przez kilka ostatnich lat każdy poranek zaczynał się podobnie.
Trzy uderzenia młotka.
Przerwa.
Przesunięcie czegoś po stole.
Czasem przekleństwo, jeśli Ostel nie znajdował narzędzia, które sam wcześniej odłożył.
Tego ranka nie było niczego.
Gonzaga otworzył oczy.
Leżał nieruchomo.
I już wtedy wiedział.
Nie chciał wstać.
Wstał.
— Ostel?
Cisza.
Wszedł do jego pokoju.
Bednarz leżał na łóżku.
Jedna ręka zwisała bezwładnie.
Gonzaga podszedł.
— Wstawaj.
Dotknął ramienia.
Zimne.
— Przestań.
Potrząsnął nim.

— Mamy robotę.
Nic.
Przyłożył palce do szyi.
Nie poczuł pulsu.
Spróbował ponownie.
Potem przyłożył ucho do piersi.
— Ostel.
Cisza.
Usiadł przy łóżku.
Nie krzyczał.
Nie płakał.
Nie przyszła furia.
To byłoby prostsze.
Czekał.
Jakby starzec za chwilę miał otworzyć oczy i powiedzieć, że nawet puls Gonzaga sprawdza źle.
Nic takiego się nie stało.
Po raz pierwszy zrozumiał różnicę pomiędzy ciszą a nieobecnością.

Na pogrzeb przyszło zaskakująco wiele osób.
Kupcy.
Rzemieślnicy.
Karczmarze.
Sąsiedzi.
Kobieta, której od lat naprawiał beczki niemal za darmo.
Każdy miał jakieś wspomnienie.
Gonzaga słuchał.
Odkrywał, że człowiek może zostawić po sobie więcej niż warsztat.
Po powrocie zobaczył na stole dwa kubki.
Swój.
Ostela.
I właśnie wtedy się rozpłakał.
Nie nad grobem.
Nie przy ciele.
Nad dwoma glinianymi kubkami.
Bo następnego ranka potrzebny będzie tylko jeden.

Dwa dni później pojawił się właściciel budynku.
Gonzaga nigdy wcześniej go nie widział.
— Do wieczora masz się wynieść.
— Co?
— Warsztat wraca do właściciela.

Gonzaga spojrzał na niego.
— Prowadzę go od lat.
— Pracowałeś tutaj.
— Ostel nie miał rodziny.
— Właśnie.
To „właśnie” zabolało.
Gonzaga poczuł znajome gorąco.
Mężczyzna mówił dalej o umowach, gruntach, narzędziach.
Przestał słuchać.
Wystarczyłby jeden krok.
Jedno uderzenie.
I wtedy w pamięci usłyszał:
Gonzaga.
Głos Ostela.
W takim razie naucz się mówić własnym głosem.
Zamknął oczy.
— Nie.
Mężczyzna urwał.
— Co?
Gonzaga otworzył oczy.
— Nic.
Furia cofnęła się.
— Zabiorę swoje rzeczy.
Spakował ubrania.
Kilka drobiazgów.
Przy drzwiach odwrócił się.
Niedokończona beczka nadal stała na stole.
Ta sama.
Gonzaga dotknął obręczy.
— Za luźna — powiedział.
Czekał sekundę.
Nie usłyszał odpowiedzi.
Wyszedł.
I znowu nie miał domu.

Przez kilka następnych dni spał tam, gdzie akurat udało mu się znaleźć miejsce.
Szopa.
Magazyn.
Raz pod schodami.
Pracy szukał bezskutecznie.

Inni bednarze znali jego umiejętności.
I właśnie dlatego nie chcieli go zatrudnić.
— Za pół roku otworzysz warsztat naprzeciwko.
— Nie mam pieniędzy.
— Jeszcze.
Życie znowu stawało się niepewne.
Gonzaga nienawidził tego bardziej niż dawniej.
Bo teraz wiedział już, jak smakuje coś lepszego.

Bójka zaczęła się od chleba.
Kupił go za ostatnie pieniądze.
Usiadł pod murem.
Dwóch strażników przechodziło ulicą.
Jeden go rozpoznał.
— Patrzcie. Wybraniec Sharami.
Gonzaga jadł dalej.
— To ten od gór?
— Ten.
Drugi zaśmiał się.
— A teraz żebrze?
Gonzaga milczał.
— Bednarz go wyrzucił?
Podniósł wzrok.
— Ostel nie żyje.
— No to miał dobry powód.
Gonzaga powoli wstał.
— Idźcie dalej.
Strażnik uśmiechnął się.
— Bo co?
— Bo proszę.
— Prosisz?
Pchnął go.
Gonzaga cofnął się.
Odetchnął.
Nie.
Drugie pchnięcie.
Chleb wypadł mu z ręki.
Strażnik nadepnął na bochenek.
I powiedział coś o starym bednarzu.
Gonzaga później nie pamiętał co.

Pamiętał tylko, że wtedy drzwi się otworzyły.

Świat zrobił się czerwony.
Pierwszego strażnika uderzył w gardło.
Drugiego zobaczył dopiero, gdy pałka spadła mu na bark.
Potem były już tylko urywki.
Łokieć.
Kolano.
Bruk.
Krew na palcach.
Krzyk.
Ktoś złapał go od tyłu.
Ugryzł go.
Następnego fragmentu nie pamiętał.
Kiedy wróciła świadomość, klęczał.
Czterech strażników znajdowało się wokół niego.
Dwóch leżało.
Jeden siedział pod ścianą, trzymając się za ramię.
Ostatni celował w Gonzagę z kuszy.
— Nie ruszaj się.
Gonzaga spojrzał na swoje dłonie.
Drżały.
Przypomniał sobie Ostela.
W takim razie naucz się mówić własnym głosem.
Za późno.
Tym razem nie zdążył.
— Na ziemię!
Położył się.

W celi odwiedził go kapłan.
Starszy.
Spokojny.
Usiadł po drugiej stronie krat.
— Czterech.
Gonzaga nic nie powiedział.
— Czterech strażników.
— Oni zaczęli.
— Naturalnie.
Kapłan zajrzał w dokument.
— Złamany nos. Bark. Dwa żebra. Ugryzienie.
Gonzaga skrzywił się.

— Tego ostatniego nie pamiętam.

— Właśnie to jest interesujące.

Gonzaga podniósł głowę.

Kapłan obserwował go uważnie.

— Co ze mną zrobicie?

— Zabicie cię byłoby marnotrawstwem.

Gonzaga zamarł.

— Pocieszające.

— Zamknięcie cię także.

— To może mnie wypuśćcie.

— Nie przesadzajmy.

Kapłan złożył dokument.

— Świątynia ma pewien problem.

— Mnie?

— Między innymi.

Wstał.

— Jesteś niezdyscyplinowany, porywczy, masz paskudny charakter i najwyraźniej coś w tobie sprawia, że kilku uzbrojonych mężczyzn ma z tobą więcej kłopotu, niż powinno.

Gonzaga poczuł chłód.

Sharami.

Nie chciał o niej myśleć.

— Do czego zmierzasz?

Kapłan podszedł do krat.

— Skoro nie potrafisz trzymać się z dala od strażników, może powinieneś zostać jednym z nich.

Kilka dni później stał na dziedzińcu straży świątynnej.

Miał nowe buty.

Tunikę.

Pas.

Drewnianą broń treningową.

— To kara? — zapytał.

Kapłan wzruszył ramionami.

— To się okaże.

— A jeśli odmówię?

— Twoja cela jest nadal wolna.

Gonzaga popatrzył na koszary.

Na ćwiczących ludzi.

Westchnął.

— Świetnie.

Kapłan odszedł.
Gonzaga został sam.
Kurz.
Szczęk drewna.
Komendy.
Coś w tym miejscu było znajome.
— Ty.
Odwrócił się.
Na ławie przy ścianie siedział stary mężczyzna.
Siwe włosy.
Krzywy nos.
Skórzana przepaska zasłaniająca jedno oko.
Gonzaga znieruchomiał.
Starzec przyglądał mu się przez chwilę.
Potem się uśmiechnął.
— No proszę.
Za jego plecami pojawił się drugi.
Brakowało mu dwóch palców.
— Patrzcie — powiedział. — Jednak przeżył.
Jednooki wstał.
Wziął drewnianą szablę.
Rzucił ją Gonzadze.
Ten złapał ją odruchowo.
— Pamiętasz coś?
Gonzaga spojrzał na broń.
Potem na starca.
Dotknął palcem skroni.
— Tutaj zaczyna się walka.
Jednooki uśmiechnął się szerzej.
— A to?
Wskazał ostrze.
— Dopiero koniec.
Przez moment patrzyli na siebie.
— Może jednak nie zmarnowaliśmy całego czasu — powiedział weteran.
Uniósł własną broń.
— No dobrze, młody. Pokaż, czego nauczyło cię życie.
Gonzaga ustawił nogi.
Tym razem poprawnie.
Nie był już chłopcem, który przyszedł odzyskać przegrane buty.
Nie był też jeszcze człowiekiem, którym miał się stać.

Ale po raz pierwszy od śmierci Ostela wiedział przynajmniej, co zrobi następnego ranka.
Przyjdzie tutaj.
Będzie ćwiczył.
A później wróci.
Dokąd — tego jeszcze nie wiedział.
Może właśnie dlatego, gdy jednooki zaatakował, Gonzaga uśmiechnął się.
Nie miał domu.
Ale znowu miał jutro.

Rozdział VII

Przysięga

Pierwszego dnia w straży świątynnej nie dano mu miecza.
Dostał szczotkę.
I wiadro.

Jednooki weteran, który przywitał go na dziedzińcu z miną człowieka odnajdującego monetę zgubioną przed laty, zaprowadził go do zbrojowni i wskazał rząd napierśników.

— Wyczyść.

Gonzaga spojrzał na niego.

— Wszystkie?

— Nie. Te brudne.

Spojrzał na zbroje.
Wszystkie były brudne.

— Bardzo zabawne.

— Dlatego mnie tutaj trzymają.

Mężczyzna bez dwóch palców pojawił się w drzwiach.

— Nie wierz mu. Trzymają go dlatego, że nikt inny go nie chce.

— A ciebie?

— Mnie dlatego, że jestem piękny.

Gonzaga mimowolnie się uśmiechnął.
Jednooki rzucił mu szmatę.

— Zęby potem. Najpierw pancerze.

Tak rozpoczęła się jego kariera w straży Sharami.
Nie od szabli.
Od rdzy.

Dopiero później zrozumiał, że było w tym więcej sensu, niż przypuszczał.

Strażnik musiał wiedzieć, jak zbudowana jest zbroja, zanim nauczył się w niej walczyć.
Musiał rozpoznawać uszkodzone sprzączki.
Pęknięte nity.
Pasek, który wytrzyma marsz, ale zerwie się przy pierwszym gwałtownym ruchu.
Miał nauczyć się dbać o broń, zanim pozwolono mu ją nosić.

Jednooki tłumaczył mu to znacznie prościej:

— Jak będziesz wiedział, ile roboty kosztuje usunięcie rdzy z miecza, może przestaniesz rzucać nim w błoto.

— Nigdy nie rzucałem mieczem w błoto.

— Bo jeszcze nie dostałeś miecza.

Gonzaga musiał przyznać mu rację.

Nienawidził tego.

Po południu zaczynało się szkolenie.

Tu weterani przestawali żartować.

Pierwszego dnia Gonzaga był przekonany, że umie walczyć.

Drugiego już nie.

Trzeciego nie był nawet pewien, czy kiedykolwiek umiał prawidłowo stać.

To, czego nauczyli go jako dziecko, było zbiorem podstaw, forteli i sposobów na przeżycie bójki.

Teraz wszystko zaczynało się od początku.

Postawa.

Oddech.

Praca nóg.

Tarcza.

Szabla.

Zmiana dystansu.

Walka w szeregu.

Ochrona człowieka stojącego obok.

Posłuszeństwo komendom.

Ta ostatnia część okazała się najtrudniejsza.

— Cofnij się!

Gonzaga zobaczył lukę w obronie przeciwnika i zaatakował.

Drewniana szabla jednookiego uderzyła go w bok głowy.

Upadł.

— Powiedziałem: cofnij się.

— Mogłem go trafić.

— Mogłeś.

— Więc?

— A człowiek po twojej lewej właśnie by zginął.

Gonzaga podniósł się.

— Nie było tam nikogo.

Jednooki spojrzał na niego.

— Właśnie dlatego ćwiczymy.

To było nowe.

Dotąd Gonzaga walczył sam.

Weterani nauczyli go kiedyś, jak przeżyć.

Straż świątynna miała nauczyć go, że czasami przeżycie własne nie było najważniejsze.

Przychodziło mu to z trudem.

Ale się uczył.

Senil zobaczył po raz pierwszy przy zbrojowni.

Nie wydarzyło się nic niezwykłego.

Nie zatrzymał się czas.

Nie zagrała muzyka.

Gonzaga niósł właśnie stos świeżo wyczyszczonych naramienników i niemal wpadł na dziewczynę wychodzącą zza rogu.

Ona odskoczyła.

On również.

Jeden z naramienników spadł.

Potoczył się po kamieniach z głośnym brzękiem.

Dziewczyna spojrzała na metal.

Potem na Gonzagę.

Miała na sobie brązową szatę.

Nowicjuszka.

Najniżej w hierarchii kobiet Sharami.

Bez pomarańczu kapłanek pierwszego stopnia, bez czerwieni tych, które miały realną władzę w świątyni, a tym bardziej bez bieli zarezerwowanej dla jednej kobiety stojącej na jej szczycie.

Po prostu brąz.

Gonzaga mimo to przez kilka sekund nie potrafił niczego powiedzieć.

— To twoje? — zapytała.

Spojrzał na naramiennik.

— Nie.

Senil uniosła brew.

— Leżało na tym, co niesiesz.

— To straży.

— Czyli niesiesz cudze rzeczy i gubisz je po drodze?

Gonzaga odłożył stos.

Podniósł metal.

— Sprawdzałem, czy jest dobrze wyczyszczony.

— O kamień?

— Najlepsza metoda.

Przyjrzała mu się.

Potem parsknęła śmiechem.

To wystarczyło.

Gonzaga był zgubiony.

Przez następny tydzień kilkakrotnie przechodził tą samą drogą.
Nie miał tam żadnych obowiązków.
Pierwszego dnia weteran bez palców zapytał:
— Zgubiłeś się?
— Nie.
— Trzeci raz idziesz po ten sam dzban wody.
Gonzaga spojrzał na naczynie.
— Dużo piję.
— Oczywiście.
Jednooki, siedzący przy stole, nawet nie podniósł głowy.
— Brązowa?
Gonzaga zatrzymał się.
— Co?
— Szata.
— Nie wiem, o czym mówisz.
— To pomarańczowa.
— Brązowa — poprawił bez dwóch palców.
Jednooki uśmiechnął się.
— Dziękuję.
Gonzaga zacisnął szczękę.
Obaj ryknęli śmiechem.

Senil szybko zauważyła jego zainteresowanie.
Nie odstraszyło jej.
To zachęciło Gonzagę bardziej, niż powinno.
Zaczęło się od krótkich rozmów.
Pod schodami.
Przy magazynie.
Przy studni.
Czasami wymieniali tylko kilka zdań.
Innym razem Senil potrafiła zostać dłużej.
Była inna niż dziewczęta, które Gonzaga znał wcześniej.
Nie dlatego, że była nowicjuszką.
Była głodna świata.
Tylko jej głód wyglądał inaczej niż jego.
Gonzaga chciał wiedzieć, co znajduje się za kolejnym wzgórzem.
Senil chciała wiedzieć, co znajduje się wyżej.
Kto decyduje.
Kto posiada dostęp.
Kto jest słuchany.

Jak przejść z brązu do pomarańczu.
Z pomarańczu do czerwieni.
Nigdy nie mówiła o bieli.
Nie musiała.
Gonzaga widział, jak patrzyła na arcykapłankę.
— Chcesz kiedyś być taka jak ona? — zapytał.
Senil odwróciła wzrok.
— Każda nowicjuszka chce.
— Nie każda tak patrzy.
— Jak?
— Jakby już przymierzała jej szatę.
Senil przez chwilę milczała.
Potem uśmiechnęła się.
— Uważaj. Zaczynasz mnie poznawać.
Gonzaga uznał to za komplement.

Szkolenie zaczęło przynosić efekty.
Jego ciało pamiętało więcej, niż sądził.
Weterani tylko zdejmowali warstwę po warstwie wszystko, czego nauczył się źle.
Furia Sharami była osobnym problemem.
Jednooki dostrzegł ją podczas sparingu.
Gonzaga dostał drewnianym ostrzem w usta.
Poczuł krew.
Przeciwnik zaśmiał się.
Coś w nim drgnęło.
Świat zwęził się.
Cios, który miał być ćwiczebny, zatrzymał się o włos od skroni drugiego rekruta.
Jednooki natychmiast wszedł między nich.
— Dosyć.
Gonzaga oddychał ciężko.
— Zejdź mi z drogi.
Starzec nawet nie drgnął.
— Powiedz to jeszcze raz.
Gonzaga zacisnął ręce.
Przez chwilę naprawdę chciał go uderzyć.
Potem usłyszał głos Ostela.
Nie wspomnienie konkretnego zdania.
Po prostu jego głos.
Gonzaga.
Opuścił broń.

Jednooki obserwował go długo.

— Co to było?

— Nic.

— Jeśli to było nic, nie chcę widzieć czegoś.

Gonzaga otarł krew z ust.

— Nie umiem nad tym panować.

— To się nauczysz.

— A jeśli nie?

Jednooki wzruszył ramionami.

— Wtedy któregoś dnia ktoś silniejszy od ciebie zrobi to za ciebie.

Nie była to szczególnie pocieszająca odpowiedź.

Ale była uczciwa.

Z Senil radził sobie jeszcze gorzej niż z furią.

Przynosił jej rzeczy.

Na początku drobiazgi.

Pióro do pisania.

Lepszy pergamin.

Owoc kupiony na targu.

Kiedyś ukradł kwiat z ogrodu należącego do jednej z kapłanek.

Senil spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Wiesz, że mogą cię za to ukarać?

— Wiem.

— I zrobiłeś to dla kwiatu?

— Nie.

— Dla czego?

Gonzaga wyciągnął go w jej stronę.

— Dla ciebie.

Przewróciła oczami.

Ale wzięła.

Jeszcze tego samego wieczoru Gonzaga widział kwiat wsunięty pomiędzy karty księgi, którą niosła.

Przez trzy dni chodził jak zwycięzca.

W straży świątynnej czekała go jeszcze jedna ceremonia.

Zaprzysiężenie.

Nie chodziło już o nadanie imienia. Wybrał je sobie wiele lat wcześniej, choć kapłanki wciąż niechętnie wspominały tamto wydarzenie.

Tym razem miał złożyć przysięgę wobec Sharami, świątyni i jej zwierzchników.

Ceremonii przewodniczyła kapłanka w czerwieni.

Ta sama, która niegdyś stała ponad nim, gdy przywiązano go do pala.

I ta sama, która odmówiła uznania imienia wybranego przez dziesięcioletniego chłopca.

Rozpoznał ją natychmiast.

Ona jego również.

Zebrano nowych strażników na jednej z niższych platform piramidy.

Płonęły cztery paleniska. Wokół stały kapłanki w brązie, pomarańczu i czerwieni.

Kolejno wywoływano rekrutów. Każdy dotykał dłonią kamienia przed paleniskiem, wypowiadał swoje imię i składał przysięgę. Dopiero potem jego imię trafiało do ksiąg pełnoprawnych strażników.

Kiedy wywołano Gonzagę, przez twarz kobiety przemknął cień uśmiechu.

— A więc znowu stajemy przed sobą.

— Na to wygląda, pani.

— Tym razem jednak nie jesteś dzieckiem.

— Zauważyłem.

— I tym razem oczekuję, że zrozumiesz znaczenie posłuszeństwa.

Gonzaga milczał.

Kapłanka wskazała kamień przysięgi.

— Wypowiedz swoje imię.

— Gonzaga.

— Imię, które sam sobie nadałeś.

— Tak.

— Świątynia wiele razy okazała ci łaskę.

Gonzaga pomyślał o bliźnie przecinającej plecy.

O Szklanych Górach.

O wszystkich latach, które nastąpiły później.

— Mamy chyba inne wspomnienia.

Kapłanka zacisnęła usta.

— Uklęknij i przysięgnij, że odtąd twoja wola będzie podporządkowana woli świątyni.

Gonzaga spojrzał na płonące paleniska.

— Mogę przysiąc, że będę bronił jej ludzi.

— To za mało.

— Że będę chronił mieszkańców doliny.

— To nie ty ustalasz treść przysięgi.

— Że nie opuszczę towarzyszy w walce.

Kapłanka zrobiła krok naprzód.

— Masz przysiąc posłuszeństwo.

Gonzaga podniósł wzrok.

— Nawet gdybyście kazali mi zrobić coś podłego?

— Masz zaufać mądrości tych, którzy zostali postawieni ponad tobą.

Przez chwilę milczał.

Potem uśmiechnął się smutno.

— Kiedy miałem dziesięć lat, powiedziałaś mi niemal to samo.

Kapłanka zesztywniała.

— Odmów przysięgę.

— Przysięgnę bronić ludzi. Przysięgnę dochować wierności towarzyszom. Ale nie przysięgnę, że przestanę myśleć.

— Odmawiasz?

Gonzaga westchnął.

— Najwyraźniej.

Przez krótką chwilę na platformie panowała zupełna cisza.

Potem kapłanka powiedziała:

— Zabrać go.

Jednooki ruszył pierwszy.

Nie dlatego, że chciał.

Dlatego, że wiedział, co zrobią inni.

Chwycił Gonzagę za ramię.

— Nie walcz — wyszeptał.

Gonzaga spojrzał na niego.

— Tym razem cię posłucham.

— Raz w życiu wystarczy.

Zaprowadzono go wyżej.

Na tę samą piramidę, którą znał z dzieciństwa.

Dopiero gdy zobaczył łuczników, zrozumiał, że kapłanka nie zamierzała tylko ukarać nieposłusznego rekruta.

Chciała zakończyć problem.

— To absurd — powiedział.

Nikt nie odpowiedział.

Stał przed głównym paleniskiem Sharami.

Ręce miał związane.

Sześciu łuczników czekało po przeciwnej stronie platformy.

Nad Shangri-La rozciągało się prawie bezchmurne niebo.

Kapłanka w czerwieni podeszła.

— Ostatnia możliwość.

Gonzaga milczał.

— Złożysz przysięgę bez żadnych zastrzeżeń.

— Nie.

— Uklękniesz.

— Nie.

— Poprosisz Sharami o przebaczenie.

Gonzaga spojrzał na płomień.

Przypomniał sobie biczowanie.

Obecność, która wtedy zajrzała do jego wnętrza.

— Jeśli ma mi coś do powiedzenia, wie, gdzie mnie znaleźć.

Kapłanka uniosła rękę.

Jednooki zaklął pod nosem.

— Cel.

Łucznicy napięli cięciwy.

Gonzaga poczuł strach.

Prawdziwy.

Zimny.

Nie chciał umierać.

Ale nie wypowiedział żądanej przysięgi.

— Ognia nie da się...

Grzmot zagłuszył resztę słów.

Niebo rozdarło się białym światłem.

Błyskawica uderzyła w główne palenisko Sharami.



Błyskawica przerywa egzekucję

Płomień eksplodował.

Ludzie padli na ziemię.

Jedna ze strzał została wypuszczona przypadkiem i przeleciała obok Gonzagi.

Potem zapadła cisza.

Dym unosił się nad kamieniem.

Gonzaga stał.
Żywy.
Kapłanka patrzyła na palenisko.
Na niego.
Znowu na palenisko.
Nikt nie potrzebował interpretacji.
Sharami odpowiedziała.
Nie wiadomo było tylko komu.

Gonzagi nie wpisano tego dnia do ksiąg pełnoprawnych strażników.
Nie zabito go również.
Świątynia znalazła rozwiązanie pośrednie.
Następnego ranka znowu dostał szczotkę.
Jednooki postawił przed nim napierśnik.
Gonzaga spojrzał na niego.
— To żart.
— Nie.
— Wczoraj prawie zostałem pełnoprawnym strażnikiem.
— Wczoraj prawie zostałeś trupem.
— Sharami mnie uratowała.
— Spróbuj tym wyczyścić rdzę.
Rzucił mu szmatę.
Gonzaga patrzył przez chwilę.
Potem zaczął szorować.
Weteran bez palców stanął w drzwiach.
— Jak na strażnika, jeszcze niewiele zaprzysiągłeś — zauważył weteran bez palców.
Gonzaga uniósł wzrok.
— Za to mam szczotkę.
— I wyjątkowy talent do sprowadzania na siebie kłopotów.
— Dobrze, że w czymś jestem najlepszy.
Weteran parsknął.
— Gonzaga, ty naprawdę nigdy się nie nauczysz.
Tym razem w jego głosie nie było kpiny. Tylko znajoma, szorstka życzliwość.
Gonzaga uśmiechnął się i wrócił do szorowania pancerza.

Musiał od początku odbudować opinię.
Nie narzekał.
Czyścił pancerze.
Naprawiał pasy.
Nosił wodę.
Brał najgorsze warty.

Zgłaszał się tam, gdzie inni nie chcieli.
A po pracy trenował.
Codziennie.
Weterani nie oszczędzali go ani trochę.
Może właśnie dlatego po pewnym czasie pozostali strażnicy przestali patrzeć na niego jak na wariata, którego uratował boski kaprys.
Stał się Gonzagą.
Człowiekiem, na którym można było polegać.
Porywczym.
Czasem bezczelnym.
Ale swoim.
W ustach Senil jego imię brzmiało inaczej niż w ustach weteranów.
Zdał sobie z tego sprawę podczas jednej z ich krótkich rozmów.
— Gonzaga.
Odwrócił się.
Zatrzymał się, choć chciała tylko zwrócić jego uwagę.
— Jeszcze raz.
— Co?
— Powiedz.
Senil roześmiała się.
— Jesteś idiotą.
— Nie to.
— Gonzaga.
Mógłby słuchać do rana.
Ich spotkania stawały się coraz bardziej tajne.
Nie dlatego, że robili coś szczególnie strasznego.
Nowicjuszkom nie wypadało spotykać się ze strażnikami w ciemnych korytarzach.
Strażnikom nie wypadało włóczyć się po mieszkalnych częściach świątyni.
A im częściej coś było zakazane, tym łatwiej Gonzaga znajdował drogę, żeby to zrobić.
Spotykali się na dachu magazynu.
W pustym skryptorium.
W ogrodzie po wieczornych modlitwach.
Czasami przez kilka minut.
Czasami godzinami.
Gonzaga opowiadał o Ostellu.
O górach.
O wężu z dżungli.
Senil mówiła o nauce.
O hierarchii świątyni.
O tym, jak trudno wybić się spośród dziesiątek innych dziewcząt.

Z czasem brąz zniknął.
Pojawił się pomarańcz.
Gonzaga był dumny niemal tak, jakby sam awansował.
— Wiedziałem — powiedział.
— Co?
— Że ci się uda.
Senil poprawiła nową szatę.
— To dopiero pierwszy stopień.
— Dla ciebie wszystko jest dopiero pierwszym stopniem.
Spojrzała na niego.
— Źle?
Gonzaga uśmiechnął się.
— Nie.
Wtedy naprawdę tak uważał.

Potem zaczęły się przysługi.
Najpierw niewinne.
— Potrzebuję dobrego pióra.
Przyniósł.
— Pergamin w naszym skryptorium jest okropny.
Zdobył lepszy.
— Jutro muszę pierwsza dostać się do katalogu rytuałów.
— To przyjdź wcześniej.
Senil zrobiła minę.
— Wszyscy przyjdą wcześniej.
— I?
— Drzwi do dormitorium nowicjuszek mają rygiel od zewnątrz.
Gonzaga patrzył na nią.
— Chcesz, żebym je zamknął?
— Na chwilę.
— Senil...
Pocałowała go w policzek.
— Na bardzo krótką chwilę.
Zrobił to.
Później miał wyrzuty sumienia.
Do chwili, kiedy Senil wbiegła do ich miejsca spotkań z informacją, że dostała dostęp do materiałów jako pierwsza.
Jej radość wystarczyła.
Przestał się przejmować.
To był błąd.

Mały.
Niemal niewidoczny.
Ale od takich właśnie zaczynały się największe.

Arina była kapłanką.

Nie wysokiej rangi, ale wystarczająco długo związaną ze świątynią, żeby posiadać własną kwaterę w części mieszkalnej.

Była przy tym, jak mówiła Senil, „najbardziej roztrzepaną kobietą, jaką ogień kiedykolwiek dopuścił do święceń".

Na jej stole leżały księgi.
Pomiędzy nimi naczynia.
Notatki.
Niedopite wino.
Amulety.
Jednego z tych amuletów Senil potrzebowała.

— Nie — powiedział Gonzaga.

Siedzieli na dachu magazynu.

— Jeszcze nawet nie powiedziałam po co.
— Jeśli zaczynasz zdanie od: „Arina ma coś, czego potrzebuję", odpowiedź brzmi nie.
— To tylko amulet.
— Tym gorzej.
— Nic mu nie zrobię.

Gonzaga spojrzał na nią.

— Nie.

Senil westchnęła.

— Potrzebuję tylko trochę jego potencjału.
— Weź własny.
— Gdybym mogła, nie prosiłabym ciebie.
— To kradzież.
— Pożyczenie.
— Bez wiedzy właścicielki.
— Na bardzo krótko.

Gonzaga wstał.
Senil złapała go za rękę.

— Proszę.

To słowo było jej najgroźniejszą bronią.

Kilka dni później Gonzaga zgłosił się na nocną straż przy części mieszkalnej kapłanek.
Nikt nie uznał tego za podejrzane.
Od miesięcy zgłaszał się na najgorsze warty.
Znał rytm korytarzy.

Wiedział, kiedy zmienia się patrol.
Kiedy Arina wyszła na nocne modlitwy, wszedł do jej kwatery.
Znalezienie amuletu zajęło dłużej, niż zakładał.
Bałagan był niewiarygodny.
Wreszcie znalazł go pod zwojem zapisanym drobnym pismem.
Niewielki.
Cięższy, niż wyglądał.
Zabrał.
Serce waliło mu tak mocno, jak podczas pierwszej prawdziwej walki.
Senil czekała.
— Masz?
Wyjął amulet.
Jej twarz się rozjaśniła.
Gonzaga chwycił ją za nadgarstek.
— Tylko tyle, ile potrzebujesz.
— Wiem.
— Senil.
Spojrzała mu w oczy.
— Obiecuję.
Pozwolił jej działać.
Nigdy później nie potrafił dokładnie powiedzieć, co zrobiła.
Czuł przepływ mocy.
Amulet jakby przygasł.
— Dosyć — powiedział.
Senil odsunęła dłonie.
— Dosyć.
Gonzaga zabrał przedmiot.

Wrócił do kwatery Ariny.
Położył amulet na stoliku.
Rozejrzał się.
Wino.
Puchar stał pomiędzy księgami.
Gonzaga zawahał się.
Potem przewrócił go.
Czerwony płyn rozlał się po stole.
Spłynął na amulet.
Arina była roztrzepana.
Jeśli odkryje utratę mocy, pomyśli, że sama uszkodziła przedmiot.
Plan był dobry.
Zbyt dobry.

Właśnie dlatego później Gonzaga tak długo go pamiętał.

Arina zaczęła coś podejrzewać.
Nie od razu.
Nie wiedzieli co.
Senil bagatelizowała sprawę.
— Ona podejrzewa wszystkich o wszystko.
— Śledzi cię.
— Wydaje ci się.
— Nie.
Weterani nauczyli Gonzagę patrzeć.
Wiedział, kiedy ktoś znajdował się drugi raz w miejscu, w którym nie miał powodu być.
— Wczoraj była przy skryptorium.
— Jest kapłanką.
— Dzisiaj przy ogrodzie.
— Kapłanki lubią rośliny.
— Senil.
Przewróciła oczami.
— Dobrze. Będziemy ostrożniejsi.
Powinni przestać się spotykać.
Nie przestali.
Tej nocy znaleźli się w wąskim korytarzu prowadzącym do nieużywanego magazynu.
Senil przyszła pierwsza.
Gonzaga chwilę później.
— Ktoś za tobą szedł?
— Nie.
— Jesteś pewna?
— Gonzaga...
Głos dobiegł zza nich.
— Jest.
Odwrócili się.
Arina stała w wejściu.
Senil zbladła.
— Arino...
— Ile?
— Co?
— Ile zabrałaś?
Cisza.
Gonzaga wszedł pomiędzy nie.
— To ja.

Arina spojrzała na niego.
— Oczywiście.
— Senil nie...
— Zejdź mi z drogi.
— Posłuchaj...
— Strażnik okradający kapłanki.
Pokręciła głową.
— Piękna para.
Senil wyprostowała się.
— Nie wiesz, o czym mówisz.
— Wiem więcej, niż myślisz.
Gonzaga zauważył zmianę.
Dłoń Ariny.
Ruch ku pasowi.
Sztylet.
— Spokojnie.
— Nie mów mi, żebym...
Wszystko wydarzyło się jednocześnie.
Senil ruszyła.
Arina wyciągnęła broń.
Gonzaga próbował wejść pomiędzy nie.
Ktoś kogoś odepchnął.
Senil chwyciła rękę Ariny.
Obie straciły równowagę.
Uderzyły o ścianę.
Gonzaga usłyszał krótki oddech.
Potem ciszę.
Arina cofnęła się o pół kroku.
Spojrzała w dół.
Rękojeść sztyletu wystawała z jej piersi.
Przez chwilę wyglądała bardziej na zdziwioną niż cierpiącą.
Potem osunęła się na ziemię.

Gonzaga stał.
Nie potrafił się ruszyć.
— Arina?
Przykucnął.
Krew pojawiała się szybko.
Zbyt szybko.
— Nie.

Przycisnął dłonie do rany.

— Nie, nie...

Arina spróbowała zaczerpnąć powietrza.

Nie udało się.

Po kilku chwilach przestała się ruszać.

Gonzaga spojrzał na Senil.

Stała przy ścianie.

Blada.

— Co zrobiłaś?

— Ona...

— Senil.

— Sama wyciągnęła nóż.

— Co zrobiłaś?

— Nie wiem!

Odpowiedź była zbyt szybka.

Albo zbyt prawdziwa.

Gonzaga nigdy nie potrafił później rozstrzygnąć.

Czy Senil pchnęła.

Czy tylko nie puściła ręki Ariny.

Czy był to wypadek.

Czy w ostatniej sekundzie podjęła decyzję.

To miało dręczyć go bardzo długo.

Z korytarza dobiegły głosy.

Senil spojrzała w stronę wejścia.

Potem na sztylet.

— Musisz go zabrać.

Gonzaga odwrócił się.

— Co?

— Zabierz nóż.

— Zwariowałaś?

— Znajdą go przy niej.

— To jej broń!

— Gonzaga, proszę!

Głosy były coraz bliżej.

Senil wyrwała sztylet.

Arina nie zareagowała.

Owinęła ostrze chustką i wcisnęła Gonzadze do ręki.

— Schowaj go.

— Senil...

— Idź!

I zrobił to.

Biegł do swojej kwatery.
Nie myślał.
To było najgorsze.
Gdyby zatrzymał się choć na chwilę, być może wszystko potoczyłoby się inaczej.
Otworzył drzwi.
Wszedł.
Chciał znaleźć miejsce.
Pod deską.
W sienniku.
Za skrzynią.
Nie zdążył.
Drzwi otworzyły się.
— Nie ruszaj się!
Strażnicy.
Trzech.
Za nimi czwarty.
Gonzaga znieruchomiał.
Jeden spojrzał na jego rękę.
Na chustkę.
Na krew.
— Co trzymasz?
Gonzaga otworzył dłoń.
Sztylet upadł na podłogę.
Metal zadźwięczał.
Czerwone ostrze.
Cisza.
— To nie...
Strażnik spojrzał na niego.
Gonzaga nagle zrozumiał, jak to wygląda.
Wiedział również, że jeśli teraz powie prawdę, Senil zginie razem z nim.
Może była winna.
Może nie.
Kochał ją.
To wystarczyło.
— Zakujcie go.
Gonzaga nie walczył.

Prowadzono go korytarzami, które znał.
Mijał zbrojownię.

Dziedziniec.
Miejsce, gdzie uczył się walczyć.
Nikt nie pozwolił mu zatrzymać się przy weteranach.
Jednooki zobaczył go z daleka.
Ich spojrzenia spotkały się na sekundę.
Starzec nie krzyknął.
Nie zapytał.
Tylko patrzył.
Gonzaga chciał mu powiedzieć:
To nie tak.
Nie zdążył.
Poprowadzono go niżej.
Jeszcze niżej.
Powietrze robiło się chłodniejsze.
Światło rzadsze.
Kamienne schody kończyły się przy masywnych drzwiach.
Za nimi czekały lochy.
Gonzaga zatrzymał się.
W dzieciństwie uważano go za podczłowieka.
Potem został wybrańcem.
Bednarzem.
Strażnikiem.
Sam nadał sobie imię.
Przez kilka lat budował wszystko od początku.
Teraz wystarczyła jedna noc, by stracił to ponownie.
Drzwi otwarto.
Strażnik pchnął go w ciemność.
— Wchodź.
Gonzaga zrobił krok.
Potem drugi.
Za plecami zatrzasnęło się żelazo.

Nie wiedział jeszcze, że właśnie tutaj, głęboko pod świątynią Sharami, zacznie się najdziwniejszy okres jego życia.

Ani że człowiek, którego spotka w tych ciemnościach, nauczy go więcej niż wszyscy jego wcześniejsi mistrzowie razem wzięci.

Na razie usiadł pod zimną ścianą.
Na dłoniach wciąż miał krew Ariny.

A ostatnią rzeczą, o której pomyślał przed zapadnięciem w niespokojny sen, nie była śmierć kapłanki.
Była nią Senil.

I pytanie, na które nie znał odpowiedzi.

Rozdział VIII

Ostatni szaman

Przez pierwsze trzy dni Gonzaga przygotowywał mowę obronną.
Nie miał pergaminu.
Nie miał atramentu.
Nie miał nawet pewności, czy ktokolwiek pozwoli mu ją wygłosić.
Mimo to przygotowywał.
Układał zdania, siedząc pod wilgotną ścianą.
Powtarzał je.
Poprawiał.
Skreślał w pamięci.
Zaczynał od początku.

— Wysoki sądzie… — powiedział po raz kolejny.

— Źle.

Gonzaga urwał.
Odwrócił głowę.
W najciemniejszym kącie celi siedział starzec.

Był tam od chwili, kiedy Gonzagę wrzucono do środka, ale prawie się nie odzywał.

Tak chudy, że przy słabym świetle trudno było odróżnić jego ręce od wystających spod skóry kości.

Długie, splątane włosy sięgały mu ramion. Broda zakrywała niemal całą pierś.
Gonzaga przez pierwszą noc zastanawiał się, czy człowiek w ogóle żyje.
Żył.
Niestety również miał opinie.

— Co źle?

— „Wysoki sądzie”.

— A co mam powiedzieć?

Starzec wzruszył ramionami.

— Nie wiem. To twoja mowa.

— To dlaczego się odzywasz?

— Bo tak długo tego słucham, że czuję się częścią sprawy.

Gonzaga zacisnął szczęki.

— To ma być poważne.

— Tym gorzej.

— Jestem oskarżony o zabójstwo kapłanki.

— Zauważyłem, że nie zamknęli cię tutaj za kąpiel w fontannie.

Gonzaga spojrzał na niego gwałtownie.

Starzec uśmiechnął się.

Miał zaskakująco zdrowe zęby.

— Skąd wiesz?

— Strażnicy rozmawiają.

— Słuchasz ich?

— Ty też powinieneś.

Gonzaga odwrócił się.

— Więc jeszcze raz.

Odetchnął.

— Wysoki sądzie...

Westchnienie z kąta.

— Jeśli jeszcze raz przerwiesz...

— Nie przerywam.

— Właśnie przerwałeś.

— To ty przestałeś mówić.

Gonzaga spojrzał na niego.

Starzec zamknął oczy.

— Kontynuuj. Jestem bardzo ciekaw, w którym momencie przekonasz ludzi, którzy już uznali cię za winnego, że popełnili błąd.

To zabolało.

Bo Gonzaga od trzech dni starał się o tym nie myśleć.

Mowa zmieniała się każdego dnia.

Najpierw była rzeczowa.

Powiedziałby im, że Arina wyciągnęła broń.

Że doszło do szamotaniny.

Że sztylet znalazł się w jej piersi przypadkiem.

Że sam próbował zatamować krwawienie.

Że nie był zabójcą.

Drugiego dnia pojawił się problem.

Amulet.

Musiałby wyjaśnić, dlaczego w ogóle znalazł się w kwaterze kapłanki.

To prowadziło do Senil.

Wobec tego usunął amulet z mowy.

Trzeciego dnia usunął również Senil.

Czwartego zrozumiał, że bez Senil i amuletu cała opowieść przestawała mieć sens.

— Czyli wszedłeś do korytarza — odezwał się starzec — kapłanka przypadkiem się tam znalazła, przypadkiem wyjęła sztylet, przypadkiem się na niego nadziała, a ty przypadkiem uciekłeś z narzędziem zbrodni.

Gonzaga zacisnął powieki.

— W skrócie.

— Doskonałe.

— Nie pomagasz.

— Pomagam ci zrozumieć, że jesteś w bardzo głębokiej dziurze.

Gonzaga rozejrzał się po celi.

— To zauważyłem.

Starzec uśmiechnął się.

Nie wiedział, jak długo będzie czekał na sąd.

Strażnicy niczego nie mówili.

Dwa razy dziennie otwierano małe okienko w drzwiach.

Wsuwała się miska.

Czasami dwie.

Woda.

Chleb.

Coś, co z dużą dozą dobrej woli można było nazwać zupą.

Gonzaga jadł.

Starzec niewiele.

— Jak się nazywasz? — zapytał któregoś dnia Gonzaga.

— Erenet.

— Za co siedzisz?

— Za starość.

Gonzaga spojrzał na niego.

— Poważnie.

— Jestem stary całkowicie poważnie.

— Wiesz, o co pytam.

Erenet otworzył oczy.

— Jestem szamanem.

Gonzaga czekał.

— I?

— To wszystko.

— Zamknęli cię za to, że jesteś szamanem?

— Nie.

— Więc za co?

— Za to, że jestem ostatnim.

To brzmiało na tyle dziwnie, że Gonzaga zrezygnował z dalszych pytań.

Na jakiś czas.

Piątego albo szóstego dnia — Gonzaga szybko stracił rachubę — do celi wrzucono trzeciego człowieka.

Dosłownie.

Drzwi otworzyły się.

Dwóch strażników wniosło półprzytomnego mężczyznę i cisnęło nim na kamienie.

Upadł bez próby osłonięcia twarzy.

Gonzaga poderwał się.

— Co mu zrobiliście?

Strażnik zamknął drzwi.

Odpowiedział dopiero zza kraty.

— Teraz nic.

Roześmiał się.

Kroki ucichły.

Gonzaga uklęknął przy więźniu.

Mężczyzna był może o dziesięć lat starszy od niego. Twarz miał opuchniętą. Jedno oko całkowicie zamknięte.

Najgorsze były ręce.

Obie powyginane w miejscach, w których nie powinny.

Gonzaga odwrócił wzrok.

— Bogowie...

— Nie wszyscy — mruknął Erenet.

— Pomóż.

— W czym?

— Cokolwiek!

Erenet podszedł.

Obejrzał człowieka.

— Żyje.

— To widzę.

— W takim razie zrobiłem wszystko, co mogłem.

Gonzaga spojrzał na niego z wściekłością.

Erenet wrócił na swoje miejsce.

Złodziej — bo tym właśnie się okazał — odzyskał przytomność nocą.

Najpierw jęczał.

Potem przeklinał.

Wreszcie poprosił o wodę.

Gonzaga dał mu swoją porcję.

— Jak masz na imię?

Mężczyzna wypił.

— Po co?
— Żebym wiedział, jak się do ciebie zwracać.
— Złodziej wystarczy.
Gonzaga uśmiechnął się.
— Dobrze, Złodzieju.
Tamten parsknął, ale natychmiast skrzywił się z bólu.
— Zabiją mnie.
Gonzaga nie odpowiedział.
— Jutro. Może pojutrze.
— Skąd wiesz?
— Ręce.
Poruszył jednym z połamanych nadgarstków.
Twarz wykrzywił grymas.
— Gdyby chcieli mnie trzymać, zostawiliby mi palce.
Zapadła cisza.
— Mogę ci pomóc? — zapytał Gonzaga.
Złodziej spojrzał na niego.
— Możesz.
— Jak?
— Zdejmij mi but.

W podeszwie był wytrych.
A właściwie kilka cienkich kawałków metalu owiniętych w woskowaną tkaninę.
Strażnicy ich nie znaleźli.
— Po co ci to? — zapytał Gonzaga.
— Zgadnij.
— Nie możesz nimi pracować.
— Nie.
— Więc?
Złodziej spojrzał na drzwi.
Potem na Gonzagę.
— Ty możesz.
Gonzaga roześmiał się.
— Nie umiem.
— Nauczysz się.
— Kiedy?
— Szybko.
— A jak nie?
Złodziej oparł głowę o ścianę.
— To obaj zostaniemy tutaj dłużej, niż byśmy chcieli.

Erenet, siedzący w swoim kącie, otworzył jedno oko.
— Ja nigdzie się nie wybieram.
Złodziej spojrzał na niego.
— Kto to?
— Szaman.
— Aha.
Przyjął to bez dalszych pytań.
Loch miał własne standardy normalności.

Pierwsza lekcja trwała kilka godzin.
Złodziej tłumaczył.
Gonzaga próbował.
Metal ślizgał się w zamku.
— Za mocno.
Gonzaga westchnął.
— Wszyscy mi to mówią.
— Kto?
— Nieważne.
Przypomniał sobie Ostela.
Nie walcz z drewnem.
Przekonaj.
Spróbował potraktować zamek podobnie.
Nie siłą.
Dotykiem.
Słuchaniem.
— Czujesz pierwszy zapadek?
— Nie.
— To źle.
— Bardzo pomocne.
— Jeszcze raz.
Klik.
Gonzaga zamarł.
Złodziej uśmiechnął się.
— Właśnie.
Drugie kliknięcie.
Trzecie.
Nie otworzył zamka tej nocy.
Ani następnej.
Ale nauczył się słuchać metalu.

Zabrali Złodzieja rankiem.

Nie pożegnał się.
Nie było czasu.
Drzwi otworzyły się.
Strażnicy kazali mu wstać.
Nie mógł.
Podnieśli go.
Gonzaga patrzył.
— Wytrychy — szepnął mężczyzna, kiedy go mijali.
Tylko tyle.
Drzwi zamknęły się.
Nigdy więcej go nie zobaczył.
Wieczorem Gonzaga wyjął narzędzia z ukrycia.
Usiadł przy zamku.
Próbował.
Klik.
Klik.
Klik.
Drzwi otworzyły się.

Przez chwilę Gonzaga tylko patrzył.
Wolność miała kształt ciemnego korytarza.
Erenet siedział pod ścianą.
— Idziesz?
Gonzaga spojrzał na niego.
— Mogę.
— To nie odpowiedź.
— Jeszcze nie wiem.
Wysunął głowę.
Korytarz był pusty.
— Jak wrócę…
— Jeśli wrócisz.
Gonzaga zerknął na niego.
— Wrócę.
Erenet uśmiechnął się.
— Wszyscy młodzi tak mówią.

Nie uciekł.
Sam później długo nie potrafił powiedzieć dlaczego.
Może dlatego, że nie znał drogi.
Może dlatego, że wyjścia na powierzchnię były pilnowane.

A może dlatego, że po tylu latach uciekania pierwszy raz chciał wiedzieć, dokąd właściwie biegnie.

Zamiast ku górze poszedł w dół.

Schody kończyły się w miejscu, którego nie powinno tam być.

Drzwi.

Stare.

Kamienne.

Pokryte znakami.

Za nimi znajdowała się nekropolia.

Katakumby były starsze od lochów.

Starsze nawet od części świątyni.

Za kamiennymi drzwiami kończył się loch.

Nie od razu zrozumiał to, co właściwie poczuł.

Powietrze było inne.

W więziennych korytarzach śmierdziało ludźmi: potem, odchodami, mokrą słomą, zjełczałym jedzeniem. Nawet w najciemniejszej celi pozostawał jakiś ślad życia.

Tutaj nie było niczego.

Tylko kamień.

Kurz.

I chłód, który nie przypominał zwykłego zimna.

Gonzaga uniósł prowizoryczną lampę.

Płomień drżał.

Przed nim ciągnął się korytarz.

Ściany wykonano z olbrzymich bloków, tak dobrze spasowanych, że pomiędzy nie nie dałoby się wcisnąć ostrza noża. Co kilka kroków znajdowały się płaskorzeźby przedstawiające ludzi, których twarze dawno straciły rysy.

Wszyscy patrzyli przed siebie.

Gonzaga przesunął lampę.

Ich oczy podążyły za światłem.

Przynajmniej tak mu się wydawało.

— Idiota — wyszeptał sam do siebie.

Ruszył.

Każdy krok wracał do niego echem.

Raz.

Potem drugi.

A czasem trzeci, tak odległy i cichy, że Gonzaga musiał się zatrzymać, by upewnić się, czy naprawdę był to tylko jego własny krok.

Pierwszego wieczoru nie dotarł daleko.

Kilka rozwidleń.

Dwa grobowce.

Komora pełna pustych naczyń.
Potem zawrócił.
Kiedy wszedł do celi, Erenet siedział w tym samym miejscu.

— Tam są groby — powiedział Gonzaga.

— Tak.

— Wiedziałeś?

— Tak.

— Mogłeś powiedzieć.

Erenet otworzył jedno oko.

— Wtedy nie zobaczyłbyś ich sam.

Za drugim razem Gonzaga poszedł dalej.
Za trzecim odkrył pierwszy sarkofag, którego wieko odsunięto.
Nie zaglądał od razu.
Stał obok kilka chwil.
W końcu uniósł lampę.
W środku leżało ciało.
Nie szkielet.
Ciało.
Wysuszone tak dokładnie, że skóra przypominała brunatny pergamin naciągnięty na kości.
Gonzaga cofnął się.
Trup miał otwarte oczy.
Nie powinien ich mieć.
Gonzaga odszedł.
Po kilkunastu krokach usłyszał za sobą szelest.
Odwrócił się.
Nic.
Płomień lampy zatrzepotał.
Potem zgasł.
Przez kilka sekund nie istniał żaden świat.
Tylko ciemność.
Gonzaga stał bez ruchu i słyszał własne serce.
Uderzenie.
Drugie.
Trzecie.
A pomiędzy nimi coś jeszcze.
Jakby paznokieć przesuwany bardzo powoli po kamieniu.
Nie zapalił lampy.
Uciekł.

— Coś tam jest — powiedział Erenet.

— Oczywiście, że coś tam jest.

— Co?

— Nie wiem.

— Więc jeszcze nie wiesz, czego się boisz.

Gonzaga popatrzył na niego jak na człowieka niespełna rozumu.

— To ma mnie pocieszyć?

— Nie.

Erenet wskazał miejsce naprzeciw siebie.

— Siadaj.

— Teraz?

— Właśnie teraz.

Gonzaga usiadł.

— Zamknij oczy.

— Wolałbym już widzieć, co mnie zabija.

— Tamte istoty nie potrzebują twoich oczu.

Gonzaga otworzył jedno.

— Co to znaczy?

Erenet milczał chwilę.

— Umarli nie zawsze patrzą.

Dotknął dwoma palcami własnej piersi.

— Niektórzy czują.

Tak zaczęła się właściwa nauka.

Nie walki.

Nie zaklęć.

Nie rytuałów.

Nieistnienia.

Erenet nauczył Gonzagę rozpoznawać własne ciało jako coś, co zdradzało go bez przerwy.

Oddech.

Ciepło.

Napięcie mięśni.

Przyspieszone serce.

Strach.

Złość.

Wszystko to było jak światło widoczne w ciemności.

— Martwiak nie musi cię widzieć — mówił Erenet. — Wystarczy, że poczuje, że jesteś pełen życia.

— I co mam zrobić? Umrzeć?

— Na chwilę.

Gonzaga otworzył oczy.

Erenet się uśmiechnął.

— Prawie.

Medytacja doprowadzała Gonzagę do szału.

Pierwszego dnia wytrzymał może minutę.

Drugiego dwie.

Trzeciego był pewien, że Erenet robi to wyłącznie po to, żeby go ukarać.

— Nie myśl.

— Nie da się.

— Da.

— Skąd wiesz?

— Bo właśnie myślisz o tym, że się nie da.

— To co mam robić?

— Oddychać.

— Oddycham od urodzenia.

— Źle.

Gonzaga otworzył oczy.

— Wy i Ostel bardzo byście się polubili.

— Kto?

— Nieważne.

Pierwszy raz naprawdę zobaczył martwiaki kilka tygodni później.

Stały w niewielkiej sali.

Sześć.

Może siedem.

Nie poruszały się.

Jedna postać miała na sobie resztki kapłańskiej szaty.

Druga fragment zbroi.

Trzecia była prawie naga.

Wszystkie lekko się kołysały.

Nie jak ludzie.

Raczej jak wiszące na niewidzialnych sznurkach ciała, które porusza bardzo odległy wiatr.

Gonzaga zgasił lampę.

Usiadł.

Zamknął oczy.

Oddech.

Wdech.

Wydech.

Wolniej.

Jeszcze wolniej.

Serce biło zbyt szybko.

Nie zatrzymywać.
Nie walczyć.
Pozwolić mu zwolnić.
Strach nie znikał.
Ale Gonzaga nauczył się patrzeć na niego jak na coś, co przepływa.
Myśl.
Obraz.
Emocja.
Odpływa.
Po chwili wstał.
Pierwszy krok.
Martwiak nie poruszył się.
Drugi.
Nic.
Trzeci.
Jedna z głów drgnęła.
Gonzaga znieruchomiał.
Martwe nozdrza uniosły się lekko.
Jakby trup próbował powąchać powietrze.
Gonzaga przestał oddychać.
Po chwili głowa opadła.
Minął ją.
Kiedy wrócił do celi, ręce drżały mu tak mocno, że rozlał wodę.

— Zadziałało — powiedział.

Erenet spojrzał na niego.

— Wiem.

— Skąd?

— Wróciłeś.

Z każdym tygodniem nekropolia odsłaniała kolejne warstwy.
Gonzaga zaczął rozumieć, że nie była jednym miejscem.
Była całymi epokami pogrzebanymi jedna pod drugą.
Im głębiej schodził, tym starszy stawał się kamień.
Zmieniały się płaskorzeźby.
Znaki.
Sposób budowy grobów.

Czasem trafiał na korytarze, w których ściany pokrywały napisy w języku tak starym, że nawet Erenet nie potrafił go rozpoznać.

Innym razem drzwi otwierały się na salę pełną setek glinianych masek.
Każda przedstawiała twarz zmarłego.
Każda patrzyła na wejście.

Gonzaga nigdy tam nie wrócił.
W końcu zaczął znakować trasę jasnym kamieniem.
Jedna kreska oznaczała drogę do celi.
Dwie — ślepą odnogę.
Krzyż — pułapkę.
Kółko — miejsce, w którym widział martwiaki.
Stopniowo przestał być gościem.
Stał się czymś w rodzaju cienia żyjącego między zmarłymi.

Minęły tygodnie.
Potem miesiące.
Czas pod ziemią rozpływał się.
Gonzaga stracił rachubę dni.
Włosy mu urosły.
Oczy przywykły do ciemności.
Świat nad powierzchnią zaczął wydawać się czymś odległym.
Czasami myślał o Senil.
Coraz rzadziej o sądzie.
Mowa obronna zniknęła.
Wiedział już, że nikt nie zamierzał jej słuchać.
Za to nekropolia stawała się jego światem.
Znaczył korytarze.
Długo szukał kredy.
Znalazł coś lepszego — kruchą, jasną skałę, która zostawiała biały ślad na ciemnym kamieniu.
Jedna kreska.
Dwie.
Trzy.
System.
Mapa, której nie miał na pergaminie, ale którą znał w głowie.
Odkrywał pułapki.
Płyty naciskowe.
Włócznie wysuwające się ze ścian.
Zapadnie.
Kamienne bloki zdolne zmiażdżyć człowieka.
Każdą zapamiętywał.
Nigdy nie wiedział, że któregoś dnia uratują mu życie.

Martwiaki początkowo były koszmarem.
Później stały się częścią krajobrazu.
Jedne chodziły.
Inne stały godzinami w miejscu, kołysząc się lekko.

Niektóre reagowały na dźwięk.
Inne na emocje.
Erenet tłumaczył mu różnice.
— Nie wszystkie powstały tak samo.
— To znaczy?
— Śmierć ma wiele drzwi.
— Bardzo poetyckie.
— A głupota żywych jeszcze więcej.
Gonzaga zaczął obserwować.
Rzucał kamień w boczny korytarz.
Martwiak odwracał głowę.
Później znalazł wysuszone grzyby przypominające purchawki.
Po uderzeniu o kamień pękały z głośnym trzaskiem i chmurą pyłu.
Idealne.
Zbierał je.
Suszył.
Nosił przy sobie.
Najgorsze było to, że z czasem przestał się ich bać.
To właśnie wtedy omal nie zginął pierwszy raz.
Martwiak stojący przy ścianie wyglądał jak wszystkie inne.
Gonzaga przeszedł obok niego.
Nie ukrył się dobrze.
Pozwolił sobie pomyśleć:
Już to umiem.
Trup odwrócił głowę.
Nie gwałtownie.
Powoli.
To było gorsze.
Gonzaga zobaczył oczy pełne wyschniętej czerni.
Martwa ręka ruszyła.
Dotknęła jego ramienia.
Zimno.
Nie na skórze.
Wewnątrz.
Jakby coś wsunęło palce pomiędzy żebra i ścisnęło samo życie.
Gonzaga odskoczył.
Przez kilka minut nie potrafił złapać oddechu.
Kiedy wrócił, Erenet spojrzał na jego twarz.
— Dotknął cię.
— Tak.

— Dobrze.

Gonzaga omal go nie uderzył.

— Co w tym dobrego?!

— Teraz już wiesz, że możesz umrzeć.

— Wiedziałem wcześniej.

— Nie. Wcześniej wiedziałeś to głową.

Erenet dotknął jego piersi.

— Teraz wie to ciało.

Pewnej nocy Erenet zapytał:

— Chcesz zostać szamanem?

Gonzaga prawie się zakrztusił wodą.

— Nie.

— Dobrze.

— Dobrze?

— Ludzie, którzy bardzo chcą zostać szamanami, zwykle nie powinni nimi być.

— To po co pytasz?

Erenet spojrzał na niego.

— Bo umrę.

Gonzaga zamilkł.

Starzec mówił spokojnie.

— Hatikaci nie mogą mieć dwóch szamanów.

— Kim są Hatikaci?

Erenet długo patrzył na niego.

Potem zaczął opowiadać.

O pustyni.

O plemieniu.

O wędrujących wyspach.

O ludziach, których niemal już nie było.

O tym, że on jest ostatnim.

Gonzaga słuchał.

Po raz pierwszy Erenet mówił długo.

I po raz pierwszy starzec nie brzmiał jak więzień.

Brzmiał jak ktoś, kto nosił w sobie cały naród.

— Nie jestem Hatikatą — powiedział Gonzaga.

— Wiem.

— Jestem mieszańcem.

— Jeszcze lepiej.

— Dlaczego?

Erenet uśmiechnął się.

— Kiedyś zrozumiesz.

Gonzaga pokręcił głową.

— Nie chcę być szamanem.

— Wiem.

— Więc przestań się uśmiechać.

Erenet uśmiechnął się szerzej.

Rytuał wymagał rzeczy.

Nie wszystkich można było znaleźć w celi.

Kadzidła.

Krwi do znaków.

Odpowiednich naczyń.

Przedmiotów związanych z przodkami.

I na końcu czegoś najważniejszego.

Totemu.

— Jakiego zwierzęcia? — zapytał Erenet.

Gonzaga długo się zastanawiał.

Potem przypomniał sobie dżunglę.

Węża przesuwającego się pomiędzy liśćmi.

Cichego.

Niezależnego.

Zrzucającego skórę.

Stworzenie, od którego wiele lat wcześniej wziął własne imię.

— Wąż.

Erenet skinął głową.

Jakby innej odpowiedzi nie oczekiwał.

— Potrzebujemy jego skóry.

— Tutaj?

Gonzaga rozejrzał się po kamiennej celi.

— Może mam też przynieść drzewo z pustyni?

— Nie.

— Świetnie.

— Skóra jest w nekropolii.

Gonzaga przestał się uśmiechać.

— Skąd wiesz?

— Widziałem ją.

— Kiedy?

— Zanim mnie zamknęli.

— Gdzie?

Erenet spojrzał na niego.

— Na dole.

Gonzaga westchnął.

— Oczywiście.

I właśnie w tej nekropolii znajdował kolejne składniki.

Nie zdobywał ich jak przedmiotów z listy.

Każdy miał własne miejsce.

Własną historię.

Kadzidła leżały w zamkniętej urnie przed grobowcem kobiety, której imienia nikt już nie potrafił odczytać.

Święconą wodę znalazł w małej kaplicy, gdzie kamienne misy pozostały suche od setek lat, a jedna fiolka wciąż stała nienaruszona w niszy.

Erenet kazał mu jej nie zużywać.

— Na rytuał?

— Nie.

— To po co?

— Na wypadek, gdybyś spotkał coś, co nie lubi świętości.

Gonzaga obejrzał flaszkę.

— Bardzo precyzyjna instrukcja.

— Przeżyjesz.

— Pocieszające.

Naczynie potrzebne do rytuału wydobył z komory, której wejście znajdowało się pod zawalonym fragmentem stropu.

Erenet oceniał każde znalezisko.

Czasem kiwał głową.

Czasem odrzucał.

— To wystarczy.

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie jest właściwe.

— To miska.

— Nie.

— Wygląda jak miska.

— Dlatego nie jesteś jeszcze szamanem.

Aż została tylko skóra.

Wąż.

Totem.

Gonzaga zobaczył ją na czarnotrupie.

Nie była to skóra jego małej gonzagi z dżungli. Erenet potrzebował po prostu skóry węża, a tę znaleźli przypadkiem w katakumbach: Prakobra, Wąż Seta, wisiała na szacie czarnotrupa jak trofeum.

I wtedy po raz pierwszy naprawdę pomyślał, że być może Erenet wymaga od niego czegoś niemożliwego.

Tutaj chowano niegdyś kapłanki, władców doliny i ludzi wystarczająco ważnych, żeby ich śmierć wymagała kamienia, złota i modlitw.

Czarnotrup stał pośrodku ogromnej sali.
Pochylony nad otwartą księgą.
Był większy od zwykłych martwiaków.
Ciemny.
Wysuszony.
W jego nieruchomym ciele było coś znacznie gorszego niż śmierć.
Wokół niego stały dziesiątki trupów.
Kołysały się.
Czekały.
Na szacie czarnotrupa Gonzaga zobaczył skórę.
Wężową.
Długą.
Starożytną.
Nie przypominała skóry żadnego węża, jakiego znał.
Wrócił do Ereneta.

— To niemożliwe.

— Dobrze.

— Co dobrze?

— Jeśli uznałbyś to za łatwe, zacząłbym się martwić.

Przygotowywał się długo.
Nie chciał improwizować.
Najpierw przeszedł drogę kilkanaście razy.
Później kolejne.
Zapamiętał każdy zakręt.
Każdą pułapkę.
Miejsce, w którym można było przeskoczyć płytę.
Miejsce, gdzie należało przycisnąć się do ściany.
Sprawdzał, ile czasu potrzebują martwiaki na reakcję.
Gdzie rzucić purchawkę.
Gdzie kamień.
Którędy wracać.
Nie wybrał najkrótszej drogi.
Wybrał tę, którą znał.
Erenet słuchał jego planu.

— Dobra.

— Tylko dobra?
— Chcesz pochwałę?
— Trochę.
— Wróć żywy.
— Ty i Ostel naprawdę byście się polubili.
— Nadal nie wiem, kto to.
— Dobry człowiek.
Erenet skinął głową.
— W takim razie pewnie tak.

Gonzaga zszedł na sam dół.
Miał przy sobie purchawki.
Flaszkę wody święconej.
I wszystko, czego nauczył się przez ostatnie miesiące.
Przed wejściem do sali usiadł.
Zamknął oczy.
Oddychał.
Powoli.
Jeszcze wolniej.
Strach był.
Nie próbował go zniszczyć.
Pozwolił mu odpłynąć.
Gniew.
Napięcie.
Nadzieja.
Wszystko zniknęło.
Został kamień.
Cień.
Nic.
Wstał.
I wszedł pomiędzy umarłych.

Później myślał o tym jak o tańcu.
Martwiaki stały blisko siebie.
Za blisko.
Gonzaga przesuwał się pomiędzy nimi.
Pod ręką jednego.
Za plecami drugiego.
Przykucnął, kiedy trzecie ciało odchyliło się w jego stronę.
Przeczołgał się pomiędzy nogami następnego.
Jedna wysuszona dłoń znalazła się kilka palców od jego twarzy.

Nie poruszył się.
Nie oddychał.
Martwiak zakołysał się w drugą stronę.
Gonzaga ruszył.
Krok.
Pauza.
Krok.
Obrót.
Przy ziemi.
W bok.
Jakby całe życie przygotowywało go właśnie do tych kilku minut.
Dziecięce podchody.
Weterani.
Ucieczki przed strażnikami.
Furia, której nauczył się nie wypuszczać.
Medytacja Ereneta.
Wszystko było tutaj.
Dotarł do środka sali.
Czarnotrup nadal pochylał się nad księgą.
Gonzaga był tuż za nim.
Zobaczył skórę.
Wyciągnął rękę.
Chwycił.
Szarpnął.
Czarnotrup odwrócił głowę.
Zrobił to z szybkością, której Gonzaga nigdy nie podejrzewał o martwe ciało.
Ich twarze znalazły się naprzeciw siebie.
Gonzaga spojrzał w zaschnięte oczy.
I zamarł.
Nie był to zwykły strach.
Coś weszło mu do głowy.
Mięśnie przestały słuchać.
Oddech stanął.
Plan.
Droga.
Pułapki.
Wszystko zniknęło.
Było tylko spojrzenie.
Czarnotrup wyprostował się.
Martwiaki wokół sali zaczęły odwracać głowy.

Jeden.
Drugi.
Dziesiąty.
Gonzaga stał.
Nie mógł nawet zamknąć oczu.
Kilka sekund.
Może trzy.
Może pięć.
Wieczność.
Potem palce prawej ręki drgnęły.
Flaszka.
Pamiętał flaszkę.
Sięgnął.
Czarnotrup otworzył usta.
Gonzaga wyrwał korek zębami.
Chlusnął.

Woda święcona trafiła czarnotrupa prosto w twarz.
Efekt był natychmiastowy.
Skóra zasyczała.
Zapach przypominał spalone mięso.
Czarnotrup odrzucił głowę.
Wydał z siebie krzyk.
Nie.
To nie był krzyk.
To była fala.
Gonzaga poczuł uderzenie w czaszkę.
Świat zniknął na sekundę.
Upadł na kolano.
Słuch przestał istnieć.
Został tylko pisk.
Wysoki.
Nieustanny.
Wszystkie martwiaki w sali również się zachwiały.
Niektóre upadły.
Inne znieruchomiały.
Gonzaga spojrzał na skórę w swojej dłoni.
I zrozumiał.
Teraz.
Ruszył.

Pierwszy martwiak złapał go za koszulę.
Materiał pękł.
Drugi chwycił włosy.
Gonzaga runął.
Przetoczył się.
Kopnął jedno ciało w kolano.
Popchnął je na drugie.
Upadły razem.
Dotknęła go martwa dłoń.
Zimno weszło w ciało aż do kości.
Nie zwykły chłód.
Coś z niego ubyło.
Jakby dotyk wypił część siły.
Gonzaga krzyknął, choć nadal prawie niczego nie słyszał.
Wstał.
Biegł.
Kolejna ręka.
Kolejne zimno.
Szarpnięcie za plecy.
Padł.
Wstał.
Nie walczył.
Nie próbował ich pokonać.
Tylko przed siebie.

Pierwsza pułapka.
Przeskoczył płytę.
Martwiak za nim nie.
Kamień opadł.
Ze ściany wystrzeliły włócznie.
Gonzaga nie oglądał się.
Druga.
Zapadnia.
Skoczył.
Ciało za nim zniknęło w ciemności.
Trzecia.
Płyty miażdżące.
Odliczył kroki.
Jeden.
Dwa.
Trzy.

Bokiem.
Trupy weszły za nim.
Kamienie uderzyły o siebie.
Rzucił purchawkę w lewy korytarz.
Trzask.
Kilka martwiaków odwróciło się.
Pobiegło za dźwiękiem.
Gonzaga skręcił w prawo.
Plan działał.
Prawie.
Przy samym wyjściu stał czarnotrup.
Gonzaga zatrzymał się.
Niemożliwe.
On przebiegł całą trasę.
Pułapki.
Zakola.
Korytarze.
Czarnotrup nie musiał.
Poszedł najkrótszą drogą.
Stał przed drzwiami.
Zniszczona twarz parowała jeszcze po wodzie święconej.
I uśmiechała się.
Gonzaga poczuł rozpacz.
Za sobą słyszał — coraz wyraźniej, bo słuch wracał — odgłosy martwiaków.
Przed nim czarnotrup uniósł ręce.
Zaczął inkantację.
Gonzaga nie znał języka.
Nie musiał.
Widział światło tworzące się między jego dłońmi.
Ogień.
Zbyt jasny.
Zbyt gorący.
Nie było dokąd uciec.
Czarnotrup kończył zaklęcie.
Gonzaga ruszył.
Prosto na niego.

Czarnotrup nie spodziewał się tego.
To wystarczyło.
Gonzaga był już kilka kroków od niego, gdy kula ognia wyrwała się spomiędzy wysuszonych dłoni.

Rzucił się na ziemię.
Ślizgiem.
Pomiędzy nogi czarnotrupa.
Przez ułamek sekundy ogień znalazł się kilka palców od jego twarzy.
Poczuł żar.
Zapach własnych włosów.
Brwi przypaliły się.
Skóra zapiekła.
Potem przeleciał pod martwą istotą.
Kula ognia pomknęła dalej.
Prosto w martwiaki ścigające Gonzagę.
Eksplozja wypełniła korytarz.
Gonzaga wypadł za drzwi.
Odwrócił się.
Czarnotrup ruszył za nim.
I zatrzymał się.
Runy na kamiennym portalu zapłonęły.
Nie pozwalały martwym przejść.
Przez chwilę patrzyli na siebie.
Czarnotrup po jednej stronie.
Gonzaga po drugiej.
W martwej twarzy było coś takiego, co można było uznać za czystą nienawiść.
Gonzaga złapał drzwi.
Pociągnął.
Zamknął.
Zasunął rygiel.
Oparł plecy o kamień.
Osunął się na podłogę.
Oddychał.
Śmiał się.
Płakał.
Nie wiedział.
Spojrzał na dłoń.
Skóra węża nadal tam była.
Ściskał ją tak mocno, że paznokcie wbiły mu się w ciało.

Erenet zobaczył ją, zanim Gonzaga zdążył coś powiedzieć.
Starzec wstał.
Uśmiechnął się.
Nie szeroko.
Spokojnie.

Jak człowiek, który właśnie otrzymał odpowiedź na pytanie zadane bardzo dawno temu.
Podał Gonzadze swój chleb.
Potem wodę.
— Jedz.
Gonzaga usiadł.
Ręce mu drżały.
— Prawie mnie zabił.
— Ale nie zabił.
— Nienawidzę, kiedy to mówisz.
— Kiedyś będziesz mówił tak samo.
— Nie.
Erenet uśmiechnął się.
— Będziesz.

Rytuał Przygotowania trwały trzy dni.
Nie dlatego, że potrzebowali aż trzech dni, żeby narysować znaki.
Potrzebowali trzech dni, żeby cela przestała być celą.
Erenet rozpoczął od podłogi.
Każda linia miała znaczenie.
Niektóre biegły po kamieniu prosto.
Inne skręcały.
Jeszcze inne urywały się nagle, jakby brakujący fragment znajdował się gdzieś poza widzialnym światem.
Znaki musiały znaleźć się dokładnie tam, gdzie powinny.
Kręgi.
Linie.
Symbole, których Gonzaga nie znał.
Jasnym kamieniem pokryli niemal całą podłogę celi.
Później ściany.
Gonzaga jęknął.
— Jeśli bogowie naprawdę zwracają uwagę na długość kreski, mają zdecydowanie za dużo wolnego czasu.
— Nie chodzi o bogów.
— To jeszcze gorzej.
Wtedy Erenet zdjął z szyi amulet.
Gonzaga widział go wcześniej.
Nie przyglądał się dokładnie.
Teraz zobaczył dziesiątki niewielkich kamiennych krążków.
Ponad pięćdziesiąt.
Każdy inny.
— Co to?

Erenet trzymał amulet w dłoniach.

— Szamani.

Gonzaga popatrzył na niego.

— Co?

— Każdy krążek przechowuje duszę jednego z tych, którzy byli przede mną.

Gonzaga przestał żartować.

Erenet przesunął palcami po kamieniach.

— Wśród Hatikatów może istnieć tylko jeden szaman.

Cisza.

— Moje życie dobiega końca.

— Nie mów tak.

— Dlaczego?

— Bo...

Gonzaga nie znalazł odpowiedzi.

Erenet uśmiechnął się.

— Nie smuć się. Dałeś mi coś, czego nie miałem od bardzo dawna.

— Co?

— Nadzieję.

Gonzaga spuścił wzrok.

— Nie jestem pewien, czy jestem właściwym człowiekiem.

— To dobrze.

— Znowu to samo.

— Człowiek pewny, że nadaje się do przewodzenia innym, zazwyczaj nadaje się najmniej.

Erenet podał mu amulet.

— Kiedy będziesz potrzebował pomocy, medytuj z nim.

— I co?

— Przyjdę.

Gonzaga spojrzał na starca.

— Ty?

— Ja również niedługo będę jednym z tych kamieni.

— Nie podoba mi się to.

— Mnie już nie przeszkadza.

Erenet zamknął dłonie Gonzagi na amulecie.

— Moje brzemię stanie się twoim.

— Bardzo zachęcające.

— Mam nadzieję, że poradzisz sobie z nim lepiej niż ja.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

Drugiego dnia starzec wymalował własne ciało.

Nie chciał pomocy.

Siedział nagi poza przepaską biodrową i zanurzał palce w niewielkim naczyniu.
Krew.
Gonzaga nie wiedział, czyja.
Nie zapytał.
Czerwone linie pojawiały się na kościstej piersi Ereneta.
Ramiona.
Twarz.
Brzuch.
Każdy znak zdawał się łączyć z następnym, aż ciało starca przestało wyglądać jak ciało człowieka.
Stało się częścią diagramu.
Gonzaga patrzył długo.
W celi zawsze widział wychudzonego więźnia.
Teraz pierwszy raz naprawdę zobaczył szamana.

Trzeciego dnia ustawili kadzidła.
Cztery.
W czterech kierunkach.
Erenet położył pomiędzy nimi naczynia.
Amulet.
Wężową skórę.
Wodę.
Krew.
Każdy przedmiot miał dokładne miejsce.
Niektórych nie wolno było dotknąć lewą ręką.
Inne Gonzaga musiał obrócić określoną stroną ku środkowi kręgu.
Wszystko było gotowe.
Erenet usiadł.
Gonzaga zrobił to samo.
I wtedy obaj spojrzeli na kadzidło.
Cisza.
— Nie mamy ognia — powiedział Gonzaga.
Erenet zamknął oczy.
Przez chwilę wyglądał jak człowiek, który właśnie odkrył, że całe jego życie zakończy się przez jeden absurdalny błąd.
Gonzaga popatrzył na niego.
Potem zaczął się śmiać.
— Co?
— Nic.
— Gonzaga.
— Daj mi drewno.

Kiedy pierwsza iskra zajęła hubkę, Gonzaga poczuł zapach dzieciństwa.
Mielerze.
Ojciec.
Dym.
Cały świat, który wydawał mu się już nierealny.
Erenet obserwował płomień.
— Skąd umiesz?
— Ojciec.
— Dobry nauczyciel?
Gonzaga patrzył na ogień.
— Najlepszy.
Podpalił pierwsze kadzidło.
Dym wzniósł się cienką spiralą.
Potem drugie.
Trzecie.
Czwarte.
I nagle Gonzaga poczuł, że powietrze się zmieniło.
Nie było chłodniejsze.
Nie było cieplejsze.
Stało się cięższe.
Jak podczas burzy.
Jak chwilę przed uderzeniem pioruna.
Erenet zdjął amulet.
Kamienne krążki zabrzęczały o siebie.
Nie głośno.
A jednak Gonzaga miał wrażenie, że dźwięk rozszedł się daleko poza ściany.
— Ilu? — zapytał.
— Pięćdziesięciu czterech.
Gonzaga spojrzał na amulet.
— Wszystkich znasz?
— Nie.
— To po co ich nosisz?
Erenet pogładził pierwszy kamień.
— Żeby oni znali mnie.
To zdanie sprawiło, że Gonzaga poczuł nagły chłód.

Usiedli naprzeciwko siebie.
Erenet mówił spokojnie.
O śmierci.
O tym, że jego czas się kończy.

O ciężarze, który za chwilę przejdzie na Gonzagę.
Nie było w tym tragedii.
To właśnie było najdziwniejsze.
Erenet wyglądał jak człowiek, który od dawna czekał na tę chwilę.
— Kiedy będziesz potrzebował pomocy, weź amulet.
— I co?
— Usiądź.
— To wszystko?
— Dla ciebie najtrudniejsze rzeczy zawsze zaczynają się od siedzenia.
Gonzaga uśmiechnął się.
Erenet również.
Potem położył dłoń na jego dłoni.
— Przyjdę.
Gonzaga przestał się uśmiechać.
— Obiecujesz?
— Tak.
I dopiero wtedy Gonzaga zrozumiał, że starzec naprawdę zamierza umrzeć.
Pieśń zaczęła się tak cicho, że przez pierwszą chwilę Gonzaga myślał, iż Erenet tylko oddycha.
Długi dźwięk.
Niski.
Potem drugi.
Nie znał tego języka.
Nie przypominał mowy używanej w Shangri-La.
Był surowy.
Pełen gardłowych dźwięków, przeciąganych samogłosek i krótkich sylab urywanych nagle niczym oddech.
Erenet zaczął się kołysać.
W lewo.
W prawo.
W lewo.
Gonzaga poczuł, że po kilku chwilach sam zaczyna poruszać się w tym samym rytmie.
Nie chciał.
Ciało zrobiło to samo.
Pieśń trwała.
Dym kadzideł przestał wznosić się ku sufitowi.
Zawisł.
Potem zaczął krążyć wokół nich.
Pierwsza linia na podłodze rozjarzyła się.
Gonzaga spojrzał.
Druga.

Trzecia.
Światło nie miało koloru ognia.
Było bladobiałe.
Chłodne.
Znaki na ścianach odpowiedziały.
Cela zaczęła znikać.
Nie gwałtownie.
Kamienie po prostu traciły znaczenie.
Najpierw zniknęły szczeliny.
Potem krawędzie.
Potem całe ściany rozpuściły się w ciemności.
Gonzaga poczuł strach.
Erenet śpiewał.
Głośniej.
Pozostali wewnątrz kręgu.
Światła.
Poza nim nie było niczego.
Gonzaga spojrzał w dół.
Nie widział podłogi.
Mimo to siedział.
Przez chwilę pomyślał, że jeśli wyciągnie rękę poza krąg, nie dotknie ciemności.
Spadnie.
Nie w dół.
Gdzieś.
Wtedy zobaczył pierwszą postać.
Stała daleko.
Półprzezroczysta.
Z początku była tylko smugą światła.
Potem twarz.
Ramiona.
Sylwetka.
Następna pojawiła się obok.
Potem kolejna.
I kolejna.
Cały krąg.
Pięćdziesięciu czterech.
Gonzaga spojrzał na amulet leżący pomiędzy nimi.
Kamienie były nieruchome.
Duchy nie.
Zaczęły się kołysać.

Dokładnie tak jak Erenet.
Jeden rytm.
Jedna pieśń.
Jeden oddech.

Nie wszyscy byli ludźmi.
Dopiero teraz to zauważył.
Niektórzy mieli twarze ras, które rozpoznawał.
Innych nigdy wcześniej nie widział.
Jeden był niski, szeroki, z długą brodą i wytatuowaną twarzą.
Krasnolud.
Obok niego stała kobieta o skórze wypalonej niemal na kolor pustynnej ziemi.
Dalej ktoś tak stary, że przypominał bardziej wyschnięty korzeń niż człowieka.
Wszyscy patrzyli na Gonzagę.
Niektórzy spokojnie.
Inni chłodno.
Kilku z otwartą niechęcią.
Gonzaga poczuł się nagi bardziej, niż był naprawdę.
Erenet śpiewał dalej.

A potem sam się zmienił.
Nie ciało.
To, jak Gonzaga go widział.
Zniknęła słabość.
Zgarbienie.
Choroba.
Kościste ramiona pozostały, ale teraz nie mówiły o wyniszczeniu.
Wyglądały jak część czegoś twardego i starego.
Erenet wyprostował plecy.
Jego twarz stała się młodsza.
Nie o dziesięć lat.
Nie o dwadzieścia.
Była twarzą człowieka, jakim zawsze był wewnątrz.
Silnego.
Poważnego.
I — ku zdumieniu Gonzagi — szczęśliwego.
Erenet spojrzał na niego.
Uśmiechnął się.
Sięgnął po skórę węża.

Kiedy dotknęła ramienia Gonzagi, była zimna.
Nie jak martwa skóra.

Jak noc na pustyni.
Erenet owinął ją wokół jego przedramienia.
Raz.
Drugi.
Trzeci.
Pieśń duchów przybrała na sile.
Nie słyszał już jednego głosu.
Było ich dziesiątki.
Męskie.
Kobiece.
Stare.
Młode.
Głosy nakładały się na siebie, ale każdy śpiewał tę samą melodię.
Gonzaga nie rozumiał ani jednego słowa.
Mimo to zaczął pojmować znaczenie.
Pustynia.
Wędrówka.
Śmierć.
Narodziny.
Głód.
Ogień.
Woda.
Plemię.
Ciągłość.
Erenet położył dłonie na jego ramieniu.



Rytuał przekazania dziedzictwa Hatikatów

— Ja, Erenet, ostatni szaman Hatikatów...
Głosy ucichły.
Pozostał tylko jego.
— ...wybieram cię.
Gonzaga patrzył mu w oczy.
— Namaszczam cię.
Skóra zacisnęła się.
— Oddaję ci brzemię tych, którzy byli przede mną.
Gonzaga poczuł pierwsze ukłucie bólu.
— Od tej chwili aż do kresu twojego życia...
Erenet uśmiechnął się.
— ...ty jesteś szamanem Hatikatów.

Coś pękło.
Nie w celi.
Nie w świecie.
W Gonzadze.
Energia przeszła przez dłonie Ereneta.
Gonzaga nie zobaczył światła.
Poczuł je.
Każda kość w jego ciele zadrżała.

Serce uderzyło tak mocno, że stracił oddech.
Skóra węża zaczęła wnikać w ramię.
Nie przyklejać się.
Wnikać.
Pod skórę.
Pomiędzy mięśnie.
W głąb.
Gonzaga krzyknął.
Próbował ją zerwać.
Ręce nie słuchały.
Erenet już się od niego oddalał.
— Nie!
Wyciągnął rękę.
Palce przeszły przez ciało starca.
Erenet uśmiechnął się po raz ostatni.
Potem odszedł poza krąg.
I stanął wśród pozostałych.
Pięćdziesiąty piąty.

Wtedy obudził się wąż.
Nie tatuaż.
Nie skóra.
To, co kiedyś tę skórę nosiło.
Gonzaga poczuł jego obecność tak wyraźnie, jakby ktoś nagle otworzył oczy wewnątrz jego własnej czaszki.
Nie był sam.
Nigdy więcej nie miał być całkowicie sam.
Istota była ogromna.
Nie rozmiarem.
Znaczeniem.
Stara.
Starsza niż nekropolia.
Starsza niż niektóre imiona bogów, które Gonzaga znał.
Nie myślała jak człowiek.
Nie znała jego pojęć dobra i zła.
Czuła.
Ciepło.
Ruch.
Głód.
Zagrożenie.
Dominację.

Cierpliwość drapieżnika, który może leżeć bez ruchu przez cały dzień, jeśli wie, że ofiara w końcu podejdzie.
A pod tym wszystkim znajdowało się coś jeszcze.
Śmierć.
Setki lat przy czarnotrupie zostawiły ślad.
Skóra nasiąknęła nekrotyczną aurą.
Wąż, który łączył się z Gonzagą, również był nią skażony.
Życie.
Śmierć.
Szaman.
Totem.
Czarnotrup.
Wszystko spotkało się w jednym miejscu.
W nim.
Gonzaga zaczął krzyczeć.
Nie słyszał własnego głosu.
Widział pustynię, której nigdy wcześniej nie widział.
Widział ogromnego węża poruszającego się pomiędzy kamieniami pod obcym niebem.
Widział język badający powietrze.
Ofiarę.
Krew.
Czuł łuski przesuwające się po piasku.
A potem spojrzał oczami czegoś, co nie było Gonzagą.
I to coś spojrzało na niego.

Stracił przytomność.
Nie upadł.
Świat po prostu się skończył.

Obudziło go światło.
Ból był natychmiastowy.
Gonzaga zasłonił oczy.
— Ruszył się!
Głos.
Ktoś krzyknął.
Pochodnia.
Po miesiącach półmroku jej blask był nie do zniesienia.
Gonzaga próbował odwrócić głowę.
Zobaczył ciało.
Erenet.
Nieruchomy.

Spokojny.
Martwy.
Przez chwilę rytuał wydawał się snem.
Dopiero wtedy Gonzaga spojrzał na własne ramię.
Wąż oplatał je od dłoni aż po bark.
Tatuaż.
Idealny.
Tak dokładny, że Gonzaga widział każdą łuskę.
Strażnicy stali kilka kroków dalej.
Żaden nie zbliżał się.
— Co to jest? — wyszeptał jeden.
Gonzaga również chciał wiedzieć.
Przyjrzał się głowie żmii.
I wtedy jej oko się otworzyło.
Nie namalowane.
Prawdziwe.
Czarne.
Źrenica zwęziła się.
Język wysunął się z pyska.
Ciche:
— Ssssss...
Strażnik wypuścił pochodnię.
A Gonzaga siedział obok zwłok swojego mistrza i patrzył na własną skórę.
Nie wiedział jeszcze, czym się stał.
Wiedział tylko jedno.
Do lochu wrzucono kiedyś jednego człowieka.
Teraz miał z niego wyjść ktoś zupełnie inny.

Rozdział IX

Biała szata

Najpierw przyszło światło.
Po miesiącach spędzonych pod ziemią nie przypominało niczego dobrego.
Gonzaga krzyczał, kiedy wyciągano go z lochów.

Nie dlatego, że strażnicy szarpali za ręce. Nie dlatego, że każdy krok po kamiennych schodach budził ból w wychudzonym ciele.

Słońce bolało.

Nawet blask pochodni wydawał się ostrzem, ale gdy otwarto pierwsze drzwi prowadzące ku powierzchni, Gonzaga zasłonił twarz związanymi dłońmi.

— Oczy... — wychrypiał. — Na bogów, oczy...

Strażnicy nie zwolnili.
Prowadzili go dalej.
Wyżej.
Schody.
Korytarz.
Jeszcze jedne schody.
Gonzaga nie wiedział, dokąd go zabierają.
Początkowo sądził, że na przesłuchanie.
Potem poczuł wiatr.
Prawdziwy.

Nie stęchłe poruszenie powietrza w podziemnych korytarzach, lecz wiatr pachnący kamieniem rozgrzanym przez słońce, dymem palenisk i odległą zielenią doliny.

Zatrzymał się.
Strażnik popchnął go.

— Idź.

Gonzaga zrobił krok.
I jeszcze jeden.
Wtedy zrozumiał.
Piramida.

Pamiętał ją.
Nie wszystko.

Ale kamień pamiętał za niego.
Te same szerokie stopnie.
Ten sam plac.
Ten sam pal, do którego wiele lat temu przywiązano chudego, brudnego chłopca za to, że ośmielił się wejść do fontanny.
Wtedy stał tutaj niemal nagi, z plecami pokrytymi krwią.
Dziś był starszy.
Chudszy.
Bardziej zmęczony.
I znów związano mu ręce wokół tego samego drewna.
Gonzaga oparł czoło o pal.
Zaśmiał się cicho.
— Naprawdę?
Nikt nie odpowiedział.
Nad szczytem piramidy wiatr szarpał szatami kapłanek.
Brąz.
Pomarańcz.
Czerwień.
Gonzaga rozpoznawał kolory, choć świat nadal rozmywał mu się przed oczami.
Widział płomienie głównego paleniska.
Czuł ich ciepło.
A ponad nim niebo.
Ogromne.
Po tylu miesiącach pod ziemią wydawało się nierealne.
Nie wiedział, że ktoś jeszcze patrzył.
Znacznie wyżej.

Sharami nie potrzebowała oczu, by widzieć.
Wiatr znał to miejsce.
Ogień znał je jeszcze lepiej.
Każde palenisko na szczycie piramidy było cząstką jej imienia wypowiedzianą przez śmiertelników.
Bogini zwróciła uwagę.
Nie na więźnia.
Nie od razu.
Na kobietę.
Biała szata poruszała się na wietrze.
Sharami znała ją.
Ambicja.
Dyscyplina.
Głód.

Ogień dobrze rozpoznawał to, co chce rosnąć.
Senil wspinała się szybko.
Od brązu.
Przez pomarańcz.
Czerwień.
Aż po biel.
Nie tylko dzięki talentowi.
Potrafiła podejmować decyzje, których inni się bali.
Potrafiła poświęcać.
Potrafiła pragnąć.
Sharami obserwowała ją od dawna.
Teraz przyglądała się uważniej.
Nadchodziły czasy, w których bogowie będą potrzebowali śmiertelnych dłoni.
Czempionów.
Senil mogła się nadać.

Gonzaga dostrzegł biel.
Początkowo sądził, że to światło razi go w oczy.
Potem sylwetka zbliżyła się.
Kobieta.
Powolny krok.
Biała szata przesuwająca się po kamieniu.
Gonzaga uniósł głowę.
Nie widział dobrze twarzy.
Zmrużył oczy.
Serce uderzyło mocniej.
— Senil?
Kobieta zatrzymała się.
Przez jedną krótką chwilę świat przestał istnieć.
Lochy.
Erenet.
Martwiaki.
Rytuał.
Wąż wijący się pod skórą.
Wszystko zniknęło.
Została tylko ona.
— Senil...
W jego głosie pojawiło się coś, czego nienawidził.
Nadzieja.
Podeszła bliżej.
Teraz widział już twarz.

Starszą.
Dojrzalszą.
Piękniejszą, niż zapamiętał.
I chłodniejszą.
Biel.
Gonzaga spojrzał na jej szatę.
Zrozumiał.
— Ty...
Uśmiechnęła się.
— Tak.
— Arcykapłanka?
Jej uśmiech stał się odrobinę szerszy.
— Sporo czasu spędziłeś pod ziemią.
Gonzaga roześmiał się.
Śmiech przeszedł w kaszel.
— Wiedziałem, że ci się uda.
To chyba było najgorsze, co mógł powiedzieć.
Przez sekundę na twarzy Senil pojawiło się coś niemal ludzkiego.
Żal?
Wspomnienie?
Może tylko irytacja.
Szybko zniknęło.

Podeszła do niego tak blisko, że poczuł zapach olejków na jej skórze.
Ten sam?
Nie.
Podobny.
Zbyt wiele lat minęło.
— Gonzaga — powiedziała cicho.
Zadrżał.
Nadal lubił sposób, w jaki wypowiadała jego imię.
Nienawidził się za to.
— Myślałem, że...
— Wiem.
— Wiedziałaś, gdzie jestem?
Milczała.
Gonzaga patrzył na nią.
— Senil.
— Wiedziałam.
Coś w nim pękło.

Nie gwałtownie.
Cicho.
— Ile?
— Co ile?
— Jak długo wiedziałaś, że żyję?
— Od początku.
Wiatr przeszedł przez szczyt piramidy.
Gonzaga zamknął oczy.
Przez miesiące w lochu wyobrażał sobie wiele rzeczy.
Senil szukającą go.
Senil przekonującą kapłanki.
Senil przekradającą się nocą.
Senil czekającą na właściwą chwilę.
Był idiotą.
— Dlaczego?
— Nie mogłam.
— Nie mogłaś czego?
— Pomóc ci.
— Mogłaś powiedzieć prawdę.
Senil spojrzała w bok.
Na kapłanki.
Na strażników.
Potem znów na niego.
— Prawda nie zawsze jest przydatna.
Gonzaga zamarł.
— Arina nie zginęła przeze mnie.
— Wiem.
— Wiedziałaś.
— Tak.
— A pozwoliłaś...
Głos odmówił mu posłuszeństwa.
Senil zrobiła jeszcze pół kroku.
— Posłuchaj mnie.
— Przez tyle miesięcy...
— Gonzaga.
— Gniłem tam.
— Ciszej.
— Za ciebie.
Senil zmrużyła oczy.
— Właśnie dlatego musisz teraz zrozumieć.

Mówiła spokojnie.
Prawie czule.
Tak jak dawniej, kiedy siedzieli na dachu magazynu.
— Arina zaczęła podejrzewać zbyt wiele. Nie tylko amulet. Zaczęła zadawać pytania o rzeczy, których nie rozumiała. Gdyby dotarła dalej, zniszczyłaby wszystko.
Gonzaga patrzył na nią.
— Więc ją zabiłaś.
— Nie planowałam tego.
— To nie jest odpowiedź.
— Doszło do wypadku.
— A sztylet?
Senil westchnęła.
— Musiałam myśleć szybko.
Gonzaga przypomniał sobie zakrwawione ostrze wciskane mu w dłoń.
Schowaj go.
— Myślałaś szybko — powtórzył.
— Przeżyłeś.
Spojrzał na nią z niedowierzaniem.
Senil mówiła dalej:
— Sprawy zaszły znacznie dalej, niż wtedy rozumiałeś. Świątynia nie jest miejscem dla naiwnych dziewcząt w brązowych szatach. Tutaj każda decyzja ma cenę. Każdy awans. Każdy sekret.
Dotknęła własnej białej szaty.
— Myślisz, że dostałam to za ładny uśmiech?
Gonzaga nic nie odpowiedział.
— Musiałam wybierać — ciągnęła. — Wiele razy. Pomiędzy tym, czego chcę, a tym, co konieczne.
Pomiędzy ludźmi. Pomiędzy prawdą i tym, co pozwala przetrwać.
— I wybrałaś siebie.
Senil spojrzała mu prosto w oczy.
— Zawsze trzeba wybrać kogoś.

Sharami słuchała.
Ogień zatańczył wyżej.
Bogini patrzyła na kobietę w bieli.
Tak.
Była w niej siła.
Nie litość.
Nie miękkość.
Gotowość.

Śmiertelnicy często mylili dobroć z wartością.
Bogowie nie mogli sobie pozwolić na podobny luksus.
Czempion musiał umieć działać.
Podejmować decyzje.
Płacić.
I sprawiać, by inni płacili.
Senil potrafiła.
Sharami zbliżyła uwagę jeszcze bardziej.

Senil pochyliła się nad Gonzagą.
— Jest jeszcze jeden problem.
— Jaki?
— Ty.
Gonzaga uśmiechnął się gorzko.
— Zawsze byłem dobry w byciu problemem.
Tym razem się nie uśmiechnęła.
— Wiesz za dużo.
Zamilkł.
Wreszcie zrozumiał.
Naprawdę.
Nie po to wyciągnięto go z lochów.
Nie po to przyprowadzono na szczyt.
Nie było procesu.
Nie było ułaskawienia.
Nie było nawet zemsty.
Był porządek.
Usunięcie błędu.
— Senil...
Podeszła jeszcze bliżej.
Twarz miała kilka palców od jego twarzy.
— Gonzaga, biedny mały Gonzaga.
Poczuł jej oddech.
— Wiesz, że nie możesz żyć.
Przez chwilę tylko na nią patrzył.
Potem dostrzegł ruch.
Jej prawa ręka.
Sztylet.
Unosiła go powoli.
Rytualne ostrze zalśniło w słońcu.
Gonzaga szarpnął więzami.
— Senil, poczekaj...

Nie pozwoliła mu skończyć.
Pocałowała go.



Senil w białej szacie

Nie był to krótki pocałunek.
Ani pożegnanie.
Objęła jego twarz dłonią i przywarła do niego tak, jakby przez te wszystkie lata nic się nie zmieniło.
Przez jeden absurdalny moment Gonzaga odpowiedział.
Ciało pamiętało.
Serce również.
A nad jej ramieniem widział ostrze.
Uniesione.
Gotowe opaść prosto w pierś.
Poczuł smak jej ust.
Potem coś jeszcze.
Zmianę.
Senil drgnęła.
Oderwała się.
Sztylet zatrzymał się.
Spojrzała na Gonzagę ze zdziwieniem.
Dotknęła ust.

— Co...
Jej palce zadrżały.
Na dolnej wardze pojawiła się cienka, ciemna linia.
Potem druga.
Senil cofnęła się.
— Coś ty...
Nie dokończyła.
Upuściła sztylet.
Metal zadźwięczał o kamień.
Senil chwyciła się za gardło.
Z ust wypłynęła ślina.
Potem piana.
— Senil?
Gonzaga szarpnął więzami.
— Senil!
Kapłanki ruszyły.
Biel.
Czerwień.
Pomarańcz.
Krzyki.
Ktoś złapał Senil, zanim upadła.
Jej ciało wygięło się gwałtownie.
Drgawki.
Piana na ustach.
Skóra wokół warg zaczęła ciemnieć.
Jak po oparzeniu.
Gonzaga patrzył.
Nie rozumiał.
Potem poczuł coś na języku.
Mrowienie.
Metaliczny smak.
Wąż na ramieniu poruszył się.

Sharami patrzyła.
I po raz pierwszy od bardzo dawna czegoś nie przewidziała.
Jej wybranka leżała na kamieniu.
Kapłanki próbowały ją ratować.
Ogień płonął.
Wiatr szarpał białą szatą.
Senil umierała.
Bogini spojrzała na Gonzagę.

Naprawdę spojrzała.
Na tego samego śmiertelnika, którego kiedyś sondowała przy tym samym palu.
Na chłopca, którego nie udało się złamać.
Na człowieka, który wrócił z gór.
Na więźnia, który przeżył lochy.
Na kogoś, kto właśnie — nie próbując nawet tego zrobić — zabił jej potencjalną czempionkę.
Ciekawość Sharami zmieniła się.
Jeszcze nie w decyzję.
Ale już nie była rozrywką.

— Nie! — krzyczał Gonzaga.
Senil spojrzała na niego po raz ostatni.
Nie wiedział, czy go widziała.
Jej oczy były szeroko otwarte.
Przerażone.
Potem ciało zwiotczało.
Jedna z kapłanek przyłożyła dłoń do szyi.
Druga zaczęła modlitwę.
Trzecia spojrzała na Gonzagę.
Jej twarz zmieniła się.
— On ją zabił.
Gonzaga przestał oddychać.
Strażnicy odwrócili się ku niemu.
— Zabił arcykapłankę!
Ktoś sięgnął po broń.
Furia przyszła.
Tym razem nie była gorąca.
Była lodowata.
Senil nie żyła.
Erenet nie żył.
Ostel nie żył.
Wszystko, czego dotykał, znikało.
Wąż pod skórą poruszył się.
Gonzaga poczuł nagle ciało inaczej.
Kości.
Kręgosłup.
Skórę.
Wszystko stało się niepotrzebne.
Instynkt wypowiedział jedno słowo.
Uciekaj.
I Gonzaga przestał być człowiekiem.

Więzy opadły na ziemię.
Strażnik krzyknął.
Tam, gdzie przed chwilą stał związany mężczyzna, coś smukłego przemknęło pomiędzy jego nogami.
Wąż.
Ciemny.
Szybki.
Jeden z ludzi próbował nadepnąć.
Za późno.
Gonzaga sunął po rozgrzanym kamieniu.
Nie myślał.
Czuł drgania kroków.
Cień.
Szczeliny.
Powietrze językiem.
Kapłanki krzyczały.
Strażnicy biegli.
Ktoś uderzył włócznią.
Ostrze prześlizgnęło się tuż obok.
Gonzaga zniknął pomiędzy kamieniami piramidy.
Potem w szczelinie.
Niżej.
Jeszcze niżej.
Do ogrodu.
Przez mur.
W trawę.
W dżunglę.

Dopiero daleko od miasta wrócił do własnej postaci.
Przemiana wyrzuciła go na ziemię.
Nagi.
Brudny.
Drżący.
Przez kilka chwil próbował wstać.
Nie mógł.
W końcu podciągnął kolana pod brodę.
I zaczął płakać.
Nie jak po Ostellu.
Nie cicho.
Szlochał.

Bił pięścią w ziemię.
Przeklinał Senil.
Przepraszał ją.
Nienawidził jej.
Kochał ją.
Chciał, żeby żyła.
Chciał zapytać, czy naprawdę zamierzała go zabić.
Widział sztylet.
Znał odpowiedź.
To nie pomagało.

Nocą wszedł na niewielkie wzniesienie.
Zobaczył Shangri-La.
Światła miasta.
Piramidę.
Paleniska Sharami płonące wysoko ponad dachami.
Całe jego życie mieściło się tam na dole.
Ojciec.
Fontanna.
Weterani.
Ostel.
Senil.
Lochy.
Erenet.
Wszystko.
Gonzaga długo patrzył.
Wiedział, że nie może wrócić.
Był oskarżony o jedno zabójstwo.
Teraz widziano, jak przy nim umarła arcykapłanka.
Nieważne, co było prawdą.
Shangri-La już wydała wyrok.
Gonzaga dotknął amuletu Ereneta.
Potem węża na ramieniu.
Za górami znajdował się świat.
Kiedyś jako dziecko pytał ojca, co tam jest.
Teraz miał się dowiedzieć.
Spojrzał na dolinę ostatni raz.
— Żegnaj, Senil.
Wiatr poruszył liśćmi.
Daleko ponad nim Sharami nadal patrzyła.
Jeszcze kilka godzin wcześniej była przekonana, że znalazła swoją czempionkę.

Teraz jej czempionka nie żyła.

A człowiek, który po raz kolejny pokrzyżował jej zamiary, właśnie znikał w ciemności.

Bogini wiatru i ognia nie lubiła przypadków.

Gonzaga ruszył ku jedynej przełęczy prowadzącej poza dolinę.

A Sharami po raz pierwszy zadała sobie pytanie, które miało powracać do niej jeszcze wielokrotnie.

Czy wybrała niewłaściwą osobę?

Rozdział X

Pustynia

Gonzaga opuścił Shangri-La jako wąż.
Nie miał innego wyjścia.
Jedyna droga z doliny prowadziła przez przełęcz, a tej pilnowano dzień i noc. Strażnicy znali jego twarz. Po śmierci Senil zapewne znali ją już wszyscy.
Czekał więc.
Leżał pomiędzy kamieniami niedaleko bramy i po raz pierwszy świadomie pozwolił przemianie objąć całe ciało.
Nie wiedział jeszcze, jak to robi.
Nie znał zaklęcia.
Nie znał rytuału.
Była tylko myśl.
Obraz.
I coś drugiego, czające się głęboko w nim.
Wąż.
Pozwolił mu podejść bliżej.
Świat natychmiast się zmienił.
Zniknęły ręce.
Nogi.
Ciężar ludzkiego ciała.
Kamienie przestały być przeszkodami, a stały się przestrzeniami, pomiędzy którymi można było się przecisnąć.
Powietrze nabrało smaku.
Ziemia przemówiła drganiami.
Gonzaga nie tyle zobaczył przechodzącego strażnika, co poczuł jego kroki całym ciałem.
Czekał.
Brama otworzyła się dla karawany.
Wozy ruszyły.
Kopyta uderzyły o kamień.
Strażnicy krzyczeli coś do woźniców.
Nikt nie zauważył niewielkiego węża przemykającego pod jednym z wozów.

Po kilku chwilach Gonzaga znalazł się po drugiej stronie.
Pierwszy raz w życiu naprawdę opuścił Shangri-La.
Nie obejrzał się.
Wąż nie miał po co.

Zszedł z gór przed wieczorem.
Wtedy pustynia pokazała mu się po raz pierwszy.
Gonzaga przyjął ludzką postać na skalnym występie.
Stał nagi, wychudzony i boso.
Przed nim nie było nic.
To właśnie pomyślał najpierw.
Nic.
Żadnego lasu.
Żadnego miasta.
Żadnego dymu.
Nawet góry kończyły się gwałtownie, jakby świat urywał się u ich podnóża.
Dalej rozciągała się pustynia.
Morze piasku i kamienia.
Aż po horyzont.
Gonzaga patrzył długo.
Kiedy był dzieckiem, wyobrażał sobie, że za górami znajduje się świat.
Miał rację.
Tylko nie wyobrażał sobie, że świat może być tak pusty.
Zrobił kilka kroków.
Dopiero wtedy zrozumiał.
Nie miał wody.
Nie miał jedzenia.
Nie miał ubrania.
Nie miał broni.
Nie miał nawet naczynia, w którym można by przenieść wodę.
Dotknął szyi.
Został tylko amulet Ereneta.
Kamienne krążki stuknęły o siebie.
Gonzaga spojrzał za siebie.
Góry.
Shangri-La znajdowała się po drugiej stronie.
Mógł wrócić.
Nie.
Nie mógł.
Przed nim była pustynia.
Za nim śmierć.

— Świetnie — powiedział.

Jego głos zabrzmiał dziwnie mało wobec ogromu przestrzeni.

Ruszył.

Pierwszego dnia szedł.

Drugiego również.

Trzeciego zaczął umierać.

Pustynia nie przypominała niczego, co znał.

Za dnia słońce nie świeciło.

Atakowało.

Powietrze drżało nad kamieniami. Piasek parzył stopy. Oddech wysuszał gardło jeszcze bardziej.

Gonzaga nauczył się szybko, że własne ciało jest tutaj wrogiem.

Pociło się.

Domagało wody.

Męczyło.

Z każdym krokiem stawało się cięższe.

Próbował iść nocą.

Wtedy odkrył drugą twarz pustyni.

Zimno.

Temperatura spadała tak szybko, że jeszcze przed chwilą rozgrzane kamienie stawały się lodowate.

Gonzaga trząsł się.

Przytulał kolana do piersi.

Nad nim znajdowało się więcej gwiazd, niż kiedykolwiek widział.

Nie dawały żadnego ciepła.

Czwartego dnia przestał iść.

Leżał w cieniu niewielkiego głazu.

Język miał spuchnięty.

Wargi popękane.

Próbował przełknąć ślinę.

Nie było czego.

Pomyślał o wodzie w fontannie.

O tej samej wodzie, za którą kiedyś go wychłostano.

Oddałby teraz wszystko za jeden łyk.

Za kroplę.

Poruszył się.

Coś twardego nacisnęło go w pierś.

Amulet.

Erenet.

Gonzaga otworzył oczy.

Przez kilka chwil patrzył na kamienne krążki.
Potem zaczął się śmiać.
Sucho.
Bez humoru.
— Oczywiście.
Szaman Hatikatów.
Ludu pustyni.
Jeżeli ktokolwiek miał wiedzieć, jak przeżyć tutaj, to właśnie oni.
Usiadł.
Z trudem skrzyżował nogi.
Położył amulet w dłoniach.
— Erenet...
Zamknął oczy.

Tym razem nie potrzebował znaków.
Nie było kadzidła.
Kręgu.
Pieśni.
Była tylko pustynia.
Oddech.
I amulet.
Gonzaga pozwolił światu odpłynąć.
Słońce przestało palić.
Wiatr przestał istnieć.
Ból stał się daleki.
Otworzył oczy.
Nie siedział już pod skałą.
Wokół panowała szara przestrzeń bez końca.
A przed nim stali szamani.
Dziesiątki.
Ci sami, których widział podczas rytuału.
Przodkowie Hatikatów.
Gonzaga poczuł ulgę.
— Potrzebuję...
Pierwszy splunął mu pod nogi.
Gonzaga urwał.
Stary mężczyzna o twarzy pokrytej znakami odwrócił się.
Odszedł.
Kobieta stojąca obok spojrzała na Gonzagę z odrazą.
Powiedziała coś w języku, którego jeszcze nie znał.
Nie musiał znać.

Znaczenie było oczywiste.
Nie jesteś jednym z nas.
Następny pokazał mu gest odpędzania.
Kolejny odwrócił twarz.
Jeden po drugim duchy opuszczały krąg.
Gonzaga patrzył z niedowierzaniem.
— Chwileczkę.
Nikt się nie zatrzymał.
— Jestem waszym szamanem!
To tylko pogorszyło sprawę.
Jeden z duchów roześmiał się pogardliwie.
Inny splunął ponownie.
— Erenet mnie wybrał!
Wkrótce pozostała tylko jedna postać.
Erenet.
Stał kilka kroków dalej.
W tej przestrzeni znów wyglądał tak, jak podczas rytuału.
Silny.
Prosty.
Żywy.
Gonzaga poczuł wściekłość.
— Świetnie.
Erenet usiadł obok niego.
— Mogło pójść gorzej.
— Jak?
— Mogli cię pobić.
Gonzaga spojrzał na niego.
— Są martwi.
— To nigdy nie przeszkadzało im w wyrażaniu opinii.
— Dlaczego mnie odrzucili?
Erenet westchnął.
— Bo nie jesteś Hatikatą.
— Sam mnie wybrałeś.
— Tak.
— Więc po co?
— Bo musiałem.
— To nie jest odpowiedź.
— Jest. Tylko ci się nie podoba.
Gonzaga odwrócił wzrok.
— Umieram.

— Wiem.

— Bardzo mnie to cieszy, że wiesz.

Erenet położył mu dłoń na plecach.

— Posłuchaj.

Gonzaga spojrzał na niego.

— Nie odziedziczyłeś ich szacunku razem z amuletem. Musisz go zdobyć.

— Kiedy?

— Masz całe życie.

— Może kilka godzin.

— Więc zacznijmy od kilku godzin.

Erenet wskazał gdzieś w dal.

Nie było tam niczego.

— Nie przejdziesz pustyni jako człowiek.

Gonzaga milczał.

— Jako wąż możesz.

— Za dnia się ugotuję.

— Tak.

— Nocą zamarznę.

— Prawie.

— Bardzo dobry plan.

— Nie powiedziałem, że będzie łatwo.

Erenet pochylił się.

— Musisz przestać myśleć o wężu jak o człowieku pozbawionym nóg.

Gonzaga zmarszczył brwi.

— Co?

— Do tej pory używałeś tej postaci do ucieczki. To za mało. Jeśli chcesz przeżyć, musisz nauczyć się żyć jako wąż.

— Jak?

Erenet uśmiechnął się.

— Wąż już wie.

Gonzaga obudził się.

Słońce nadal wisiało nad pustynią.

Był jeszcze słabszy.

Ale wiedział, co zrobić.

Pozwolił przemianie nadejść.

Pierwsza noc była najgorsza.

Wąż był szybszy.

Potrzebował mniej wody.

Mógł wciskać się w szczeliny, do których człowiek nie miał dostępu.
Ale pustynia nie stała się przez to łagodna.
Za dnia Gonzaga szukał cienia.
Wsuwał się pod kamienie.
W opuszczone nory.
Głęboko w szczeliny.
Raz został zbyt długo na słońcu.
Początkowo ciepło było przyjemne.
Potem ciało przestało słuchać.
Mięśnie zrobiły się ciężkie.
Instynkt uderzył w niego jak alarm.
Cień.
Dopiero wtedy zrozumiał, że nawet jako wąż może zostać ugotowany przez pustynię.
Nocą pojawiał się odwrotny problem.
Zimno spowalniało go.
Ruchy stawały się leniwe.
Myśli również.
Musiał znaleźć szczelinę, zanim temperatura spadnie zbyt mocno.
Nauczył się przewidywać moment.
Najpierw z konieczności.
Potem bez zastanowienia.

Erenet prowadził go.
Nie słowami.
Gonzaga czasem podczas medytacji widział mistrza, ale coraz rzadziej miał siłę na długie spotkania.
Zamiast tego pojawiło się coś prostszego.
Nacisk.
Delikatne wrażenie w głowie.
W lewo.
W prawo.
Naprzód.
Kiedy Gonzaga wybierał źle, czuł niepokój.
Kiedy dobrze — napięcie słabło.
Nie wiedział, czy robi to Erenet.
Czy amulet.
Czy może jakiś fragment wiedzy szamanów po prostu przeciekał do niego przez więź.
Nie miało znaczenia.
Podążał.

Pierwszą mysz zjadł po dwóch dniach.

Była mała.
Prawie nic.
Ale kiedy poczuł jej ciepło, wąż przejął kontrolę szybciej, niż Gonzaga zdążył pomyśleć.
Atak.
Zęby.
Szarpnięcie.
Połknięcie.
Przez chwilę ogarnęło go obrzydzenie.
Potem przyszło zaspokojenie głodu.
Następnym razem obrzydzenie było słabsze.
Później zniknęło.
Jadł chrząszcze.
Skorpiony.
Jaszczurki.
Inne węże.
Raz dopadł niewielkiego gryzonia w skalnej szczelinie.
Innym razem godzinę czekał nieruchomo, aż owad podejdzie wystarczająco blisko.
Nie myślał wtedy jak człowiek.
Nie było:
to obrzydliwe.
Nie było:
powinienem znaleźć coś innego.
Było tylko:
pokarm.

Wodę odnajdywał rankami.
Na chłodniejszych kamieniach pojawiały się maleńkie krople rosy.
Gonzaga lizał je.
Jedną.
Drugą.
Trzecią.
Krople, których jako człowiek nawet by nie zauważył, oznaczały teraz życie.
Zaczął rozumieć pustynię.
Nie była pusta.
Była skąpa.
To była różnica.
Życie znajdowało się wszędzie.
Tylko ukryte.
Pod kamieniem.
Pod piaskiem.
W cieniu.

W ciele innego stworzenia.
Trzeba było wiedzieć, gdzie patrzeć.

Mijały dni.
Gonzaga przestał je liczyć.
To było niebezpieczne.
Początkowo każdej nocy próbował wracać do ludzkiej postaci.
Choćby na chwilę.
Żeby mówić.
Żeby dotknąć amuletu palcami.
Żeby przypomnieć sobie własną twarz.
Potem zaczął odkładać przemianę.
Jutro.
Jako człowiek potrzebował więcej wody.
Był wolniejszy.
Głośniejszy.
Nieporadny.
Wąż był lepszy.
Prostszy.
Pustynia nagradzała prostotę.
Głód.
Cień.
Ciepło.
Ruch.
Zagrożenie.
Pokarm.
Nie trzeba było zastanawiać się nad Senil.
Ani Ostelem.
Ani tym, czy Arina naprawdę zginęła przypadkiem.
Wąż nie miał winy.
Nie miał żalu.
Nie miał przeszłości.
Gonzaga zaczął to lubić.

Pewnego dnia zobaczył człowieka.
Karawana znajdowała się daleko.
Kilka sylwetek.
Wielbłądy.
Dźwięk dzwonków niósł się ponad piaskiem.
Gonzaga zatrzymał się pomiędzy kamieniami.
Mógł podejść.

Przemienić się.
Poprosić o wodę.
O jedzenie.
Pomoc.
Nie zrobił tego.
Czuł drgania kroków zwierząt.
Ciepło ich ciał.
Zapach.
Jedna myśl pojawiła się natychmiast.
Za duże.
Dopiero po chwili zrozumiał, co właśnie pomyślał.
Nie:
Ludzie.
Nie:
Ratunek.
Za duże do zjedzenia.
Przeraził się.
Przez kilka minut próbował przypomnieć sobie własne imię.
Gon...
Coś.
Gon...
W końcu przyszło.
Gonzaga.
Przyjął ludzką postać.
Padł na kolana.
Oddychał ciężko.
— Gonzaga — powiedział.
Głos zabrzmiał obco.
— Gonzaga.
Jeszcze raz.
— Jestem Gonzaga.
Po kilkunastu minutach znowu stał się wężem.
Bo musiał.
Tylko tym razem przemiana przestraszyła go naprawdę.

Pustynia ciągnęła się bez końca.
Erenet prowadził.
Gonzaga sunął.
Dni mieszały się ze sobą.
Czasami wydawało mu się, że śni.
Czasami nie pamiętał, czy poprzedniej nocy w ogóle był człowiekiem.

Myśli stawały się coraz krótsze.
Słowa znikały.
Obrazy zostawały.
Kamień.
Cień.
Ruch.
Zapach.
Pokarm.
Woda.
Nie wiedział, ile jeszcze potrwa ta podróż.
Gdyby trwała trochę dłużej, być może pewnego ranka Gonzaga obudziłby się i nie pamiętał już, że kiedykolwiek miał ręce.

Wtedy poczuł wilgoć.
Najpierw językiem.
Powietrze smakowało inaczej.
Zatrzymał się.
Przed nim pustynia nadal wyglądała tak samo.
Kamienie.
Piasek.
Drżące powietrze.
Ale zapach był prawdziwy.
Woda.
Rośliny.
Życie.
Gonzaga ruszył szybciej.
Erenetowski nacisk prowadził prosto.
Przez kolejną wydmę.
Potem następną.
I wtedy ją zobaczył.

Wyspa.
Nie na wodzie.
Na pustyni.
Niewielkie wzgórze całkowicie pokryte zielenią.
Palmy.
Krzewy.
Liany.
Szerokie liście połyskujące od wilgoci.
Pośród żółci i brązu wyglądało nierealnie.
Jak fragment dżungli wycięty nożem z innego świata i rzucony na pustynię.

Gonzaga patrzył.
Coś w nim pękło.
Przemiana ustąpiła sama.
Nagle leżał nagi na piasku.
Człowiek.
Spróbował wstać.
Nie potrafił.
Nogi ugięły się.
Upadł.
Spróbował jeszcze raz.
Znów.
Ciało pamiętało pełzanie.
Nie chodzenie.
Gonzaga spojrzał na własne ręce, jakby widział je pierwszy raz.
— Ręce...
Zaśmiał się.
Potem zaczął płakać.
Spróbował stanąć.
Jeden krok.
Upadek.
Drugi.
W końcu ruszył na czworakach.
Ku zieleni.

Pierwszy owoc znalazł niemal przy samej krawędzi.
Żółty.
Dojrzały.
Gonzaga zerwał go.
Nie pamiętał nawet, czy jest bezpieczny.
Ugryzł.
Smak eksplodował w ustach.
Słodycz.
Sok.
Miąższ.
Prawie się zakrztusił.
Jadł.
Jeden.
Drugi.
Trzeci.
Potem zobaczył inne owoce.
Rzucił się na nie.

Zrywał.
Wpychał do ust.
Sok ściekał mu po brodzie.
Śmiał się.
— Jedzenie...
Po tygodniach owadów, jaszczurek i myszy nie potrafił przestać.
Żołądek potrafił.
Zwymiotował.
Klęczał przez chwilę.
Oddychał.
Potem podniósł kolejny owoc.
Tym razem jadł wolniej.

W głowie pojawiło się ostrzeżenie.
Ciche.
Nie jego.
Erenet?
Amulet?
Wąż?
Nie wiedział.
Idź.
Gonzaga zignorował.
Tu była woda.
Cień.
Jedzenie.
Po raz pierwszy od opuszczenia Shangri-La nie musiał walczyć o każdą kroplę.
— Jeszcze chwilę.
Wszedł głębiej.
Roślinność była niezwykle gęsta.
Za gęsta.
Liany zwisały z drzew.
Korzenie wystawały z ziemi.
Liście poruszały się, choć nie było wiatru.
Gonzaga tego nie zauważył.
Znalazł wodę.
Niewielką kałużę pomiędzy korzeniami.
Rzucił się na kolana.
Pił.
Długo.
Wtedy coś dotknęło jego pleców.

Zimno.
Gonzaga zesztywniał.
Znał ten dotyk.
Martwiaki.
Ten sam nienaturalny chłód, który nie pozostawał na skórze.
Wchodził do środka.
Wysysał.
Odwrócił się gwałtownie.
Liana cofnęła się.
Gonzaga patrzył.
— Co...
Druga poruszyła się za jego plecami.
Tym razem zobaczył.
Nie wiatr.
Nie przypadek.
Liana sięgnęła ku niemu.
Gonzaga odskoczył.
Roślinność eksplodowała ruchem.
Korzenie uniosły się.
Gałęzie opadły.
Liany wystrzeliły ze wszystkich stron.
— Nie!
Pierwsza owinęła mu kostkę.
Zimno przeszyło nogę.
Siła odpłynęła.
Gonzaga kopnął.
Wyrwał się.
Druga smagnęła po ramieniu.
Tam, gdzie dotknęła skóry, pojawiło się martwe odrętwienie.
Wyspa żyła.



Gonzaga odnajduje żywą wyspę

Nie.
Gonzaga nagle zrozumiał coś znacznie gorszego.
Wyspa była jednym żywym organizmem.
Drzewa.
Liany.
Korzenie.
Być może wszystko.
A on właśnie wszedł jej do ust.

Rzucił się do ucieczki.
Nogi nadal nie działały dobrze.
Potknął się.
Upadł.
Liana owinęła mu nadgarstek.
Poczuł szarpnięcie.
Ziemia przesunęła się pod nim.
Gonzaga krzyknął.
Furia próbowała się obudzić.
Nie było z kim walczyć.
Nie można uderzyć lasu.
Zaczął gryźć lianę.

Wężowy instynkt.
Kwaśna ślina zetknęła się z rośliną.
Tkanka zasyczała.
Liana puściła.
Gonzaga nie zastanawiał się.
Biegł.
A raczej przewracał się do przodu, podnosił i biegł dalej.
Roślinność zamykała się za nim.
Przed nim.
Gałęzie próbowały chwytać ramiona.
Korzenie oplątywały stopy.
Dotyk.
Zimno.
Osłabienie.
Jeszcze kilka takich dotknięć i nie miałby siły się poruszyć.
Zobaczył piasek.
Krawędź zieleni.
Prawie.
Liana świsnęła.
Owinęła go w pasie.
Gonzaga został szarpnięty do tyłu.
Paznokciami wbił się w ziemię.
— Nie!
Druga liana ruszyła ku jego szyi.
Wąż na ramieniu poruszył się.
Uciekaj.
Gonzaga przestał być człowiekiem.

Liana zacisnęła się na pustce.
Wąż spadł na ziemię.
Przemknął pomiędzy korzeniami.
Jedna z lian uderzyła.
Za późno.
Druga.
Trzecia.
Gonzaga sunął.
Zielona granica była coraz bliżej.
Ostatni metr.
Pół.
Wypadł na piasek.
Nie zatrzymał się.

Sunął dalej.
Do skał.
Do szczeliny.
Wcisnął się tak głęboko, jak potrafił.
Dopiero tam znieruchomiał.

Nie wiedział, ile spał.
Kiedy się obudził, było jasno.
Przez długi czas nie wychodził.
W końcu wysunął głowę.
Pustynia.
Kamienie.
Piasek.
Spojrzał w miejsce, gdzie poprzedniego dnia znajdowała się wyspa.
Nie było jej.
Gonzaga wysunął się ze szczeliny.
Jeszcze dalej.
Nic.
Ślady.
Rozorana ziemia.
Kilka urwanych liści.
Ale wzgórze z dżunglą zniknęło.
W oddali, bardzo daleko, zobaczył zieloną plamę.
Poruszała się.
Powoli.
Ale wyraźnie.
Wyspa wędrowała przez pustynię.
Gonzaga patrzył za nią długo.
Potem przyjął ludzką postać.
Usiadł nagi na kamieniu.
Na skórze miał ślady po lianach.
W kilku miejscach ciało było sine i zimne.
Powinien był się bać.
Zamiast tego zaczął się śmiać.
Cicho.
Potem coraz głośniej.
Bo właśnie znalazł wodę.
Jedzenie.
Cień.
I miejsce, które próbowało go zabić.
Po doświadczeniach z ostatnich lat wydawało mu się to niemal uczciwym układem.

Rozdział XI

Ci, którzy przyszli z pustyni

Przez następne dwa dni Gonzaga szedł za wyspą.
Nie dlatego, że jej ufał.
Wprost przeciwnie.
Ufał jej mniej niż czemukolwiek, co spotkał od czasu opuszczenia Shangri-La.
Ale wyspa miała wodę.
Miała owoce.
Miała cień.
A pustynia nie oferowała żadnej z tych rzeczy za darmo.
Gonzaga trzymał się więc w bezpiecznej odległości i obserwował.
Dopiero teraz zauważył, że wyspa rzeczywiście się porusza.
Nie sunęła jak wóz.
Nie pełzła jak zwierzę.

Po prostu jej przednia część bardzo powoli zapadała się w piasek, podczas gdy z tyłu ziemia zdawała się odrywać od pustyni i przesuwać naprzód. Korzenie pracowały pod powierzchnią.

Wzgórze drgało, osuwało się i po kilku godzinach znajdowało się kilkaset kroków dalej.
Było to tak powolne, że kiedy na nią patrzył, wydawała się nieruchoma.
Wystarczyło jednak odwrócić wzrok na godzinę.
Wtedy była już gdzie indziej.
Gonzaga obserwował ją długo.

— Jesteś obrzydliwa — powiedział.

Wyspa nie odpowiedziała.
Jedna z lian poruszyła się na skraju zieleni.
Gonzaga cofnął się o krok.

— I nie próbuj.

Wieczorem ponownie spróbował medytacji.
Amulet Ereneta spoczywał na jego dłoniach.
Tym razem wiedział, czego się spodziewać.
Nie łudził się, że duchy przyjmą go z otwartymi ramionami.

Mimo to, kiedy znalazł się w szarej przestrzeni i zobaczył stojących przed sobą szamanów, poczuł mimowolne napięcie.

Znowu spojrzenia.
Znowu niechęć.
Jedna z kobiet odwróciła się natychmiast.
Dwóch mężczyzn nawet nie podeszło.
Gonzaga westchnął.
— Tak, tak. Nie jestem Hatikatą. Wiem.
Kilka duchów spojrzało na niego jeszcze bardziej nieprzychylnie.
— Doskonale.
Erenet wyszedł spomiędzy nich.
Tym razem nie był sam.
Towarzyszył mu niski, szeroki mężczyzna.
Broda sięgała mu prawie do pasa. Twarz i nagie ramiona pokrywały ciemne tatuaże. Wyglądał jak ktoś, kto nawet po śmierci potrafiłby rozbić stół jednym uderzeniem pięści.
Duch zmierzył Gonzagę wzrokiem.
Od stóp do głów.
Potem jeszcze raz.
Skrzywił się.
— To ma być on?
Gonzaga spojrzał na Ereneta.
— Już go lubię.
Erenet usiadł.
— Gonzaga, to jest Mocny w Ręce.
— Mocny w Ręce? — powtórzył Gonzaga.
Krasnolud zmrużył oczy.
— Masz problem z moim imieniem, zgniłe jajo?
— Nie. Po prostu brzmi subtelnie.
Erenet westchnął.
— Teraz on będzie cię szkolił.
Gonzaga popatrzył na krasnoluda.
Potem na Ereneta.
— W czym?
Mocny w Ręce prychnął.
— Najpierw w tym, żebyś nie dał się zjeść roślinie.
— Wyspa wyczuwa emocje — powiedział Mocny.
Siedzieli naprzeciw siebie w szarej przestrzeni duchów.
— Wszystkie?
— Wszystkie, które dla niej mają znaczenie.
— Czyli?
— Strach. Gniew. Podniecenie. Głód. Zachłanność. Ból. Wszystko, co krzyczy: „Tutaj jest coś żywego”.

Gonzaga pomyślał o martwiakach.
— To już umiem.
Mocny w Ręce roześmiał się.
Nie był to przyjemny śmiech.
— Oczywiście, że umiesz.
Spojrzał na Ereneta.
— Zawsze był taki głupi?
— Zwykle bardziej.
— W takim razie spróbuj, wielki mistrzu.

Następnego ranka Gonzaga wszedł na wyspę.
Powoli.
Bez gwałtownych ruchów.
Usiadł kilka kroków od granicy roślinności.
Zamknął oczy.
To powinno być łatwe.
Erenet nauczył go przecież tłumić obecność wśród martwiaków.
Oddech.
Serce.
Myśli.
Spokój.
Gonzaga wyciszył strach.
Wyspa nie reagowała.
Dobrze.
Jeszcze głębiej.
Jego oddech stał się ledwie zauważalny.
Ciało rozluźniło się.
Przez kilka minut nic się nie działo.
Gonzaga poczuł satysfakcję.
Wiedziałem.
Liana owinęła mu kostkę.
— Cholera!
Szarpnął nogę.
Natychmiast poruszyły się kolejne.
Gonzaga rzucił się w stronę pustyni.
Jedna z gałęzi smagnęła go po plecach.
Druga złapała za nadgarstek.
Kwaśna ślina pomogła mu się uwolnić.
Wypadł poza zieleń.
Długo leżał na piasku, łapiąc oddech.
Wieczorem wrócił do medytacji.

Mocny w Ręce czekał.

— Już umiesz?

Gonzaga milczał.

— Przepraszam. Nie słyszę.

— Nie.

— Co?

— Nie umiem.

Mocny uśmiechnął się szeroko.

— Wreszcie czegoś się nauczyłeś.

Problem polegał na tym, że martwiaki były proste.

Czuły życie.

Wyspa czuła Gonzagę.

Nie wystarczało spowolnić serca.

Nie wystarczało stłumić strachu.

Trzeba było wygasić wszystko.

Myśli.

Pragnienia.

Nawet radość.

— Wyspa nie widzi twojego ciała — tłumaczył Mocny. — Ona czuje, że jesteś kimś oddzielnym od niej.

— I mam przestać być sobą?

— Na chwilę.

— Niedawno ledwie odzyskałem człowieczeństwo po pustyni.

— Widać niepotrzebnie.

Gonzaga zacisnął szczęki.

— Erenet był lepszym nauczycielem.

— Erenet był miękki.

Erenet siedzący obok wzruszył ramionami.

— Trochę.

Dni zamieniły się w serię upokorzeń.

Gonzaga siadał.

Wyciszał się.

Wyspa tolerowała go przez minutę.

Dwie.

Czasami pięć.

Potem pojawiała się myśl.

Dobrze mi idzie.

I natychmiast jakaś liana próbowała go porwać.

Raz pomyślał o jedzeniu.

Korzeń uderzył go w bok.
Innym razem przypomniał sobie Senil.
Nie zdążył nawet zrozumieć, czy poczuł smutek, złość czy tęsknotę.
Wyspa zareagowała natychmiast.
Gonzaga wrócił z rozciętym czołem.
— Za wolno — skomentował Mocny.
— Może ty spróbujesz?
— Ja już nie żyję.
— Wygodne.
— Bardzo.

Najgorsze było to, że Mocny miał rację.
Wyspa wymagała innej ciszy niż nekropolia.
Tam Gonzaga chował życie.
Tutaj musiał na chwilę przestać stawiać granicę między sobą a otoczeniem.
Nie:
ja siedzę na wyspie.
Tylko:
kamień.
liść.
korzeń.
oddech.
Bez „ja".
Pierwszy raz wytrzymał prawie godzinę.
Siedział pod drzewem.
Wyspa pozostawała spokojna.
Wiatr poruszał liśćmi.
Gonzaga słyszał owady.
Czuł wilgoć ziemi.
I nic więcej.
W pewnym momencie otworzył oczy.
Zobaczył słońce.
Zrozumiał, ile czasu minęło.
Ogarnęła go radość.
— Mam cię!
Liana wystrzeliła z krzaków.
Gonzaga zdążył tylko przewrócić się na bok.
— Nie! Nie! Już przestałem!
Wyspa nie była zainteresowana wyjaśnieniami.

Wieczorem Mocny w Ręce śmiał się tak długo, że Gonzaga rozważał możliwość zabicia ducha.

— Godzinę — powiedział krasnolud. — Godzinę siedział spokojnie, po czym sam powiedział roślinie, gdzie jest.

— Ucieszyłem się.

— To widzieliśmy.

— Byłem blisko.

— Małpa byłaby bliżej.

— Zacznę cię ignorować.

— Wspaniale. To pierwsza użyteczna rzecz, której cię nauczę.

Ale Gonzaga wracał.
Każdego dnia.
Godzina zmieniła się w dwie.
Potem w pół dnia.
Nauczył się jeść na wyspie bez zachłanności.
Pić bez rozpaczliwego pragnienia.
Poruszać się bez lęku.
Najtrudniejsze były noce.
Ciemność budziła wspomnienia.
Loch.
Martwiaki.
Erenet.
Senil.
Za każdym razem roślinność odpowiadała delikatnym drżeniem.
Gonzaga nauczył się pozwalać obrazom odpływać.
Nie wypierać.
Nie walczyć.
Pozwolić im przejść.
Pewnej nocy zasnął w pozycji medytacyjnej.
Obudził się o świcie.
Wokół niego leżały liany.
Jedna znajdowała się przy jego dłoni.
Druga kilka palców od szyi.
Żadna go nie dotknęła.
Gonzaga wstał bardzo powoli.
Zszedł z wyspy.
Wieczorem spotkał Mocnego.
Krasnolud długo milczał.

— No?

— Co?

— Nic nie powiesz?

— Powiem.

Mocny podszedł bliżej.

— Zajęło ci to absurdalnie długo.

Gonzaga uśmiechnął się.

— Dziękuję.

— To nie był komplement.

— Wiem.

— Małpa nauczyłaby się szybciej.

— Oczywiście.

Mocny odwrócił się.

Po kilku krokach dodał:

— Ale małpa nie wytrzymałaby całej nocy.

Gonzaga przestał się uśmiechać.

To była pierwsza pochwała.

W ustach Mocnego niemal uroczysta.

Kilka dni później nauczyciel się zmienił.

Gonzaga wszedł w medytację i zobaczył Ereneta.

Obok niego siedziała kobieta.

Jej skóra miała ciemny, ciepły odcień, jak ziemia wypalona słońcem. Włosy splatała w długie warkocze ozdobione drobnymi kośćmi, kamieniami i piórami.

Uśmiechnęła się.

— Gonzaga.

Jej głos był spokojny.

— Dziecko Pustyni — przedstawił ją Erenet.



Mocny w Ręce i Dziecko Pustyni

Gonzaga spojrzał za siebie.
— A gdzie tamten?
— Mocny w Ręce?
— Tak.
Kobieta uśmiechnęła się szerzej.
— Odpoczywa od ciebie.
Gonzaga skinął głową.
— Rozsądny człowiek.
Z ciemności odezwał się znajomy głos:
— Jestem duchem, kretynie!
Gonzaga parsknął.
Dziecko Pustyni roześmiała się.
I od pierwszej chwili wiedział, że jej nauka będzie inna.

Nie uczyła go przeżycia.
Uczyła go, po co żyć.
Pierwszego wieczoru opowiedziała mu, jak Hatikaci witają świt.
Nie było w tym wielkiej magii.
Kilka słów.
Odrobina wody wylana na ziemię.
Dłoń uniesiona ku pierwszemu światłu.

— Po co marnować wodę? — zapytał Gonzaga.
Dziecko Pustyni spojrzała na niego.
— Nie marnujemy.
— Wylewasz ją na piasek.
— Oddajemy pustyni pierwszą kroplę.
— Pustynia ma dużo piasku.
— I dlatego pamięta każdą kroplę.
Gonzaga uznał to za dziwną odpowiedź.
Po miesiącu sam nie zaczynał dnia bez rytuału.

Uczyła go pogrzebów.
Jak ustawić ciało.
Jakie słowa wypowiedzieć.
Co wolno zabrać zmarłemu.
Co musi z nim odejść.
Uczyła go ceremonii związania pary.
Nie „ślubu".
Hatikaci mówili o splataniu dwóch dróg.
— A jeśli drogi się rozejdą?
— Wtedy rytuał się kończy.
Gonzaga spojrzał na nią.
— Można tak?
— Czy twoi bogowie przywiązują ludzi do siebie sznurem?
Pomyślał o własnym życiu.
— Czasem chyba próbują.

Poznawał ceremonie pożegnania dnia.
Napojów przygotowywanych na narodziny dziecka.
Potraw podawanych po bitwie.
Sposób, w jaki witano gościa na wyspie.
Sposób, w jaki żegnano kogoś, kto odchodził na zawsze.
Ale przede wszystkim poznawał Hatikatów.
Nie jako nazwę.
Jako ludzi.
Dziecko Pustyni opowiadała o wodzach.
O szamanach.
O wojownikach.
O kobietach, które prowadziły całe wyspy przez burze piaskowe.
O tchórzach, którzy później okazali się bohaterami.
O bohaterach, którzy okazali się głupcami.
O dzieciach.

O kłótniach.
O świętach.
O żartach.
O tym, jak pewien wódz zażądał pochówku razem z ulubionym wielbłądem, a wielbłąd przeżył go o siedemnaście lat i nigdy nie wybaczył plemieniu próby spełnienia ostatniej woli.
Gonzaga śmiał się.
Potem nagle zrozumiał coś ważnego.
Hatikaci nie byli legendą.
Byli kiedyś zwyczajnymi ludźmi.
Takimi jak wszyscy.
Tylko ich już nie było.

Najtrudniejszy był język.
Hatikaci nie pisali.
Nigdy.
Całą historię przechowywano w pamięci.
Modlitwy.
Pieśni.
Imiona.
Prawo.
Opowieści.
Wszystko przekazywano ustnie.
Dziecko Pustyni mówiła słowo.
Gonzaga powtarzał.
Źle.
Jeszcze raz.
Gorzej.
— Nie słyszysz różnicy?
— Nie.
Powiedziała dwa dźwięki.
Dla Gonzagi były identyczne.
— To samo.
Kobieta zakryła twarz dłonią.
— Co?
— Nic.
— Mocny w Ręce robi tak samo.
— Zaczynam go rozumieć.
Uczył się jednak.
Powoli.
Najpierw pojedynczych słów.
Woda.

Piasek.
Niebo.
Matka.
Ojciec.
Ogień.
Wiatr.
Śmierć.
Dom.
Potem zdań.
Modlitw.
Pieśni.

Czasami siedzieli razem w świecie duchów, patrząc na niebo, które nie było prawdziwym niebem.

Dziecko Pustyni wskazywała gwiazdy.
Opowiadała, jak odnaleźć północ.
Jak rozpoznać nadchodzącą burzę piaskową.
Jakiego koloru piasek znajduje się nad podziemną wodą.
Gdzie żyją skorpiony.
Których jaszczurek nie wolno jeść.
Jak rozpoznać odchody zwierzęcia, którego nigdy się nie widziało.
Gonzaga słuchał.
Po raz pierwszy od dawna nie spieszył się.

Pewnego wieczoru zapytał:

— Skoro Hatikaci byli tak dobrzy w przetrwaniu, dlaczego wyginęli?

Dziecko Pustyni długo milczała.

— Nie zawsze umiejętność życia wystarcza, żeby przetrwał lud.

— Co się stało?

Spojrzała na niego.

— Zaczęliśmy jako wygnańcy.

Gonzaga uniósł brwi.

— Wy?

— Dawno temu. Nikt już nie pamięta nawet naszej winy. Być może była prawdziwa. Być może wymyślił ją władca, któremu przeszkadzaliśmy.

Usiadła na piasku.

— Wypędzono nas na pustynię. Bez ziemi. Bez miasta. Bez studni. Mieliśmy umrzeć.

Gonzaga słuchał.

— Nie umarliśmy. Znaleźliśmy żywe wyspy.

— I je ujarzmiliście.

— Nauczyliśmy się na nich żyć.

— Mocny mówi, że szamani łamią ich wolę.

— Mocny w Ręce mówi wiele rzeczy.
Z ciemności:
— Słyszę was!
Dziecko Pustyni uśmiechnęła się.
— Z czasem staliśmy się ludem pustyni. To, co miało być naszą karą, stało się domem.
Gonzaga milczał.
Wygnańcy.
Mieszańcy.
Ludzie, których ktoś uznał za niepotrzebnych.
Spojrzał na nią.
— Erenet dlatego mnie wybrał?
— Być może.
— Bo też jestem wyrzutkiem?
— A to mało?

Następnym razem, gdy pojawił się Mocny w Ręce, Gonzaga czekał.
— No?
Krasnolud zmarszczył brwi.
— Co?
— Powiedz.
— Co mam powiedzieć?
— Mieszaniec. Wyrzutek. Gniłe jajo. Coś jeszcze?
Mocny przyjrzał mu się podejrzliwie.
— Zawsze mogę coś wymyślić.
— Hatikaci byli wyrzutkami.
Cisza.
— Wypędzono ich.
Mocny skrzyżował ręce.
— I?
— Czyli właściwie idealnie się nadaję.
Erenet zakrył usta dłonią.
Dziecko Pustyni odwróciła głowę.
Mocny przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.
Gonzaga uśmiechnął się.
— Mieszaniec. Wygnaniec. Nikt mnie nie chciał. Prawdziwy Hatikata.
— Ty bezczelny...
— Sam mówiłeś.
— Ja mówiłem...
— Błoto chyba też było?
Mocny w Ręce wskazał na niego palcem.

— Gdybym żył...
— Nie żyjesz.
— Niestety.
Gonzaga po raz pierwszy wygrał z nim rozmowę.
Pamiętał ten dzień niemal równie dobrze jak własne namaszczenie.

Nauka trwała długo.
Tygodnie.
Może miesiące.
Na pustyni czas nie miał znaczenia.
Gonzaga poruszał się razem z wyspą.
Potrafił już na niej spać.
Jeść.
Zbierać wodę.
Rozpoznawać moment, kiedy stawała się pobudzona.
Czasami musiał zejść.
Czasami medytował przez wiele godzin.
Stopniowo przestawała go traktować jak pokarm.
Nie zaakceptowała go.
Raczej przestała uważać, że warto poświęcać energię na jego zjedzenie.
Gonzaga uznał to za sukces.

Dziecko Pustyni przestała któregoś dnia nauczać w połowie opowieści.
Po prostu zamilkła.
— Co dalej? — zapytał.
— Nic.
— Jak to nic?
— Znasz tę historię.
— Nie znam.
— Znasz.
Gonzaga zastanowił się.
Była to historia pierwszych Hatikatów, którzy opuścili wyspę podczas suszy.
Znał zakończenie.
— Tak.
Kobieta uśmiechnęła się.
— To po co pytasz?
— Bo dobrze opowiadasz.
— To nie wystarczy.
Gonzaga poczuł nagły niepokój.
— Kończysz?
— Tak.

— Dlaczego?
— Bo nauczyłeś się wszystkiego, co miałam ci przekazać.
— Nie wszystkiego.
— Nie. Nigdy nie nauczysz się wszystkiego.
Podeszła.
Położyła dłoń na jego piersi.
— Ale wiesz już, co musisz zrobić.
Gonzaga spojrzał na nią.
Nie odpowiedział.
Nie musiał.
Myśl dojrzewała w nim od dawna.
Może od pierwszych opowieści.
Może od chwili, gdy duchy go odrzuciły.
Może jeszcze wcześniej.
Hatikaci nie mieli już plemienia.
Byli tylko duchami.
Opowieściami.
Kamiennymi krążkami na jego szyi.
Jeżeli naprawdę był ich szamanem...
nie wystarczyło nosić amuletu.
— Odbuduję ich — powiedział.
Dziecko Pustyni uśmiechnęła się.
— Nie.
Gonzaga zamarł.
— Nie?
— Nie odbudujesz tych, którzy umarli.
Dotknęła amuletu.
— Zbudujesz nowych.
Te słowa zostały z nim.

Mocny w Ręce wrócił następnego dnia.
Wyglądał na jeszcze bardziej niezadowolonego niż zwykle.
— Co teraz? — zapytał Gonzaga.
— Teraz nauczysz się sterować wyspą.
Gonzaga spojrzał na zieleń.
Potem na krasnoluda.
— Ona mnie jeszcze czasem próbuje zjeść.
— Świetnie. Macie już relację.

Tradycyjna metoda była prosta.
Przynajmniej kiedy opisywał ją Mocny.

Szaman miał wejść w medytację.
Rozszerzyć własną jaźń.
Dotknąć świadomości wyspy.
A potem narzucić jej wolę.
— Jak?
— Siłą.
— Jaką?
— Woli.
— Bardzo konkretne.
Mocny uderzył go w czoło.
Gonzaga poczuł to nawet w świecie duchów.
— Przestań być głupi.

Pierwsza próba zakończyła się niemal natychmiast.
Gonzaga usiadł na wyspie.
Wyciszył umysł.
Otworzył się.
Pozwolił własnej świadomości wyjść poza ciało.
Erenet nauczył go dotykać świata duchów.
Mocny pokazał kierunek.
Gonzaga poszedł głębiej.
I natrafił na coś.

Wyspa.
Nie miała słów.
Nie miała twarzy.
Nie miała myśli takich jak człowiek.
Była głodem.
Ogromnym.
Nieustannym.
Korzenie czuły wilgoć.
Liście światło.
Liany ciepło żywych ciał.
Wszystko sprowadzało się do jednego.
Pożreć.
Rosnąć.
Pić.
Żyć.
Pożreć.
Gonzaga wyrwał się z połączenia tak gwałtownie, że zwymiotował.
Przez kilka minut klęczał na ziemi.

Mocny czekał.

— No?

— To jest potwór.

— To jest wyspa.

— To coś nie myśli.

— Myśli.

— Nie tak jak my.

— Dlatego nie rozmawiasz. Rozkazujesz.

Gonzaga otarł usta.

— Nie chcę znowu tam wchodzić.

Mocny uśmiechnął się paskudnie.

— Wejdziesz.

Wchodził.

Raz po raz.

Za każdym razem było tak samo.

Obca psychika.

Bez litości.

Bez sympatii.

Bez wdzięczności.

Tylko potrzeba.

Gonzaga próbował naciskać.

W lewo.

Wyspa szła dalej.

Zatrzymaj się.

Nic.

Skręć.

Głód odpowiadał głodem.

Gonzaga próbował mocniej.

Im mocniej napierał, tym bardziej czuł, jak wyspa odrzuca jego obecność.

Pewnego dnia zerwał kontakt i rzucił amulet na ziemię.

— Nie będę tego robił.

Mocny w Ręce popatrzył na niego.

— Będziesz.

— Nie.

— Każdy szaman Hatikatów to potrafił.

— To świetnie. Niech któryś przyjdzie i zrobi.

— Są martwi.

— Zauważyłem.

Mocny podszedł.

— Musisz ją złamać.
Gonzaga spojrzał na wyspę.
Coś w tych słowach go drażniło.
Złamać.
Zawsze złamać.
Ludzi.
Zwierzęta.
Drewno.
Samego siebie.
Ostel powiedział kiedyś coś innego.
Nie walcz z nią. Przekonaj.
Gonzaga zamilkł.
Mocny zauważył zmianę.
— Co?
— Nic.
To „nic" było początkiem pomysłu.

Kilka dni później znaleźli martwego wielbłąda.
Leżał daleko na prawo od kierunku, w którym podążała wyspa.
Nad zwłokami krążyły ptaki.
Gonzaga zatrzymał się.
Wyspa szła prosto.
Nie zauważyła go.
Jeszcze.
Gonzaga usiadł.
Połączył się z nią.
Nie próbował narzucić kierunku.
Nie walczył.
Nie naciskał.
Dotknął tylko jednej rzeczy.
Głodu.
Potem przesłał prosty obraz.
Jedzenie.
I kierunek.
Prawo.
Wyspa zawahała się.
Gonzaga poczuł to.
Ogromna świadomość jakby drgnęła.
Powtórzył.
Pokarm. Tam.
Połączenie pękło.

Gonzaga otworzył oczy.
Czekał.
Przez godzinę nic.
Potem zauważył zmianę.
Wyspa skręcała.
Bardzo powoli.
Ale skręcała.

— Nie... — powiedział Mocny w Ręce.

Gonzaga uśmiechnął się.

— Tak.

Wyspa dotarła do wielbłąda kilka godzin później.
Korzenie wyszły z ziemi.
Liany oplotły ciało.
Gonzaga nie patrzył długo.
Następnego dnia po zwierzęciu nie zostało prawie nic.

— To nie jest sterowanie — powiedział Mocny.

— Skręciła.

— Oszukałeś ją.

— Nauczyłem.

— Wyspy się nie uczy!

— Ta właśnie się nauczyła.

— Szaman narzuca wolę!

Gonzaga wzruszył ramionami.

— Po co?

Mocny otworzył usta.
Zamknął.

— Bo tak robiliśmy.

— I wszyscy nie żyjecie.

Erenet odwrócił głowę, ukrywając uśmiech.

Mocny w Ręce patrzył na Gonzagę tak, jakby po raz pierwszy w życiu naprawdę rozważał możliwość popełnienia samobójstwa po śmierci.

— Dobrze, że niedługo kończę cię szkolić.

— Czemu?

— Bo gdyby duch mógł się powiesić na palmie, zrobiłbym to tylko po to, żeby przestać cię uczyć.

Gonzaga powtarzał metodę.
Najpierw przypadkowe padliny.
Potem zaczął tworzyć nagrodę sam.
Pewnego dnia znalazł szkielet człowieka.

Łuk.
Kołczan z kilkoma strzałami.
Zniszczoną, ale użyteczną zbroję.
Szablę.
Gonzaga długo stał nad kośćmi.
Potem wykonał dla nieznajomego krótki rytuał Hatikatów.
Dziecko Pustyni nauczyła go słów.
Dopiero później zabrał wyposażenie.
Łuk zmienił wszystko.
Polował na ptaki.
Układał zdobycz na ziemi.
Pokazywał wyspie kierunek.
Tam jedzenie.
Na początku reagowała powoli.
Później coraz szybciej.
Po tygodniach Gonzaga nie potrzebował już zdobyczy za każdym razem.
Czasami wystarczał sam sygnał.
Jedzenie.
Kierunek.
Obietnica.
Mocny uważał to za profanację całej tradycji Hatikatów.
Gonzaga nazywał to skutecznością.

Właśnie dzięki temu po raz pierwszy naprawdę zdecydował, dokąd zmierzają.
Nie chciał już błąkać się bez celu.
Potrzebował ludzi.
Jeżeli miał zbudować nowe plemię, musiał ich znaleźć.
Wyspa zmieniła kierunek.
Dwa dni później pustynny horyzont przestał być równy.
Pojawiła się góra.
Samotna.
Ciemna.
Wyrastająca z piasku jak ząb.
Gonzaga patrzył na nią przez pół dnia.
Wieczorem zdecydował.
— Tam.
Wyspa posłuchała.

Im bliżej podchodzili, tym więcej widział.
Przy podstawie góry znajdowała się jaskinia.
Przed nią coś leżało.

Najpierw wyglądało jak głazy.
Potem dostrzegł kończyny.
Ciała.
Wiele.
Zszedł z wyspy.
Łuk trzymał gotowy.
Wiatr niósł zapach starej krwi.
Bitwa musiała zakończyć się dawno temu.
Piasek częściowo zasypał poległych.
Gonzaga podszedł do pierwszego.
Ogromne ciało.
Ludzkie w budowie.
Ale głowa...
Bycza.
Rogi.
Minotaur.
Nigdy wcześniej nie widział jednego z bliska.
Wokół leżały następne.
Silne ciała porozcinane bronią.
Połamane rogi.
Tarcze.
Ciężkie topory.
Nieco dalej znajdowały się inne zwłoki.
Niebieskawe.
Smukłe.
Niektóre jakby pozbawione nóg, przechodzące ku dołowi w strzępy czegoś przypominającego dym.
Gonzaga przykucnął.
— Dżiny...
Znał je tylko z opowieści.
Minotaury i Dżiny.
Stare wrogie sobie ludy.
Najwyraźniej spotkały się tutaj i żadne nie uznało odwrotu za rozsądny.
Pole bitwy było martwe.
Wiatr przesuwał piasek między ciałami.
Nad górami krążyły dwa padlinożerne ptaki.
Gonzaga spojrzał na wyspę.
Jedzenie.
Dużo.
Mógł wykorzystać zwłoki.

Wzmocnić zachowanie, którego ją uczył.
Podszedł do najbliższego minotaura.
Chwycił ciało za ramię.
Ciężkie.
— Bogowie, ile ty ważyłeś...
Pociągnął.
Ciało przesunęło się.
I wtedy palce minotaura drgnęły.
Gonzaga puścił.
Cofnął się.
Wyciągnął szablę.
Patrzył.
Nic.
Może wiatr.
Może ciężar ciała.
Podszedł ponownie.
Dotknął szyi.
Przez chwilę nie czuł niczego.
A potem...
Uderzenie.
Słabe.
Ledwie wyczuwalne.
Drugie.
Trzecie.
Gonzaga znieruchomiał.
Minotaur oddychał.
Tak płytko, że można było tego nie zauważyć.
Wśród dziesiątek trupów jeden wojownik wciąż żył.
Gonzaga spojrzał na niego.
Potem na żywą wyspę czekającą kilkaset kroków dalej.
I przez moment pomyślał, że los ma wyjątkowo paskudne poczucie humoru.
Przez wiele miesięcy szukał ludzi.
Pierwszy, którego znalazł, nawet nie był człowiekiem.

Rozdział XII

Bracia pustyni

Minotaur był cięższy, niż wyglądał.

A wyglądał jak ktoś, kogo do przesuwania należałoby zatrudnić czterech ludzi i muła.

Gonzaga spróbował najpierw przeciągnąć go sam.

Po kilku krokach zatrzymał się, dysząc.

— Jeśli przeżyjesz, pierwsze czego cię nauczę, to odchudzanie.

Minotaur nie odpowiedział.

Oddychał ledwie zauważalnie.

Gonzaga przykucnął przy nim.

Rany były poważne.

Cięcie przez bok. Głębokie ukłucie poniżej żeber. Jedno ramię wyglądało źle, choć kość prawdopodobnie nie była złamana. W kilku miejscach skóra nosiła ślady oparzeń.

Niektóre rany zadali przeciwnicy bronią.

Inne wyglądały inaczej.

Jakby dotknął go płomień, który nie był zwykłym ogniem.

Gonzaga spojrzał na błękitnawe zwłoki dżinów.

— Nieźle się bawiliście.

Minotaur poruszył powiekami.

Gonzaga natychmiast wrócił wzrokiem do niego.

— Słyszysz mnie?

Brak odpowiedzi.

— Świetnie.

Rozejrzał się.

Wyspa czekała kilkaset kroków dalej.

Wniesienie rannego na nią nie wchodziło w grę.

Nawet Gonzaga nie był tak głupi.

Przez następne godziny budował więc coś, czego bardzo dawno nie potrzebował.

Platformę.

Dwie długie żerdzie.

Pleciona mata pomiędzy nimi.

Liny z włókien roślinnych.

Konstrukcja przypominała tę, której sam używał kiedyś, by dać się ciągnąć wyspie, pozostając poza zasięgiem jej lian.

Teraz posłużyła jako nosze.

Gonzaga przeciągnął minotaura na platformę, przywiązał go, a następnie połączył wszystko długą liną z tylną częścią wyspy.

Nie za blisko.

Nigdy za blisko.

Liany poruszyły się, jakby wyczuły świeże mięso.

— Nie.

Gonzaga stanął między nimi a rannym.

— Tego nie jesz.

Wyspa oczywiście nie rozumiała słów.

Głód rozumiała doskonale.

Przez chwilę liany kołysały się niespokojnie.

Gonzaga wyciągnął zabitego ptaka.

Rzucił go w przeciwną stronę.

— To możesz.

Roślinność natychmiast zareagowała.

Gonzaga pokręcił głową.

— Jesteś przewidywalna.

Nie wiedział jeszcze, że właśnie uratował pierwszego członka swojego nowego plemienia.

Minotaur nie obudził się przez trzy dni.

Gonzaga oczyszczał rany.

Przemywał je wodą.

Zmniejszał obrzęk chłodnymi liśćmi.

Używał tego, czego nauczył się od Dziecka Pustyni, i tego, czego nauczyło go życie.

Nie był uzdrowicielem.

Ale wiedział, jak nie pozwolić człowiekowi umrzeć.

Minotaur nie był człowiekiem.

Okazało się, że zasady były podobne.

Największym problemem była gorączka.

Gdy przyszła drugiej nocy, wojownik rzucał się tak gwałtownie, że omal nie zerwał więzów.

Gonzaga siedział przy nim.

— Spokojnie.

Minotaur warczał coś w swoim języku.

— Nic nie rozumiem.

Kolejne słowo.

— Też nie.

Minotaur otworzył oczy.

Na chwilę.
Ciemne.
Mętne.
Spojrzał na Gonzagę.
Potem na wyspę.
Spróbował się podnieść.
Gonzaga położył mu dłoń na piersi.
— Nie.
To był błąd.
Wielka dłoń zacisnęła się na jego przedramieniu.
Mimo gorączki minotaur miał tyle siły, że Gonzaga aż syknął.
Spojrzeli na siebie.
— Jeśli chciałbym cię zabić — powiedział powoli Gonzaga — zostawiłbym cię tam.
Minotaur oczywiście nie rozumiał.
Ale chyba zrozumiał ton.
Puścił.
Kilka sekund później ponownie stracił przytomność.

Obudził się naprawdę dopiero piątego dnia.
Gonzaga kroił owoce.
Usłyszał ruch.
Odwrócił się.
Minotaur siedział.
A przynajmniej próbował.
— Nie.
Gonzaga podszedł.
Wojownik natychmiast się spiął.
— Nie. Nie. Nie.
Gonzaga pokazał na niego.
Potem na ranę.
Potem zrobił dłonią gest leżenia.
Minotaur patrzył.
— Leżeć.
Wskazał ziemię.
— Leżeć.
Minotaur powiedział coś.
Brzmiało jak groźba.
— Świetnie. Ty też masz opinię.
Gonzaga podsunął mu miskę z wodą.
Minotaur zawahał się.
Powąchał.

Spróbował.
Potem wypił wszystko jednym haustem.
— Powoli...
Za późno.
Po kilku sekundach zwymiotował.
Gonzaga westchnął.
— Znam to.

Pierwszym słowem, którego się od siebie nauczyli, było „woda".
Nie dlatego, że chcieli rozpocząć naukę języka.
Po prostu potrzebowali wody wystarczająco często.
Gonzaga wskazywał naczynie.
— Woda.
Minotaur marszczył brwi.
Potem wskazywał.
Wypowiadał własne słowo.
Gonzaga powtarzał.
Źle.
Minotaur poprawiał.
Jeszcze gorzej.
Po dwóch dniach obaj zaczęli się z tego śmiać.
Potem przyszło:
jedzenie.
ogień.
sen.
ból.
tak.
nie.
I bardzo ważne:
— Nie dotykaj tego.
Na to ostatnie Gonzaga poświęcił szczególnie dużo czasu, wskazując liany.
Minotaur zrozumiał dopiero wtedy, gdy jedna spróbowała złapać go za nogę.
Odtąd zapamiętał natychmiast.

Imię przyszło później.
Gonzaga dotknął własnej piersi.
— Gonzaga.
Minotaur patrzył.
— Gonzaga.
Potem wskazał siebie.
— Ragr.

Gonzaga powtórzył.

— Ragr.

Minotaur skinął głową.

Gonzaga wskazał go jeszcze raz.

— Ragr.

Potem siebie.

— Gonzaga.

Ragr po chwili powiedział coś zbliżonego do:

— Gon... zaga.

Gonzaga uśmiechnął się.

— Dobrze.

Wskazał wyspę.

Zastanowił się.

— Wredna cholera.

Ragr spróbował powtórzyć.

— Wre... chol...

Gonzaga wybuchnął śmiechem.

— Nie. Tego ci jeszcze nie trzeba.

Ragr wracał do zdrowia przez wiele tygodni.



Gonzaga i Ragr — bracia pustyni

Najpierw chodził kilka kroków.

Potem kilkanaście.
Później zaczął pomagać Gonzadze.
Okazało się, że minotaur uczył się poruszania po wyspie znacznie szybciej niż Gonzaga.
Było to obraźliwe.
— Miesiąc — powiedział Gonzaga pewnego wieczoru. — Mnie chciała zjeść przez miesiąc.
Ragr nie rozumiał jeszcze wszystkich słów.
Rozumiał wystarczająco.
Uśmiechnął się.
— Ragr... dobry.
Wskazał Gonzagę.
— Gonzaga...
Zastanowił się.
— Małpa.
Gonzaga zamarł.
Mocny w Ręce nauczył go tego słowa.
— Kto ci powiedział?
Ragr roześmiał się.
Gonzaga spojrzał w stronę amuletu.
— Ty stary draniu.

Język budowali wspólnie.
Dziwny.
Nie był językiem Gonzagi.
Nie był językiem Ragra.
Powstawał pomiędzy nimi.
Gonzaga uczył go słów używanych na Wschodzie. Wśród nich były te, które znał z orkowej mowy weteranów: sar, dar i pulus — wąż, krew i woda.
Ragr własnych.
Jeżeli jedno określenie było łatwiejsze, zostawało.
Jeżeli obaj nie potrafili wymówić żadnego, wymyślali nowe.
Najpierw rozmawiali o przedmiotach.
Potem o czynnościach.
Później o czasie.
Wczoraj.
Jutro.
Dawno.
Aż któregoś wieczoru dotarli do rzeczy trudniejszych.
Honor.
Wstyd.
Dom.
Brat.

Ragr długo próbował wyjaśnić ostatnie słowo.
Dotknął piersi.
Potem wskazał Gonzagę.
Złączył dwie pięści.
Gonzaga patrzył.
— Przyjaciel?
Ragr pokręcił głową.
Ponownie złączył pięści.
— Rodzina?
Minotaur zawahał się.
Potem skinął głową.
Nie całkiem.
Ale blisko.
— Brat — powiedział w końcu, używając słowa Gonzagi.
Gonzaga zamilkł.
Ragr położył wielką dłoń na jego ramieniu.
— Brat.
Gonzaga odpowiedział tym samym gestem.
— Brat.
Od tamtej chwili tak właśnie o sobie myśleli.

Ragr zaczął również opowiadać.
Najpierw fragmentami.
O swoich ludziach.
O wojownikach.
O walce, podczas której Gonzaga go znalazł.
O konflikcie z dżinami.
A w końcu o własnej hańbie.
W jego społeczności miał zostać wybrany nowy władca.
Ragr uważał, że zasłużył na to miejsce.
Nie wybrano go.
Wybrano innego.
Ragr nie potrafił tego przyjąć.
Doszło do konfliktu.
Słów.
Potem czynów.
W końcu opuścił swoich.
Nie lubił nazywać tego wygnaniem.
Gonzaga nie naciskał.
Znał różnicę pomiędzy odejściem a wypędzeniem.
Czasem była bardzo niewielka.

To Ragr pierwszy wspomniał o Mieście Odrzuconych.
— Miasto? — zapytał Gonzaga.
Ragr skinął głową.
— Pustynia. Stare kamienie. Dużo ludzi. Nie... normalni.
— To znaczy?
Ragr szukał słowa.
— Wyrzuceni.
Gonzaga spoważniał.
— Z różnych ludów?
— Tak.
Minotaur wymieniał.
Ludzi.
Elfy.
Orków.
Minotaury.
Innych.
— Wszyscy wyrzutki?
— Tak.
Gonzaga spojrzał na wyspę.
Przypomniał sobie słowa Dziecka Pustyni.
Nie odbudujesz tych, którzy umarli. Zbudujesz nowych.
— Pokaż mi drogę.

Miasto Odrzuconych powstało w ruinach czegoś znacznie starszego.
Nikt nie wiedział, kto wybudował pierwsze mury.
Kamień był niemal czarny.
Domy wyrastały jeden z drugiego.
Do dawnych świątyń dostawiano lepianki.
W pałacowych salach mieszkali ludzie, którzy nie mieli nawet butów.
Miasto żyło bez prawa.
A raczej z jednym prawem.
Silniejszy brał.
Słabszy oddawał.
Gonzaga potrzebował kilku dni, aby je zrozumieć.
Ragr potrzebował kilku godzin.
Minotaur wzbudzał respekt samym wyglądem.
Gonzaga wyglądał mniej imponująco.
To miało zalety.
Słuchał.
Rozmawiał.

Obserwował.
Nie interesowali go wszyscy odrzuceni.
Szybko odkrył, że część znalazła się tutaj z bardzo dobrych powodów.
Mordercy.
Rabujący dla przyjemności.
Ludzie, którzy zdradzili każdego, kto im zaufał.
Nie takich szukał.
Szukał tych, których wyrzucono właśnie dlatego, że w pewnym momencie powiedzieli:
Nie.
Żołnierza, który odmówił spalenia wioski.
Kobiety, która ukryła dzieci wroga.
Orka, który sprzeciwił się własnemu wodzowi.
Elfa, który zeznał przeciwko własnemu rodowi.
Rzemieślnika, który odmówił wykonania narzędzia tortur.
Ludzi niewygodnych.
Upartych.
Czasem trudnych.
Ale zdolnych wybrać coś więcej niż własną korzyść.
Gonzaga rozpoznawał ich.
Sam należał do tego rodzaju.
Nie mówił:
— Zostań moim poddanym.
Mówił:
— Chodź z nami.
— Dokąd?
— Jeszcze nie wiem.
— Co tam jest?
— Jeszcze nic.
— I to ma mnie przekonać?
Gonzaga uśmiechał się.
— Będziesz mógł zdecydować, co tam będzie.
Niektórzy odchodzili.
Niektórzy się śmiali.
Kilku poszło.
Potem następni.
Pierwsza żywa wyspa przestała być domem dla dwóch osób.
Stała się domem dla sześciu.
Potem jedenastu.
Dwudziestu.

Lata zaczęły płynąć inaczej.

Gonzaga przestał mierzyć czas kolejnymi ranami.
Zaczął mierzyć go ludźmi.
Pierwsze dziecko urodzone na wyspie.
Pierwsza para związana według rytuału Hatikatów.
Pierwszy zmarły pochowany według tradycji Dziecka Pustyni.
Pierwszy człowiek, który nauczył się modlitwy w języku Hatikatów, choć wymawiał niemal każde słowo źle.
Duchy długo patrzyły na to z niechęcią.
Potem część przestała odchodzić podczas medytacji.
Później jedna ze starszych szamanek po raz pierwszy odpowiedziała Gonzadze na pytanie.
Nie powiedział Erenetowi, jak wiele dla niego znaczył ten moment.
Erenet i tak wiedział.

Jedna wyspa przestała wystarczać.
Odnaleźli drugą.
Potem trzecią.
Każda była inna.
Jedna poruszała się szybciej.
Druga była większa.
Trzecia wyjątkowo agresywna.
Gonzaga nauczył kolejnych ludzi, jak żyć na ich powierzchni.
Ale sterowanie pozostawało trudniejsze.
Ragr był pierwszym, który zrozumiał metodę Gonzagi naprawdę.
Pokarm.
Kierunek.
Nawyk.
Nie miał mocy szamana.
Nie potrafił wejść w psyche wyspy tak jak Gonzaga.
Ale nauczył się czytać jej zachowanie.
Rozpoznawać reakcje.
Wykorzystywać sygnały.
W końcu otrzymał własną.
— Kapitan — powiedział Gonzaga.
Ragr powtórzył.
— Kapitan.
Podobało mu się to słowo.

Nowi Hatikaci byli wszystkim, czym nie byli dawni.
Różnymi rasami.
Różnymi językami.
Dziećmi wielu bogów.

Nie łączyła ich krew.
Łączył wybór.
Gonzaga był z tego dumny.
Mocny w Ręce mniej.
— To nie wygląda jak moje plemię.
— Bo twoje plemię nie żyje.
Krasnolud zmarszczył brwi.
— Wciąż jesteś bezczelny.
— Wciąż jesteś martwy.
— Erenet!
Erenet tylko się uśmiechał.
Ragr również się zmieniał.
Początkowo Gonzaga tego nie zauważył.
Minotaur coraz częściej odpływał własną wyspą.
Wracał z nowymi ludźmi.
Z zapasami.
Z bronią.
Ze złotem.
— Handel? — pytał Gonzaga.
— Handel.
Ragr uśmiechał się.
Gonzaga chciał wierzyć.
Przez pewien czas wierzył.
Potem pojawiły się pierwsze opowieści.
Wioska spalona w nocy.
Karawana obrabowana.
Osada podległa orkom napadnięta przez wojowników przybyłych na żywej wyspie.
Gonzaga słuchał.
Nie chciał pytać.
W końcu musiał.

Znalazł wyspę Ragra przy wyschniętym korycie rzeki.
Była większa niż kiedyś.
Na jej brzegu wisiały tarcze.
Broń.
Trofea.
Załoga składała się głównie z minotaurów i innych wojowniczych ras.
Gonzaga wszedł bez zapowiedzi.
Ragr wyszedł mu naprzeciw.
Uśmiechnął się.
— Brat.

Gonzaga nie odpowiedział uśmiechem.

— Palisz wioski.

Ragr zatrzymał się.

— Orków.

— Wioski.

— Orków.

— Dzieci też są orkami?

Ragr zmrużył oczy.

— Wojna.

— Kto ją ogłosił?

— Oni.

— Kiedy?

Ragr rozłożył ręce.

— Zawsze.

Gonzaga poczuł w żołądku zimno.

— Nie po to stworzyliśmy plemię.

— Ty stworzyłeś schronienie.

Ragr wskazał wojowników.

— Ja stworzyłem siłę.

— Rabujesz.

— Zdobywam.

— Mordujesz.

— Wygrywam.

— Ściągniesz na nas orków.

Ragr uśmiechnął się.

— Boisz się ich?

— Tak.

Odpowiedź zaskoczyła minotaura.

— I ty też powinieneś.

Gonzaga wskazał wyspę.

— Wiedzieli kiedyś o tych stworzeniach. Polowali na nie. Potrafili używać smoków. Jeśli przypomną sobie, że żywe wyspy istnieją, znajdą sposób, żeby je spalić.

Ragr patrzył.

— Nie będą.

— Już wiedzą.

Wieści przyszły kilka tygodni później.

Orkowie zbierali oddziały.

Patrole wyruszały głębiej na pustynię.

Za informacje o żywych wyspach płacono.

Za schwytanie ich mieszkańców jeszcze więcej.
Gonzaga wezwał wszystkich kapitanów.
Ragr przybył ostatni.
Kłótnia trwała do nocy.
Jedni chcieli uciekać.
Inni walczyć.
Jeszcze inni dołączyć do Ragra i zacząć grabić, zanim orki ich znajdą.
Gonzaga zrozumiał coś strasznego.
Plemię zaczynało pękać.
Po jednej stronie stała idea.
Po drugiej siła.
A pomiędzy nimi ludzie.
Ragr spojrzał na niego.
— Dwóch wodzów.
Gonzaga pokręcił głową.
— Nie chciałem być wodzem.
— Ale jesteś.
— Jestem szamanem.
— Dla nich to to samo.
Ragr wskazał zebranych.
— Dla mnie nie.
Zapadła cisza.
Wtedy minotaur powiedział:
— Stare prawo.
Gonzaga spojrzał na niego.
— Jakie?
Ragr dotknął rękojeści miecza.
— Jeden prowadzi.

Pojedynek zaakceptowali wszyscy.
Nie dlatego, że był rozsądny.
Dlatego, że był stary.
Tak stare prawa miały szczególną moc.
Minotaury je znały.
Orkowie respektowali.
Ludzie rozumieli.
Nawet ci, którzy ich nie lubili, wiedzieli, że wynik zamknie spór.
Jeden zwycięzca.
Jeden przywódca.
Ragr zdjął pancerz.
Gonzaga również.

Stanęli na pustej przestrzeni pomiędzy wyspami.
Bez tarcz.
Broń ćwiczebna nie wchodziła w grę.
To nie był sparing.
Ragr trzymał ciężkie ostrze.
Gonzaga swoją szablę.
Minotaur spojrzał na niego.
— Brat.
Gonzaga skinął głową.
— Brat.
Potem ruszyli.

Pierwszy cios prawie zakończył walkę.
Gonzaga zablokował.
Nie powinien.
Siła uderzenia wyrwała mu rękę w bok.
Poleciał kilka kroków.
Tłum ryknął.
Ragr nie czekał.
Drugi cios.
Gonzaga uskoczył.
Ostrze przecięło powietrze tam, gdzie przed chwilą znajdowała się jego szyja.
Nie walcz z jego siłą.
Jednooki.
Głos sprzed wielu lat.
Walka zaczyna się tutaj.
Gonzaga dotknął myślą własnego czoła.
Ragr był silniejszy.
Szybszy, niż powinien być przy tej masie.
Miał dłuższy zasięg.
W otwartej walce Gonzaga nie miał szans.
Czyli nie będzie walczył otwarcie.

Zaczął uciekać.
Nie naprawdę.
Tak, żeby Ragr w to uwierzył.
Cofnięcie.
Jeszcze jedno.
Fałszywe potknięcie.
Minotaur zaatakował.
Gonzaga uniknął w ostatniej chwili.

Ragr trafił go rogiem w bark.
Ból eksplodował.
Gonzaga upadł.
Tłum ryknął ponownie.
Ragr podszedł.
— Koniec.
Gonzaga podniósł się.
— Jeszcze nie.
Był coraz wolniejszy.
Oddychał ciężko.
Ragr coraz pewniejszy.
I właśnie tego Gonzaga potrzebował.
Weterani uczyli go dawno temu:
jeśli przeciwnik wie, co zrobisz, zrób dokładnie to.
Dwa razy.
Za trzecim zrób coś innego.
Gonzaga trzykrotnie odskoczył w tę samą stronę.
Za czwartym Ragr wyprzedził ruch.
Ruszył tam wcześniej.
Gonzaga nie uskoczył.
Wszedł pod jego ramię.
Uderzył rękojeścią pod żebra.
Ragr ryknął.
Gonzaga kopnął w kolano.
Nic.
Jak kopnięcie w drzewo.
Minotaur uderzył go pięścią.
Świat zawirował.
Gonzaga upadł.
Krew w ustach.
Piasek.
Ragr szedł.
Jeszcze jeden cios.
Koniec.
Gonzaga zobaczył luźny pas przy pancerzu minotaura.
Nie pancerzu.
Przepasce.
Ostel nauczył go patrzeć na rzeczy.
Weterani — na błędy.
Gonzaga chwycił pas.

Szarpnął.
Ragr stracił równowagę na ułamek sekundy.
Wystarczyło.
Gonzaga podciął nogę.
Użył własnego ciężaru minotaura przeciw niemu.
Ragr runął.
Piasek drgnął.
Gonzaga znalazł się na nim.
Ostrze przy gardle.
Obaj dyszeli.
Cisza.
Ragr próbował się podnieść.
Gonzaga docisnął.
— Nie.
Minotaur patrzył mu w oczy.
Długo.
Potem rozluźnił ciało.
— Poddaję.
Gonzaga opuścił broń.
Tłum wybuchł.
Nie słyszał.
Wyciągnął rękę.
Ragr spojrzał.
Chwycił.
Gonzaga pomógł mu wstać.
Objęli się.
Bracia.
Tak wtedy myślał.

Wieczorem urządzono ucztę.
Ragr pił dużo.
Gonzaga mało.
Śmiali się.
Wspominali pierwsze słowa.
Pierwszą wyspę.
Minotaur opowiedział wszystkim, jak Gonzaga uczył go, że liany są niebezpieczne, dopóki sam nie został przez jedną powalony.
Gonzaga opowiedział o „małpie".
Ragr prawie spadł z ławy ze śmiechu.
Późno w nocy usiadł obok Gonzagi.
— Dobrze walczyłeś.

— Ty nie.
Ragr parsknął.
— Oszust.
— Weterani nazywali to fortelem.
— Oszust.
— Brzmi podobnie.
Ragr podał mu kubek.
— Brat?
Gonzaga stuknął swoim.
— Brat.
Wypił.
Napój był gorzki.
Pomyślał, że ktoś przesadził z ziołami.
Potem świat zaczął się przechylać.

Obudził się związany.
Pierwszą rzeczą, którą poczuł, był ból głowy.
Drugą — krew w ustach.
Trzecią — zimny metal na nadgarstkach.
Otworzył oczy.
Ragr siedział naprzeciw.
Gonzaga długo patrzył.
Nie zapytał od razu.
Nie chciał usłyszeć odpowiedzi.
— Co zrobiłeś?
Minotaur nie odpowiedział.
— Ragr.
— Musiałem.
Gonzaga roześmiał się krótko.
To zabolało.
— Senil też tak mówiła.
Ragr nie znał tego imienia.
Nie miało znaczenia.
— Przegrałeś.
— Wiem.
— Poddałeś się.
— Wiem.
— Było stare prawo.
Ragr wstał.
— Stare prawa są dla tych, którzy mogą sobie na nie pozwolić.

Gonzaga zamknął oczy.
To bolało bardziej niż ciosy.
— Co ze mną zrobisz?
Ragr spojrzał w bok.
— Orcy szukają korsarza.
Gonzaga otworzył oczy.
Zrozumiał.
— Nie.
— Tak.
— To ty napadałeś na ich osady.
— Oni nie wiedzą.
— Ragr.
Minotaur milczał.
— Powiesz im, że to ja.
— Potrzebują winnego.
Gonzaga patrzył na niego.
— Byłeś moim bratem.
Tym razem Ragr odwrócił wzrok.
Orkowie zabrali Gonzagę następnego ranka.
Ragr nie przyszedł.
To było chyba najgorsze.
Gonzaga szukał go wzrokiem aż do chwili, kiedy założono mu worek na głowę.
Nie zobaczył.

Wieża stała na skalnym wybrzeżu.
Cela była dziwna.
Trzy ściany.
Czwarta właściwie nie istniała.
Tylko grube żelazne kraty, za którymi rozciągała się przepaść.
Daleko poniżej uderzały fale.
Gonzaga siedział przy kratach i patrzył.
Woda.
Tyle wody.
Po latach pustyni widok wydawał się absurdalny.
Mógłby umrzeć z pragnienia tysiąc razy, mając przed sobą więcej wody, niż widział przez całe życie.
Słonej.
Bezużytecznej.
Na dziedzińcu poniżej budowano rusztowanie.
Pierwszego dnia Gonzaga nie rozumiał.
Drugiego zobaczył belkę.

Trzeciego sznur.
Egzekucja.
Korsarstwo karano śmiercią.
Ragr wybrał dla niego bardzo prostą przyszłość.

Ork przyszedł o świcie.
Nie wyglądał jak zwykły strażnik.
Był wyższy.
Szerszy.
Wyprostowany.
Uruk-hai.
Jeden z tych, których nawet inne orki słuchały, zanim podniósł głos.
Strażnik otworzył drzwi.
Uruk wszedł sam.
Spojrzał na Gonzagę.
Potem na rusztowanie.

— Wiesz, co to?

— Domyślam się.

— Dobrze.

Wyciągnął zwinięty dokument.

— Masz drugą możliwość.

Gonzaga spojrzał na pergamin.

— Ułaskawienie?

— Nie.

— Szkoda.

Uruk rozwinął dokument.

— Cyrograf – zażartował.

— Brzmi gorzej.

— Zależy.

Położył pergamin na kamieniu.

— Potrafisz walczyć.

— Podobno.

— Na Wyspie Mew potrzebni są ludzie, którzy potrafią walczyć.

Gonzaga zmarszczył brwi.

— Wyspa Mew?

— Wyspa.

— Gdzie?

Ork wskazał gdzieś poza morze.

— Daleko.

— Nigdy o niej nie słyszałem.

— Nie musisz.

Gonzaga spojrzał na rusztowanie.

Potem na dokument.

— Co jest w "cyrografie"?

— Przyznajesz, że zamiast kary śmierci przyjmujesz służbę wojenną. Walczysz na Wyspie Mew, w Pajęczej Kompanii, dopóki dowództwo nie uzna zobowiązania za spłacone.

— A jeśli nie podpiszę?

Uruk zerknął w dół.

Gonzaga również.

Robotnicy właśnie sprawdzali sznur.

— Rozumiem.

— Dobrze.

— Jakie mam szanse przeżyć w Pajęczej Kompanii?

Uruk wzruszył ramionami.

— Większe niż jutro tutaj.

Gonzaga parsknął śmiechem.

— Lubię cię.

— Nie trzeba.

Podał mu pióro.

Gonzaga długo patrzył na pustą linię.

Imię.

Przez całe życie ktoś próbował mu je odebrać.

Nadać inne.

Zmusić do przyjęcia cudzej definicji.

W końcu sam je sobie wybrał.

Teraz miał nim podpisać dokument, który wysyłał go na wojnę na wyspie, o której nigdy nie słyszał.

Pomyślał o wężu z dżungli.

O Ostellu.

Erenecie.

Dziecku Pustyni.

Mocnym w Ręce.

Ragrze.

O Senil.

Pióro dotknęło pergaminu.



Podpisanie cyrografu w wieży

Gonzaga.
Uruk przeczytał.
— To wszystko?
— Wystarczy.
Ork zwinął cyrograf.
— Dla armii tak.

Statek był ogromny.
Przynajmniej dla człowieka wychowanego pomiędzy górami i pustynią.
Gonzaga wszedł na pokład w kajdanach.
Zatrzymał się.
Nie potrafił zrobić kolejnego kroku.
Wszędzie była woda.
Nie rzeka.
Nie jezioro.
Nie studnia.
Cały świat.
Woda ciągnęła się aż po horyzont.
Fale podnosiły kadłub.
Opuszczały.
Pokład żył pod stopami.

Gonzaga złapał reling.
— Pierwszy raz? — zapytał ktoś.
Nie odpowiedział.
Patrzył.
Przez lata każda kropla oznaczała życie.
Na pustyni potrafił zlizywać rosę z kamienia.
Teraz woda otaczała go z każdej strony.
Tyle, że nie mógł jej pić.
Los nadal miał swoje poczucie humoru.

Odbili od brzegu.
Ląd zaczął się oddalać.
Gonzaga patrzył, jak maleje.
Najpierw zniknęły budynki.
Potem drzewa.
Na końcu pozostała tylko cienka linia.
Za nią była pustynia.
Żywe wyspy.
Jego plemię.
Ragr.
Całe życie, które zbudował po ucieczce z Shangri-La.
Nie wiedział, co z nim zostało.
Nie wiedział, ilu Hatikatów poszło za Ragram.
Ilu uciekło.
Ilu przeżyje orki.
Nie mógł nic zrobić.
Położył dłoń na amulecie.
Kamienne krążki stuknęły cicho.
Przez chwilę wydawało mu się, że czuje znajomą obecność.
Erenet.
Może tylko wspomnienie.
— Znowu zaczynam od początku — powiedział.
Wiatr porwał słowa.
Gonzaga spojrzał przed siebie.
Gdzieś tam była Wyspa Mew.
Obcy archipelag.
Obca wojna.
Obcy ludzie.
Nie wiedział niczego o tym świecie.
To nie było już Shangri-La.
Nie było pustyni.

Nie było domu Ostela ani żywej wyspy.
Wąż na jego ramieniu poruszył głową.
Gonzaga uśmiechnął się gorzko.
— Ty przynajmniej zostałeś.
Wiosła zanurzyły się i przesunęły.
Statek nabrał prędkości.
Za rufą ciągnęła się długa biała smuga.
Ląd zniknął.
Została tylko woda.

Gdyby ktoś obserwował statek z wysoka, widziałby zaledwie ciemny punkt pośród ogromnego morza.
Mały.
Nieistotny.
Zmierzający ku odległej wyspie, na której bogowie przygotowywali kolejną ze swoich potyczek.
Na pokładzie stał człowiek, który był dzieckiem węglarza.
Wyrzutkiem.
Bednarzem.
Strażnikiem.
Więźniem.
Szamanem.
Założycielem plemienia.
I rzekomym korsarzem.
Nie wiedział jeszcze, kim zostanie dalej.
Daleko nad nim wiatr zmienił kierunek.
A gdzieś poza światem śmiertelników Sharami poczuła ten ruch.
Statek płynął dalej.
Ku Wyspie Mew.
Ku wojnie.
Ku temu, co miało nadejść.
I tak kończyła się pierwsza część historii Gonzagi.